

martin amis / martwe dzieci



martin amis

martwe dzieci

Przełożył Zbigniew Batko



DOM WYDAWNICZY REBIS
POZNAŃ

Spis treści

Karta tytułowa

Dedykacja

Od autora

Motto

Dramatis personae

CZEŚĆ PIERWSZA PIĄTEK

I Wejdźmy

2. Rutynowy początek dnia
3. To śmieszne
4. Piękne rzuty
5. Probostwo Appleseed
6. Morze szans
7. Chmurobraz widziany z mansardy
8. Z bólu
9. Dżin i łyż

X Quentin

11. Ludzki wigwam
12. Rosły i wspaniały
13. Coś w rodzaju przywidzenia
14. Gdzieś tutaj w okolicy
15. Meandrami po Ameryce
16. Pod zmasowanym ogniem spojrzeń
17. To ci dopiero krzak
18. Och, nie
19. Balon, z którego uszło powietrze

XX Diana

21. Po nieznanym szlaku
22. O kogo chodzi?
23. W pijackim kosmosie

24. Łzy jak grochy
25. Psychologiczna Rewia
26. Ponury bambus
27. Starzy gliniarze
28. Przyciągnął ją do siebie...
29. Cisza i światło dnia

CZEŚĆ DRUGA SOBOTA

XXX Giles

31. Przyspieszenie
32. Dumne gołębie
33. Ale cóż jest idealne?
34. Śniadanie
35. Zaburzenia poczucia czasu
36. Znow coś konkretnego
37. Rozmowy
38. Rozmieszczenie
39. Wymyślne figury

XL Whitehead

41. Jego połyskliwe dziewczyny
42. A co więcej...
43. Okrutne ciało
44. Wojny i cały ten szajs
45. Billet-doux
46. Ciemne szyby
47. Coś w miarę trwałego
48. Ostatnio
49. Obłędne miejsce

L Celia

51. Po prostu odwalił kiteę
52. Ślady łez
53. Lędźwiowy transfer

54. Zbyt dobre, żeby marnować
55. Nie bądź obrzydliwy
56. Zaczęło się dziwnie
57. Stare lęki
58. Wszystko ogarnie szaleństwo
59. Coś do roboty...

LX Andy

61. W powietrzu
62. Upiorny cykl
63. Antidotum
64. Podwieczorek, czyli zaczyna się od nowa
65. Teraz wydaje mi się to głupie
66. Koniec zabawy
67. Wiosenne porządki
68. Biały pokój
69. Złe wczorajsze dni

CZĘŚĆ TRZECIA **NIEDZIELA**

LXX Johnny

71. Ku pędzącym im naprzeciw światłom
72. Smutne powitanie

Karta redakcyjna

Dla Julie

Od autora

Wszystkie postacie i sytuacje w tej powieści, a także większość szczegółów technicznych, medycznych i psychologicznych to wytwór wyobraźni autora. Dewiza, jaka mi przyświecała, brzmi: Może nie wiem wszystkiego, ale wiem, co lubię.

Londyn, wrzesień 1974

M.A

...i tak, nawet gdy [satyryk] przedstawia wizję przyszłości, nie interesują go proroctwa ani dzień jutrzejszy, ale wyłącznie to, co jest dziś.

Menippos z Gadary

Dramatis personae

Mieszkańcy Appleseed

W. PAN QUENTIN VILLIERS:	wysoki, jasnowłosa, elegancki, wytworny
ANDY ADORNO:	wysoki, ciemnowłosa, skłonny do awantur, agresywny
GILES COLDSTREAM:	niewysoki, jasnowłosa, bogaty, bojaźliwy
KEITH WHITEHEAD:	bardzo mały, bardzo gruby – nadworny karzeł probostwa Appleseed
W. PANI CELIA VILLIERS:	krzepka, włosy nieokreślonego koloru, prostolinijna, żona Quentina
DIANA PARRY:	brunetka, kanciasta, kłótniwa, przyjaciółka Andy'ego

Amerykanie

MARVELL BUZHARDT:	niski, owłosiony, apodyktyczny, Żyd
SKIP MARSHALL:	wysoki, blady, flegmatyczny, Amerykanin z Południa
ROXEANNE SMITH:	bujne kształty, rudowłosa, Amerykanka

Inni

LUCY LITTLEJOHN:	srebrnowłosa, pogodna, dziwka o złotym sercu
JOHNNY:	kawalarz

CZĘŚĆ PIERWSZA
PIĄTEK

I Wejdźmy

Sypialń było pięć.

W głównej, najbardziej okazałej, Giles Coldstream, przyciskając obie dłonie do ust, pełznął na czworakach w poszukiwaniu telefonu. Poskręcany zielony sznur zaprowadził go w końcu do stosu pustych butelek po dżinie, leżących pod biurkiem. Przyciskając wciąż lewą dłoń do ust, Giles pociągnął za kabel, przykucnął niezdarnie i wybrał dwucyfrowy numer.

– Proszę z doktorem Wallmanem. Prędko. Z panem doktorem Geraldem Wall...

Nie skończył jeszcze mówić, gdy ząb kształtu i koloru surowej frytki ześlizgnął mu się po języku i spadając, zadzwonił o bakelitową słuchawkę.

– Proszę się pośpieszyć.

– Z jakim pan chciał numerem? – zapytał kobiecy głos.

– Bardzo panią proszę. Jestem... wszyscy sobie po...

Zęby, niczym paciorki z rozerwanego naszyjnika albo klawisze roztrzaskanego pianina, sypnęły się kaskadą z jego ust.

– Z jakim pan chciał numerem? – powtórzył głos.

Giles rzucił słuchawkę. Jego palce gmerały gorączkowo w ustach; usiłował zatrzymać zęby, wetknąć je z powrotem na miejsce. Twarz lśniła mu od łez, krwawa banieczka śliny wzbierała w kąciku ust.

– Moje zęby – wybełkotał. – Niech mi ktoś pomoże, błagam. Wszyscy sobie poszli.

Sypialnia po przeciwnej stronie korytarza nie była może tak imponująca

jak sypialnia Gilesa, ale przestronna, dobrze wyposażona, z całkiem przyjemnym widokiem na wiejską drogę i łagodnie falującą linię wzgórz w oddali. W niszy utworzonej przez trzy wykuszowe okna siedział przy stole jasnowłosy, szczupły sir Quentin Villiers w mokasynach z wężowej skóry. Okrywał go klosz chłodnego, przymglonego kurzem światła z kreślarskiej lampy, które rzucało na ściany za jego plecami smoliście czarne cienie, przysłaniające nagie ciało kobiety śpiącej na łóżku. Na jego złocistych udach spoczywała niczym w gnieździe *Le neveu de Rameau* Diderota. Quentin zamknął książkę, zgasił papierosa i wziął białą tabletkę z pudełeczka leżącego na stole. Podrzucił ją i odchylił głowę do tyłu, tak żeby jasny krążek wpadł mu prosto do ust. Potem odczekał chwilę, aż ślina spłucze gorzkawy posmak z języka.

Quentin Villiers wstał od stołu. Przez częściowo zasłonięte okno popatrzył na drogę szarzejącą w ciszy przedświt. Jego odbicie w szybie – jasna plama falujących włosów, wąskie usta, nienaturalnie wielkie i błyszczące zielone oczy – rozmywało się z wolna. Kiedy zgasił lampę, odniósł wrażenie, jakby w pokoju nieco pojaśniało.

– Kochanie. Obudź się, kochanie – powiedział, masując plecy żony, żeby oprzytomniała. – To ja, Quentin... To ja.

Celia Villiers poruszyła się, zamrugła i napięcie znikło z jej twarzy – rozpoznała go. Quentin ostrożnie odwinął prześcieradło i przez chwilę przyglądał się z szacunkiem piersiom żony, pieszcząc jednocześnie jej szyję opuszkami niewidocznych palców.

– Kocham cię – szepnął.

– Dziękuję ci. Ja też cię kocham.

Po kilku minutach Quentin położył się na wznak obok Celi. Jej głowa z kasztanową grzywą włosów zniknęła stopniowo w mroku, ruszając w nieśpieszną, sakramentalną wędrówkę wzdłuż jego tułowia, najpierw ku piersiom, potem niżej. Z wyrazem nieco sztucznego spokoju na twarzy Quentin utkwiał wzrok w suficie, gdy tymczasem ona obficie rosła jego brzuch łzami.

Trzecia i najmniejsza z sypialń na piętrze była oddzielona od tej, którą właśnie opuściliśmy, tylko cienkim gipsowo-paździerzowym waflem ścianki działowej. W związku z tym nacechowane wysoką wiernością akustyczną odgłosy miłosnych uniesień Villiersów przechodzące przez tę przegrodę obudziły Dianę Parry, bardziej czujną z dwojga śpiących w przyległym pokoju.

Rozbudziwszy się na dobre, czyli osiągnąwszy stan, od którego i tak nigdy nie odchodziła zbyt daleko, Diana uniosła się na łokciu i z dziwnie ściśniętym sercem zaczęła się wpatrywać w pokrytą włosami równie czarnymi i lśniącymi jak jej własne potylicę Andy'ego Adorna i w jego szerokie plecy z ciemnym znamieniem. Gdy dynamika i częstotliwość pełnych uznania, wibrujących jęków Celi wzrosła, Diana zaczęła liczyć wągry na łopatkach Andy'ego. Była to z jej strony swoista złośliwość, bo Andy nie chciał się z nią kochać ostatniej nocy. Odgłosy dochodzące z sąsiedniego pokoju stawały się coraz bardziej zgrzytliwe, nieartykułowane. To zawsze brzmi przerażająco i jakoś tak nieładnie, pomyślała Diana.

Andy przewrócił się przez sen na drugi bok, wyzwalając tym ruchem charakterystyczną dla niego woń wilgotnych ręczników. Diana odnotowała z przelotną satysfakcją, że jego twarz ma kolor wanilii, a oddech jest chrapliwy. Uniosła prześcieradło, którym był przykryty, żeby spojrzeć na jego wydatny brzusek opoja: unosił się i opadał spokojnie, miarowo.

Przykryła go z powrotem. Andy miał źrebięcy półwzwód, jaki miewają często alkoholicy. Diana parsknęła pogardliwie.

Ostrożnie podniosła się z łóżka, sięgnęła po swój jedwabny wiśniowy szlafroczek i szkatułkę z pachnidłami i kosmetykami. Przeszła przez pękniętą gitarę i prześliznęła się węzowym ruchem pomiędzy perkusją a statywem mikrofonu. W sąsiadującej z sypialnią łazience postawiła kosmetyki na zamkniętej desce sedesu, napuściła wody do umywalki i zaczęła myć twarz sztywnymi jak płetwy dłońmi.

Sypialnia na drugim piętrze nie miała jeszcze lokatora, więc nie ma potrzeby, byśmy zatrzymywali się tam na dłużej. Typowe pomieszczenie mansardowe z nisko zawieszonym stropem wypełniała aura zaniedbania i melancholii, pomimo widocznych śladów podjętych ostatnio prób przywrócenia sypialni dawnej świetności. Pod małym okienkiem stały dwa pojedyncze zsunięte razem łóżka z czystą pościelą. Obok, na nocnym stoliku stała butelka wody mineralnej i trzy szklanki. Niczym jakaś pamiątka spoczywała na poduszkach wielka turkusowowłosa kukła z nienaturalnie powykręcanymi kończynami i z ustami wykrzywionymi w idiotycznym, obłąkańczym uśmiechu.

W piątej, ostatniej „sypialni” – a właściwie zatęchłej klitce o wymiarach dziewięć na dziewięć stóp, usytuowanej pomiędzy garażem i pomieszczeniem na bojler z gorącą wodą – leżał na szorstkich jak papier ścierny kocach Keith Whitehead i pierdział jak nawiedzony.

Wejdźmy.

Whitehead jest wręcz niedorzecznie i groteskowo paskudnym młodym człowiekiem – właściwie, powiedzmy to wprost, karłem. Kiedy ludzie chcą powiedzieć coś miłego o jego powierzchowności, mówią zwykle: „Jest pan ciekawy kolorystycznie”, co jest aluzją do jego ciemnej oprawy oczu przy żółtawym odcieniu rzadkich włosów. Poza tym nie ma już u tego wysoce nieapetycznego osobnika nic godnego komplementu – cała reszta to mizerny placek słomianych włosów na czubku głowy, wymięta, gąbczasta i wiecznie skwaszona twarz z trądzikiem, toporny, krępy tułów i odstręczająco krótkie członki. Do tego wszystkiego trupia karnacja.

W miarę jak opadają z niego kolejne sztuki garderoby, widok staje się coraz bardziej szokujący. Jego siostra (równie gruba, ale bardziej proporcjonalnie zbudowana) dostała ataku hysterii, kiedy któregoś dnia weszła przez przypadek do łazienki i zaskoczyła go w kąpeli. Kiedy innym razem wparadował na miejski basen w Wimbledonie, dwie nastolatki kąpiące się w płytszym końcu zwymiotowały spontanicznie do

wody (pytane o przyczynę tak gwałtownej reakcji wyjaśniły, że torsje wywołał widok kępek włosów na kopulastych piersiach Keitha; w rezultacie Whiteheadowi zabroniono wstępu do publicznych kąpielisk i łaźni). Podczas okresowych badań w szkole lekarze zwykle nie tykali go palcem, a nauczyciel wychowania fizycznego zagroził, że zwolni się z pracy, jeśli noga Keitha postanie jeszcze kiedykolwiek w sali gimnastycznej. Jak gdyby dla pełnej harmonii z tymi ułomnościami cielesnymi, Keith jest człowiekiem całkowicie pozbawionym inteligencji, wielkoduszności i jakiegokolwiek uroku osobistego. Ponadto Whitehead jest absolutnie świadom tego stanu rzeczy i wie, że zdaniem innych byłoby lepiej, gdyby nie żył.

Przetrawiał to teraz w myślach, gdy obudziwszy się po raz setny w tym domu pełnym wysokich i ważnych ludzi i wyplątawszy się z koców, usiadł na pryczy w swojej szorstkiej piżamie, kiwając się w przód i w tył. Keith był głodny; w żołądku burczało mu tak głośno, że musiał nań co chwilę wrzeszczeć, żeby się uciszył. Była ósma. Prawdopodobnie pozostali lokatorzy jeszcze nie wstali, a więc miał kuchnię do swojej dyspozycji. Wstał i po krótkim namyśle włożył szlafrok, brunatne, szorstkie okropieństwo, zakupione przez rodziców natychmiast, gdy tylko się upewnili, że syn nigdy z niego nie wyrośnie. Państwo Whiteheadowie zakładali przy tym, a nawet mieli całkowitą pewność, że syn może jeszcze urosnąć parę cali, co okazało się nadmiarem przezorności; ciężki, obfity tren ciągnął się teraz za chodzącym Keithem jak kilwater. Ale Keith był głodny i bardziej przerażała go myśl, że ktoś mógłby go zobaczyć w ubraniu, niechlujnych, miniaturowych szmatkach, które, jak wiedział, były na niego za ciasne, niż ewentualne ryzyko, że przyłapią go na dreptaniu po domu z dupskiem przy ziemi, bez butów na wysokim obcasie. A zatem w domowych pantoflach na nogach Keith Whitehead otworzył drzwi swojej „sypialni” i przemknął chyłkiem przez garaż do głównego budynku.

2. Rutynowy początek dnia

Tak więc, kiedy Giles Coldstream wszedł do kuchni, Whitehead już tam był. Wymienili krótkie, spłoszone spojrzenia. Keith siedział zaczerwieniony przy stole; był zdyszany – właśnie przed chwilą skończył bić Mandaryna, astmatycznego perskiego kota Celi.

– Dzień dobry – powiedział Giles, uderzony, nie po raz pierwszy zresztą, całkiem niezłym wyglądem zębów Whiteheada.

– Cześć – sapnął Keith.

Giles usiadł ostrożnie obok niego i przez chwilę wpatrywał się w twarz karła, po czym odwrócił wzrok.

– Znów miałem dzisiaj ten swój koszmarny sen – powiedział, sam zaskoczony tym, że w ogóle to mówi. Nigdy dotąd nie opowiadał nikomu swoich snów. Dlaczego więc zwierza się teraz temu kurdupłowi Keithowi? Jak na razie nie zanosilo się na to, żeby poranek był czymś więcej niż zwykłym, powszednim, wręcz rutynowym początkiem dnia. Giles obudził się po prostu przed chwilą, poruszył językiem, który prześliznął się niczym ryba wzdłuż zębów, obejrzał swe uzębienie w stojącym na szafce nocnej lusterku i pośpieszył do ogromnej, rozdygotanej lodówki, gdzie czekała na niego poranna lufa krwawej Mary. Postanowił, że wypije dziś trochę więcej, zanim zejdzie na dół. Trzeźwość zawsze czyniła go niedyskretnym.

– I co się stało? – zapytał Keith. – Znaczy, w tym powracającym śnie?

– Ach, znów wypadły mi wszystkie zęby.

Zadowolony Whitehead zmarszczył brwi.

– To ma na pewno coś wspólnego z lękiem przed niepowodzeniem w sprawach seksu. To seksualny sen, kiedy wypadają człowiekowi wszystkie zęby.

– Nic podobnego – mruknął Giles. – Nie w moim wypadku.

– A co to oznacza w twoim wypadku?

– Że wypadły mi wszystkie zęby.

– Aha. A skąd wiesz?

– Bo zawsze to robią.

– Co?

– Wypadają.

Giles wstał, podszedł do zlewu i uchwycił się go oburącz. Oczy mu się zaszklily.

– Rozumiem – powiedział Keith.

Giles wzdrygnął się lekko.

– Nie rozmawiajmy już o tym – powiedział. – I to nigdy, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Keith wzruszył ramionami.

– W porządku – rzekł. – W porządku, ja mogę nie rozmawiać.

Woda w czajniku elektrycznym zabulgotała. Giles powoli odsunął się poza zasięg pióropusza pary skraplającej się na jego ramieniu.

– Ach, moja kawa gotowa – rzekł Keith Whitehead.

Keith płukał filiżankę po kawie, kiedy Mandaryn zbliżył się do niego wolnym, majestatycznym krokiem. Whitehead westchnął, słysząc jego przyjazne miauczenie. Wiedział, że Mandaryn myśli o jednym: o karmie Jellymeat Kat. Z pogardliwą miną wycierał filiżankę ściereczką. Byłby naprawdę pieprzonym frajerem, gdyby miał karmić kota Celii.

I właśnie wtedy Mandaryn popełnił straszliwy błąd. Z głębokim, trzewiowym pomrukiem wetknął nos pod tweedową połę szlafroka i zaczął kręcić ósemki wokół stóp Keitha, łaskocząc go miękkim futrem.

Ręce Whiteheada zaczęły dygotać nerwowo.

– Dobra – powiedział.

Uwięziwszy delikatnie Mandaryna między grubymi, białymi łydkami, skręcił ścierekę i zmoczył jej koniec wodą z kranu. Potem rozchylił szlafrok; kot wilgotnymi oczami spojrzał w górę na niego z oddaniem, a wtedy Keith strzelił go ściereką w sam nos. Kiedy przerażony Mandaryn

wyprysnął z tweedowego wigwamu, Keith wykonał półobrót i potężnym kopniakiem z woleja posłał go w kąt kuchni, a potem zaczął się do niego zbliżać, wywijając skręconą, namoczoną ścierką. Dwie minuty później, waląc kota ścierką i kopiąc go jak piłkę dookoła kuchni, wyekspediował nieszczęśnika za drzwi czubkiem pantofla, zbyt zziębnięty, by kontynuować akcję.

– Będziesz coś jadł, Giles? – zapytał Keith.

Giles rozważał przez chwilę, czyby nie zjeść średnio ściętego jajka na miękko, ale ten pomysł nie wydał mu się zbyt ciekawy. W tym momencie nie miał ochoty na nic treściwego.

– Nie, właściwie to zszedłem po limonę. – Giles zamierzał użyć owocu do przygotowania drinka na bazie dżinu; właśnie przeczytał gdzieś nowy przepis.

Keith, w odróżnieniu od niego, zamierzał coś zjeść. Wydawało mu się, że umrze, jeśli czegoś nie przekąsi. Nie jadł od trzech dni i dudnienie kotłów w jego żołądku stawało się z sekundy na sekundę coraz bardziej natarczywe.

– Jest tu mnóstwo boczku – kusił Keith. – Na opakowaniu jest napisane, że należy go spożyć do jutra, więc możemy go spokojnie dokończyć. Chcesz trochę?

Giles cofnął się raptownie, jakby przed fizycznym zagrożeniem. Boczek był jedną z rzeczy, których nie cierpiał najbardziej – nie tylko ze względu na jego łykowatość, lecz także strukturę: te małe gruzełki, chrząstki i skóry tak łatwo było pomylić z wyłamanymi koronkami, mostkami albo (kto wie?) prawdziwymi zębami. Nie. Giles lubił wiedzieć, co dzieje się w jego ustach, dziękuje uprzejmie. To przykre, ale połknął w swoim czasie kilka koronek i nie zamierzał dopuścić, żeby to się powtórzyło. (Pewnego dżdżystego marcowego popołudnia, kiedy utknął w Blackfriars, głodny jak wilk i bez kart kredytowych, wszedł chyłkiem do jakiejś kafejki, gdzie sprzedawali zdrową żywność, i tam przez prawie dwie godziny jadł

sznycel z migdałów, przewracając językiem i wyodrębniając każdą jego drobinę, zanim uznał, że może ją przełknąć).

– Nie, dziękuję – powiedział. – Jakoś w ogóle nie chce mi się jeść.

– A ja trochę zjem – rzekł Keith głosem, który wprost ociekał tłuszczem.

– Gdzie tu może być... limona?

– Nie jestem pewien. – Whitehead położył pięć plasterów boczku na płycie. – Słuchaj, wiesz może, kto przyjedzie na weekend?

– Nie. Nie miałem pojęcia, że w ogóle ktoś ma przyjechać. A poza tym co dzisiaj mamy?

– Piątek. No tak, mają przyjechać jacyś znajomi Quentina – ciągnął Keith. – Zdaje się, że Amerykanie. No i... Lucy Littlejohn.

Giles przykucnął pod kredensem i zaczął myszkować wśród drewnianych pudeł.

– Naprawdę?

– Najprawdopodobniej. O Amerykanach nic nie wiem. A ty, Giles, znasz tę Lucy Littlejohn?

– Aha. Troszeczkę – mruknął Giles.

Keith dziobał boczek widelcem.

– Słyszałem, że to... Quentin i Andy mówili...

– Popatrz, przyszedł Mandaryn – powiedział Giles. Odwrócił się w przysiadzie i przeciągnął dłonią wzdłuż wygiętego w łuk srebrzystego grzbietu persa. – Co słyhać, Mandaryn? Dałeś mu jeść, Keith?

– Aha.

– O nie, kotku. Dostałeś już swoją porcję. Keith cię już nakarmił.

Whitehead przeniósł ciężar ciała z jednej nogi na drugą.

– Bo Quentin i Andy mówią, że z tej Lucy to niezły numerek. Podobno to... straszna nimfomanka.

– Co przez to rozumiesz?

Keith odchrząknął.

– No, że pieprzy się z każdym.

– Och, nie wiem, czy z „każdym” – rzekł z powątpiewaniem Giles, który

sam pieprzył Lucy.

– Andy ją pieprzył, Quentin ją pieprzył...

– Ja ją pieprzyłem – wtrącił Giles.

– Brian Hall i jego kolesie ją pieprzyli.

– I Bob Henderson i jego kolesie też – uzupełnił Giles. – Tak, myślę, że pieprzył ją cały legion. Cy Harling i jego kumple ją pieprzyli.

Whitehead, który w ogóle jeszcze nie pieprzył, nie pieprzył też Lucy i marzył o tym, żeby zrobić to podczas tego weekendu. Powiedział więc ni stąd, ni zowąd:

– Słyszałem, że ma jakąś choróbkę. – Chciał w ten sposób sprytnie zniechęcić Gilesa do prób wypieprzenia Lucy.

– Ach, tak? – zapytał Giles obojętnie, nie wyjmując głowy spod kredensu. Normalnie ta poufna informacja wywołałaby poważny, acz spóźniony niepokój. Stwierdził jednak ostatecznie, że traci zainteresowanie seksem.

– Tak mówią – rzekł Keith.

– Cóż – powiedział Giles, prostując się – która dziś nie ma czegoś takiego?

Po długich poszukiwaniach znalazł wreszcie limonę, a Keith usmażył boczek. Kiedy się wymijali, Giles zatrzymał się w połowie drogi do drzwi i zmierzył maleńkiego Whiteheada wzrokiem.

– A wiesz – powiedział z niewinną miną, kiwając głową – bez butów jesteś naprawdę dużo niższy. – Znów obrzucił go spojrzeniem, najwyraźniej zaskoczony ostrością własnego zmysłu obserwacji. – I grubszy. Właściwie nigdy nie zdawałem sobie sprawy, jaki jesteś mały i gruby – dodał, jakby zdradzał Keithowi coś niezwykle intrygującego, za co tamten powinien mu być wdzięczny.

Kiedy Giles wyszedł, Keith postawił z rozmachem swój talerz na stole, kopnął łaszącego się Mandaryna, zamknął oczy i wydobył z siebie, furcząc wargami, długie, zatęchłe westchnienie.

3. To śmieszne

Celia usiadła gwałtownie na łóżku, podciągnęła nogi, przycisnęła kolana do piersi, przekrzywiła głowę na bok i zapytała:

– Co będziemy z nimi robić, jak przyjadą?

Quentin Villiers podciągnął prześcieradło, żeby zakryć dolną połowę ciała. Zrobił to dość nerwowo, ale jego głos wciąż brzmiał pogodnie i melodyjnie.

– Wolałbym zaczekać i przekonać się, w jakiej przyjadą kondycji. Będą przecież jechali całą noc i na pewno nafaszerują się amfetaminą.

– Myślę, że zrobię im śniadanie na gorąco – rzekła Celia.

– Śniadanie na gorąco? „Gorące” śniadanie? Czasami jesteś wręcz zachwycająco *outré*, skarbie. Śniadanie na gorąco to tak jak spać w piżamie albo czytać angielską powieść.

– Chyba nie masz zamiaru się ze mną droczyć, kochanie?

– No wiesz, najdroższa! Broń Boże! Ale myślałem raczej o pikniku. To byłaby dla nich atrakcja... – Quentin wyciągnął rękę w stronę światła wzbierającego za zasłonami. – Zapowiada się piękny dzień, a poza tym sam chciałbym zaczerpnąć trochę świeżego powietrza.

Celia przylgnęła do boku męża i zaczęła muskać jego kark pełnymi, spierzchłymi wargami.

– Przesiedziałaś całą noc, prawda?

Quentin wypuścił kłęb dymu i powoli skinął głową.

– Co robiłeś?

– Gimnastykowałem umysł, żeby pozostawał ożywiony.

– Ostatnio prawie wcale nie sypiasz, prawda?

Quentin zaciągnął się i potrząsnął z wolna głową.

– Staram się tego unikać. Sen mnie okropnie nudzi.

– Quentin?

– Tak, kochanie?

– Czy to prawda, że oni to robią we troje?

– Oczywiście. A co, ty nigdy nie próbowałaś w układzie trójkowym, czy jak to mówią *à trois*?

– Nigdy – powiedziała Celia. – Nawet w okresie, kiedy prowadziłam rozwiązłe życie. A ty?

– Nie, to może dziwne, ale ja też nie. Nawiasem mówiąc, będą nas na pewno chcieli do tego wciągnąć.

– Ale my się nie damy, prawda? – zapytała Celia, tuląc się do niego.

Quentin zamaskował westchnienie – nie wiadomo, żalu czy zniecierpliwienia – wypuszczając dym.

– A reszta?

– Doskonałe pytanie. – Quentin poprawił poduszkę pod głową. – Andy na pewno się włączy, jeśli tylko wyczuje cień szansy. Co do Diany, nie jestem pewien. Nie sądzę, żeby Giles dał się w to wciągnąć. Keith jest prawdopodobnie przygotowany na to, że będzie musiał dać się przerznąć Marvellowi i Skipowi, by zwiększyć w ten sposób swe szanse na zerżnięcie Roxeanne, z czego, jak myślę, nic nie wyjdzie. Roxeanne jest z gruntu „katolicka” w swoich gustach, ale w wypadku mocno odpychającego Keitha... – Quentin machnął niedbale dłonią.

– A ta cała niesamowita Lucy?

– Niesamowita? Mówisz, skarbie, jakby Lucy była jakąś czterdziestopięcioletnią dziwaczką. To dość barwna postać, ale bynajmniej nie niesamowita.

– Twoja była flama, prawda?

– Coś, co dawno zgasło i zdążyło ostygnąć – odparł Quentin.

Celia odprężyła się nieco. Minęła dłuższa chwila.

– To śmieszne, nie uważasz, kochanie? – powiedziała wreszcie. – Ten układ z dwoma mężczyznami i dziewczyną. Dwie dziewczyny i mężczyzna – coś takiego wydaje się już bardziej normalne... chociaż, czy ja wiem? I co oni robią we troje?

– Przeważnie, jak przypuszczam, robią to na krześle. Marvell, ten mały,

siada na kolanach Skipowi, temu wielkiemu, nadziejąc się tym samym na jego pal, a potem Roxeanne nadzieja się na pal Marvella, siadając twarzą do nich, tak że może ich na zmianę całować. Strasznie absorbujące dla Marvella, jak sobie wyobrażam.

– Aha.

– Jest jeszcze inny, dość barokowy wariant, zwany *soixante-neuf et six*, ale to już główny punkt programu. – Quentin ziewnął szeroko, co zdarzało mu się niezwykle rzadko. – Są w tym wszystkim cholernie bezpośredni. Jak przyjadą, możesz ich zapytać o detale.

– Aha. Ale musi to być zabawne, prawda?

– Owszem – rzekł Quentin. – Tak mi się wydaje.

W pokoju obok Andy Adorno rozwarł łuski sklejonnych powiek i z pewnymi oporami skoncentrował wzrok na zwróconej ku niemu twarzy Diany, która leżała na brzuchu; wiśniowy szlafroczek oblepiał jej nieskazitelnie oliwkowe ciało. Przewróciła kartkę kolorowego magazynu i zerknęła na niego. Andy zamknął z powrotem oczy. Woń zakurzonych kamiennych stopni, które wiły się spiralnie w jego mózgu, zmieszała się z falą dusznego zapachu wody kolońskiej.

– O Chryste, ja to pierdolę – wymamrotał Andy.

Diana przewróciła kartkę.

– Przyniosłam ci kawę i grzanekę – powiedziała.

Andy domyślił się trafnie, że kawa ma zwilżyć jego wyschnięte usta i odświeżyć oddech. Spojrzał znów kącikiem zwężonego, cynobrowego oka na Dianę, rejestrując obraz dyskretnego makijażu i wyszczotkowanych czarnych włosów, które Diana przeczesła teraz palcami, zanim przewróciła kartkę.

– Poprawiłaś sobie już urodę? – zapytał.

– Umyłam się przed chwilą.

Andy podniósł się o kilka cali, do pozycji półleżącej; jego śniadą twarz znaczyło wyraźne piętno skruchy.

– Chryste – powiedział. – Kawy. – Potem westchnął. – Pewnie chcesz, żebym cię teraz wypieprzył, co?

Podowała mu filiżankę, potrząsając głową.

– To dobrze – rzekł Andy, stawiając kubek na szafce nocnej i siadając na łóżku. – Bo czuję się cholernie parszywie! – Zaczął miętosić twarz sztywnymi palcami. Potem zwrócił się ku niej i dodał nieco łagodniej: – A zresztą nigdy nie robię tego, czego nie chcę. Okej?

– Okej.

– Och, moja pieprzona głowa! – ryknął znienacka. Wyskoczył z łóżka i potykając się, wybiegł z pokoju. Diana usłyszała, jak łomocze gwałtownie w drzwi toalety. – Chryste! Kto tam jest?

Keith zeszywniał na sedesie. Siedział na nim od co najmniej kwadransa, kompletnie zaczopowany.

– To ja, Keith.

– Keith! Nie waż się korzystać z tego kibla! – Andy aż się skręcał pod drzwiami. – A teraz rusz dupę!

Jak gdyby w odpowiedzi potężna porcja gazu wyrwała się z rykiem spomiędzy pośladków Keitha. Aż zatkało obu z wrażenia.

Ów straszliwy ryk, który wydobył się z zadka Whiteheada, usłyszeli wszyscy w całym domu: słyszał go Giles wyciskający sok z limony do oszronionej szklanki, słyszała Celia ustawiająca w szeregu swoje kosmetyki, słyszał Quentin Villiers zapinający swą spłowiałą dżinsową koszulę, słyszała Diana, która leżąc w łóżku, wpatrywała się w ścianę zimnym, nieruchomym wzrokiem.

4. Piękne rzuty

Zobrazujmy zatem nasze problemy.

W ciągu pół godziny w Appleseed toczyły się jednocześnie trzy

rozmowy.

Rozmowa pierwsza.

Idąc do kuchni po drugą limonę, Giles Coldstream zobaczył w mniejszym z dwóch rozdzielonych przepierzeniem saloników małego Keitha, który pilnie studiował program telewizyjny na najbliższy tydzień. Giles wetknął głowę do saloniku.

– Hej, Keith, jest dziś coś dobrego? Nie pamiętam już.

– O tak, mnóstwo ciekawych rzeczy – powiedział Keith.

Giles i Keith często zasiadali rano lub późnym popołudniem przed telewizorem i jak staruszkowie w milczeniu oglądali program – Giles dlatego, że, jak się przekonał, pozwalało mu to zapomnieć o zębach, Whitehead w myśl bardziej ogólnej zasady, że oglądanie telewizji musi wpływać korzystnie na jego zdrowie psychiczne.

– Jest oczywiście *Węzeł gordyjski* o jedenastej – rzekł Keith. – Nie oglądałeś wczoraj, prawda?

– Oglądałem. Nie, nie oglądałem – poprawił się Giles. – Przegapiłem ten odcinek. Co było?

– No więc, ten facet, który nie wypieprzył żony fotografa, wrócił do kochanki swojego syna.

– Ach tak. Ale co z tym, jak mu tam... – Giles zmarszczył się. – Co z Jimmym?

– A co miałyby być?

– No z Jimmym. Z chłopakiem córki kochanki.

– Wiem, o kogo chodzi. W środę znów uciekł z domu.

Gilesowi jakby ulżyło.

– Ano tak, oczywiście, że uciekł. A więc z tym wszystko w porządku.

– Dlaczego nie zszedłeś wczoraj?

– Hm, zdaje się, że zasnęłam, czy coś takiego. Czy to wczoraj pokazywali *Wokół domu*, *Kukuryku*, *Brumber* i *Alphonse* i *Tammy*?

– Nie, to leci we wtorki.

Giles przekrzywił głowę.

– Jesteś pewien?

– Tak.

– No to co wobec tego było wczoraj? Oprócz oczywiście *Węzła*?

– *Młody uczonec, Vespa Newtown, Gotowanie na wesolo i Kornak*.

– Ach, oczywiście. O której właściwie będzie coś dzisiaj?

– *Poznaj swego kucyka*, o wpół do czwartej – rzekł Keith.

Giles uśmiechnął się z zaciśniętymi ustami.

– No to do zobaczenia na *Kucyku*, tak?

– Jasne.

Rozmowa druga.

– Jakiego na przykład ma kutasa? – dopytywała się Diana, sadowiac się na kanapce we wnęce okiennej i stawiając tacę z herbatą na zagraconej toaletce Celia.

Celia skrzywiła się, usiłując otworzyć słoiczek z kremem do twarzy.

– Dużego. Sporo ponad przeciętną. Och, dziękuję ci, Diano. A jakiego ma Andy?

Diana westchnęła.

– Ognomnego. Kiedy, oczywiście, nie jest naćpany. – Upiła łyżeczek herbaty i zapytała, spoglądając znad filiżanki: – Jak często Quentin cię pieprzy?

Celia wklepywała krem w upstrzoną piegami twarz.

Niezaprzeczalny fakt, że miała cerę o tyle gorszą niż ona, Diana, pozwolił tej ostatniej lepiej znieść to, co teraz usłyszała.

– Co najmniej raz każdej nocy. I zwykle jeszcze raz rano.

– Nawet kiedy jest na prochach?

– Zwłaszcza wtedy. Na Quentina to nie ma wpływu. Czasem, kiedy jest na haju, może posuwać godzinami.

– Naprawdę?

– Naprawdę, godzinami. – Celia przestała ugniatać twarz i spojrzała

z lekkim niepokojem na Dianę. Potem dodała: – Jeden numer dosłownie przez całą noc... A jak często Andy?

– Ach, co noc – albo rano. A czasami o różnych dziwnych porach dnia. Quentin jest w tym dobry?

Celia przez chwilę patrzyła tępo w przestrzeń. Potem powiedziała:

– Fantastyczny. A Andy?

Diana nie mogła udawać, że nie słyszy, więc zrobiła mądrą minę. Potem powiedziała:

– Fantastyczny.

Nastąpiła pauza.

– Jedną z najpiękniejszych cech u Quentina – rzekła żona Villiersa – jest to, że mówi.

– Wielkie rzeczy!

– Nie, on mówi wtedy, jak się kochamy.

– Ach – westchnęła Diana z ożywieniem. – Andy też wciąż mówi: „Tak ci zerznę tę twoją cipę, że...”.

– Ach, nie. Nie tak. – Celia potrząsnęła głową. – Quentin... Quentin recytuje wiersze.

– Ach tak... No nie – Diana potrząsnęła głową – Andy nie recytuje wierszy.

Rozmowa trzecia.

Quentin i Andy grali tymczasem w strzałki w garażu. Pomiędzy rzutami popijali z dużych kubków kawę po irlandzku i podawali sobie cienkiego skręta. Ich wysokie sylwetki wyginały się leniwie w rytmie muzyki z przenośnego magnetofonu Andy’ego. Ilekroć znaleźli się gdzieś obaj sami, zawsze wytwarzała się jakaś przyjemna atmosfera; była to nie tyle sprawa seksualnego napięcia, ile wzajemnego, zharmonizowanego narcyzmu.

– Jezu, co to za fetor?

– To grzyb na bojlerze – powiedział Quentin – choć bez wątplenia

przydaje mu pikanterii aromat „salonu” małego Keitha.

– Śmierdzi całkiem jak zepsuty kurczak. – Andy wziął strzałki, które podał mu Quentin, i podszedł do narysowanej kredą kreski, dziesięć stóp przed tarczą. – Albo jak skisła sperma, co by mi zresztą nawet pasowało.

– Dlaczego? Czemu mały Keith miałby się onanizować?

– Nie ma żadnego powodu – odparł Andy. – Absolutnie żadnego. Ale ma za to pełno wizualnych stymulatorów.

– Naprawdę? Co na przykład?

Andy wykonał trzy rzuty, zanim odpowiedział.

– Furę świńskich pisemek.

– Jakiego typu?

– Pieprzy się z papierowymi dupami. Ma zdjęcia superdziwek. Facetów, którym dziwki ciągną druta. Otwartych cip. Zdjęcia, gdzie fotograf dosłownie wchodzi dziwkom w dupę.

– Ach tak. Czyli twarde pornosy?

– O kurcze... – powiedział Andy namiętnie, kiedy z magnetofonu rozległy się dźwięki jego ulubionego kawałka. Podszedł do ściany i wyciągnął strzałki z tarczy. – Piękne rzuty. Tak, przeważnie ostre jak cholera. Diana zajrzała tam wczoraj wieczorem. Mówiła, że na kilku fotkach psy dymają jakąś starą babę.

– To brzmi bardzo seksownie – rzekł Quentin. – Mój Boże, biedny mały Keith!

– Zgadza się. Katastrofa, no nie?

– Twarz niemowlaka, korpus karła.

– Jak jakaś połamana lalka.

– Jego oddech tnie jak promień lasera – rzekł w zadumie Quentin.

– Albo palnik acetylenowy.

– A gruby jak wieprz.

– Śmierdzi jak kupa gnoju.

– Albo jak materac jakiegoś zniedołęźniałego dziadygi.

– Będzie łysy jak kolano, zanim skończy dwadzieścia pięć lat.

- Albo dwadzieścia cztery.
- Dwadzieścia trzy.
- Dwadzieścia dwa.
- Tyle ma teraz.
- Co najmniej.
- Tak – rzekł Andy. – Jak się zastanowić, to zdumiewające, że jest taki pogodny.
- Zwłaszcza że mieszka w jednym domu z takimi przystojnymi sukinsynami jak my.
- Jasne. – Andy pokiwał głową. Oczywiście miał zamknięte. – Jasne.

5. Probostwo Appleseed

Czy przedstawiamy tu postacie i sceny zmyślane, tendencyjnie zdeformowane i zbyteczne? Absolutnie nie. Wprost przeciwnie. Mamy tu do czynienia z przypadkiem odwrotnym. Gdyby brać pod uwagę obowiązujące standardy, należałoby wyeliminować Gilesa i Keitha, jako wręcz żalosnych introwertyków, Quentina i Andy'ego jako osobników zadufanych i kapryśnych, a Celię i Dianę jako smutne, wręcz dziwaczne okazy inhibicji. Ten dom jest w gruncie rzeczy prawdziwą fortecą starych bigotów, bastionem wartości, których pozornie tak bardzo tu brakuje.

Rzecz w tym, że wysforowaliśmy się nieco w czasie. Osoby, które nas interesują, są na razie zaledwie dorastającymi chłopcami i dziewczętami, całkiem nieświadomymi tego, jak potoczy się ich życie. Przyjrzyjmy się im więc, dopóki pozostają w owym stanie tymczasowej niewinności.

Tego lata, kiedy piszemy te słowa, *Giles Coldstream* dokonał nie lada wyczynu: zdał właśnie egzamin do liceum i w poczuciu triumfu spędza wakacje w Monkenvale, rodowej posiadłości, której czterdzieści apartamentów zajmuje on z matką i trzynastoma osobami służby. Giles

jest dzieckiem radośnie nieświadomym. Ten raczej niski jak na swój wiek chłopiec z kasztanowymi włosami, wiecznie uśmiechnięty, pieszczołek służby i ulubieniec całej wsi, kocha się skrycie w najstarszym synu ogrodnika, który zabiera go popołudniami na ryby, a co sobotę i co drugą środę do miejscowego kina. Kucharka nazywa Gilesa, nader zresztą trafnie, „promyczkiem”. Chłopiec miewa krótkotrwałe, choć dojmujące napady złego samopoczucia jedynie wtedy, kiedy matka wchodzi w nocy do jego sypialni, i podczas wizyt u dentysty.

To lato jest wspaniałe także dla *Andy'ego Adorna*, któremu wakacje wpływają nie mniej przyjemnie: Andy pomaga sortować listy na pocztę w Notting Hill. Andy jest wprawdzie za młody, żeby wykonywać tę pracę legalnie, ale wygląda na starszego, niż jest w rzeczywistości, a poza tym personel poczty, podobnie jak większość ludzi, bardzo go lubi. Przyznali mu wynagrodzenie w wysokości dwudziestu dwóch funtów tygodniowo, wypłacane w gotówce, więc w konsekwencji Andy kupuje w piątkowe wieczory furę kokainy. Pomimo eksperymentowania z koką i wszelkimi innymi dragami, jakie wpadną mu w ręce, Andy jest niezmiennie wesoły, hałaśliwy i tryska wprost energią. Co więcej, w swoim mieszkaniu na Earls Court, które nazywa „jakby komuną” i w którym mieszka, zdawałoby się, od zawsze, ma w bród jedzenia i picia i nigdy nie brakuje mu serdecznych kumpli, grających na najbardziej zdumiewających instrumentach. Nieustającym strumieniem płyną także dziewczyny, które na ogół z powodzeniem zabiegają o to, żeby się z nim przespać.

Celię Evanston obwozi jak zwykle po całej Europie jej macocha, Aramintha Leitch, która jest jak zwykle pomiędzy jednym a drugim rozwodem. W tej chwili wymeldowały się akurat z hotelu La Traviata w Monte Carlo i czekają na mercedesa, który zawiezie je prosto do canneńskiego Hiltona. Lady Leitch, mała, krzepka blondynka, nie ma chwili spokoju, molestują ją na zmianę dyrektor hotelu, dwaj hotelowi kelnerzy, ratownik z hotelowego basenu i *maître d'hôtel* z hotelowej restauracji. Pierwszy chce, żeby uregulowała rachunek, pozostałych

czterech chce wiedzieć, kiedy lady Leitch wróci, żeby znów mogli się z nią przespać. Każdemu ta nobliwa kobieta podaje swój adres na Hebrydach. Celię można dostrzec w rogu hallu, pomiędzy stertą waliz i pudeł na kapelusze. Przykucnął przed nią paskudny pikolak; rozmowa toczy się po francusku i ma wyraźną kadencję wzajemnych pretensji i zaprzeczeń. W końcu dziewczynka wstaje – mała, gruba, z koszmarnymi włosami, ale pewna siebie – spogląda na swoją macochę i mówi: „*Dix* minut”. Paskudny pikolak rozkłada ręce, jakby to było wszystko, o co prosi i o co mógłby prosić ktokolwiek. Para znika, idąc ramię przy ramieniu.

Quentin Villiers, przyszły mąż Celi, jest trzydzieści mil stąd, sterczy na poboczu włoskiej szosy. Objężdza właśnie autostopem Europę i są to jego pierwsze prawdziwe wakacje bez żadnego nadzoru starszych. Tak więc, choć ma niewiele pieniędzy i prawie żadnych kontaktów, jego zielone oczy promienieją nieustannie czystą, hedonistyczną nadzieją. Stoi na poboczu, z workiem turystycznym, ma na sobie tylko dżinsy à la Robinson, obcięte wysoko ponad kolanami. Quentin ma już sześć stóp wzrostu, jest opalony i przypomina orlika; kiedy wystawia kciuk, samochody praktycznie składają się jak miechy akordeonu.

Diana, *Diana Parry*, jest zaledwie mglistą zapowiedzią przyszłej Diany. Wysoka jak na swój wiek, dość niezgrabna, nieskoordynowane ruchy, pomarańczowe wąskie usta i skrzydło czarnych włosów, które wyglądają jak cieniutki kaptur. Jedzie właśnie od matki, która mieszka w Londynie, do ojca mieszkającego w Amsterdamie. Jej zachowanie na lotnisku Heathrow jest charakterystyczne: grzebie w dokumentach, upuszcza torebkę, łamie paznokcie na uchwytych walizek i jest boleśnie świadoma złośliwych spojrzeń mężczyzn. Diana, zawsze rozdrażniona, jest dziś bliska wybuchu, bo właśnie dostała od swojej najlepszej przyjaciółki, Emily, list z sensacyjnym postscriptum, że Emily zaczęła miesiączkować. Ta poufna wiadomość ustaliła na dobre pozycję Diany jako tej, która nie tylko ma najmniejszy biust, ale także jest jedyną niedojrzałą płciowo dziewczyną w ich paczce. Choć dziewczynka opuszcza matkę bez większej

przykrości, nie pali się też specjalnie do spotkania z ojcem. Kiedy samolot nabiera rozpędu na pasie startowym, Diana otwiera kolorowe czasopismo.

A *Whitehead*? Trzynastoletni Keith jest właśnie poddawany eksperymentalnej (i, jak się okazuje, fatalnej w skutkach) operacji tarczycy w szpitalu św. Pankracego, klinice chorób tropikalnych. Od piątego roku życia Whiteheada głodzono, żeby nie dopuścić do grożącej mu groteskowej otyłości; tymczasem w wieku dojrzewania nastąpiła u niego prawdziwa eksplozja tkanki tłuszczowej, jakiś hormonalny przypływ, który zbił z tropu nawet najbardziej doświadczonych ze szpitalnych dietetyków. Jego rodzina w sile trzech osób, o łącznej wadze dziewięciuset osiemdziesięciu funtów, dwa razy w tygodniu sunie samochodem do szpitala. Tam siadają i przez dobre pół godziny klną na Keitha („Chyba rozumiesz, że ta operacja to będzie prawdziwa jatka”, prorokuje zawistnie papa Whitehead), a potem sapiąc, odpływają bez pożegnania. Mały Keith budził taką odrazę w ogólnej sali, że konsultanci byli zmuszeni przenieść go do izolatki. Zwolniono go po pięciu tygodniach; lekarze orzekli, że jego skłonność do tycia jeszcze się wzmogła, choć „pod względem umysłowym odpowiada normie”. Na razie Whitehead, z pulsującą, czerwoną twarzą człowieka nękanego zaburzeniami gruczołów, leży za dnia w grobowej ciszy, a po nocach bezrefleksyjnie łyka gorzkie łyż.

Oto owa szóstka, która odpowiada naszym celom, i właśnie ją umieściliśmy, wybiegając nieco naprzód w czasie, w probostwie Appleseed, dwupiętrowym domu, który stoi na obrzeżach Gladmoor w hrabstwie Hertfordshire. Gladmoor nadal pozostaje wsią. Przeżyło inwazję przedmieść północnego Londynu częściowo dzięki niewygodnemu oddaleniu od głównych arterii, a po części dzięki odstraszałej bliskości szos prowadzących na lotnisko Luton. Zakonserwowała je prawdopodobnie także jego zdolność do wprawiania przybyszów w zadziwienie. Zbacząc z jedynej wybrukowanej szarą kostką drogi

i widząc koślawe edwardiańskie latarnie, pogięty i poobijany szyld nad wozownią, wielkie dęby nachylone ku wzgórzom, przybysze nie mogą się pozbyć wrażenia nierealności, zawieszenia, którego nie może zakłócić nawet ryk odrzutowca, wyczuwają aurę spokoju i sielskości tak namacalną jak lita skała.

Dojazd do Appleseed od strony wsi może być szczególnie dezorientującym doświadczeniem. Kiedy na przykład Quentin udzielał listownie wskazówek swoim amerykańskim znajomym, napisał: „Zaraz za garbatym mostkiem zatrzymajcie się, wysiądźcie z samochodu i spójrzcie w lewo: dwadzieścia jardów od drogi zobaczycie dom. To właśnie tu!”. Nie bez przyczyny informował ich tak dokładnie: nawet przyjeżdżającym tu regularnie gościom zdarzało się minąć dom, zawrócić, znów go przegapić i skończyć na dopytywaniu się o drogę. Wydawało się, że probostwo Appleseed zawsze miało aktualny kolor nieba, na którego tle było widać budynek. Rozbielone cegły sprawiały, że wyglądał jak obiekt uwieczniony na monochromatycznej fotografii albo jak malowidło oglądane przez ażurowe firanki. Budynek był wyjątkowo wąski, pozbawiony okien od strony szczytów; kiedy patrzyło się nań od strony drogi, rozpływał się czasem w eterycznych wibracjach. Podczas upałów obraz, deformowany promieniami słońca odbitymi od powierzchni przydrożnego strumienia, marszczył się jak namalowany na trzepoczącej chorągwi. W dżdżyste popołudnia budynek zdawał się całkowicie roztapiać w mglistej, szpitalnej szarości nieba.

Także w samym budynku perspektywa robiła wrażenie złudnej. Ktokolwiek znajdzie się w probostwie Appleseed, doznaje swoistej zapaści i nie potrafi sięgnąć pamięcią wstecz dalej niż o kilka dni. Wszyscy w Appleseed są zawsze albo pijani, albo zaćpani, skacowani lub chorzy i wszyscy nauczyli się badać doznania zmysłowe empirycznie. Wszystko w Appleseed jest spieprzone, wszystko niepewne, pokoje nie mają żadnych współrzędnych ani topografii. Mieszkańcy cierpią też na osobliwe mentalne zaburzenia spowodowane wieloletnim zażywaniem narkotyków;

są to cierpienia, które można uśmierzyć, tylko zażywając różne inne narkotyki. Tak więc Appleseed jest miejscem przemieszczających się konturów i implozyjnej, zasysającej pustki. To miejsce zwolnionego czasu i fałszywej pamięci, miejsce ulicznej melancholii, nocnego zmęczenia i zaniechanego seksu.

Więcej za chwilę.

6. Morze szans

Keith wylegiwał się jeszcze na kanapie w mniejszym z saloników, kiedy w progu pojawili się Quentin i Andy. Piątkowy poranek, godzina dziesiąta.

– Pora prochów – oznajmił Andy.

– O Boże – westchnął Keith.

Jednym z jego rozlicznych domowych obowiązków było testowanie dragów. Dwa, trzy razy w tygodniu Andy i Quentin przychodzili do niego z jakąś pigułką, skrawkiem bibuły, torebką proszku, fiolką płynu, saszetką kryształków lub wilgotną kostką cukru i żądali od Keitha, żeby to połykał, ssał, wachał lub (z rzadka) sobie wstrzykiwał. Quentin i Andy informowali go następnie, kiedy mniej więcej narkotyk zacznie działać, i znikali na ten czas. Kiedy wracali, Keith chichotał, skakał po pokoju, potrząsał głową i powtarzał „jeszcze nic” albo dygotał, przerażony, pod kredensem bądź też doznawał miłych halucynacji, spał lub płakał, sprzątał kuchnię, siedział w schowku na szczotki, wymiotował jak szalony albo był nieprzytomny i blady jak kreda. Czasami, kiedy efekty działania narkotyku wydały im się interesujące, Quentin i Andy włączali się do eksperymentu. Jeśli było inaczej, siadali i z dystansem, ale zarazem beznamietną dociekliwością naukowców obserwowali Keitha. Patrzyli, jak powiększają się i pulsują źrenice małego Keitha, przewidywali, jak będzie

się rzucał i dyszał, rozważali na głos, jak się będzie skręcał i sapał, przyglądali się uważnie, jak w końcowej fazie eksperymentu jego skóra białała, język robił się jaszczurczozielony, a wargi nabierały złotawocynobrowej czerwieni otwartej rany.

– Dzisiaj nic specjalnego – ciągnął Andy. – Tylko funt na trzech od tego facia z kantyny. Jest absolutnie pewny – jak na Pakistańczyka – więc towar powinien być całkiem łagodny i szybko przestanie działać.

– Uderza na górę czy na dół? – zapytał przezornie Keith.

Andy zerknął na Quentina i powiedział:

– Na dół, ale nie za mocno. – Znów się wyraźnie ożywił. – Drobne igiełki po jakiejś, myślę, półgodzinie, potem powinieneś się poczuć trochę senny, oszołomiony, lekko cię zemdli, ale ogólnie wszystko będzie przyjemne. Po kilku godzinach pojawią się jakieś historie z przeszłości.

Whitehead zmrużył podejrzliwie oczy.

– Żadnych efektów ubocznych?

– Absolutnie żadnych.

– Nie będę sikał na czarno, jak po tym paskudztwie w zeszłym tygodniu?

– Nie.

– I nie będzie mi wyciekać z uszu żadna zielonkawa maź?

– Masz moje słowo, że nie.

– Nie będę wariował przez całą noc?

– Wykluczone.

– Słuchaj, a czy nie skurczy mi się od tego kutas jak od tego proszku, który...

– Prawdę mówiąc – wtrącił Andy – kiedy potraktowałem jednego gościa kiepską amfą, oczy wylazły mu z orbit, a język zrobił się cały...

– Jesteś pewien, że nic się nie stanie z moim fiutem? Bo wiesz, ja... – Keith zaczął wiercić się niespokojnie i mościć w fotelu, układając półdupki, jakby to były poduszki. – Kiedy przyjeżdża Lucy?

– Lucy? Kto ją wie? – rzekł Quentin i spojrzał pytająco na Andy'ego.

– Dziś wieczorem. – Oczy Andy’ego znieruchomiały czujnie. –
A dlaczego?

Whitehead wyprostował się raptownie.

– Zgaduj: do trzech razy sztuka!

Quentin i Andy spojrzeli na siebie z niewyraźnymi minami, bo Keith wypowiedział to jednym ze swoich „śmiesznych głosów”, „amerykańskim” dyszkantem, jak Gadający Świerszcz, kiedy strofował Pinokia.

– O co chodzi? – zapytał Andy.

– Bo ja chciałbym sobie umoczyć.

Keith uśmiechnął się, widząc, jakie wrażenie zrobiły na nich jego słowa, które poszybowały przez pokój i zawisły w powietrzu nad okrągłym stołem ze szklanym blatem. Do świadomości wszystkich trzech dotarł nagle świergot samotnego ptaka, który hałasował niezmiernie gdzieś wśród gałęzi szorujących po oknach saloniku.

– Umoczyć? – powtórzył Andy.

Keith wyjaśnił niepewnym falsetem misia Yogi:

– Umoczyć: włożyć wyjąć, włożyć wyjąć, zakisnąć ogóra, trochę sobie po...

– Głos Whiteheada łamał się i zanikał.

Andy znów spojrzał na Quentina.

– Czy on mówi o dymaniu, czy jak?

– O, właśnie – rzekł Keith swoim zrezygnowanym, normalnym głosem.

– Chcesz wydymać Lucy? – zapytał Quentin.

– Aha. No tak. Pomyślałem sobie...

W tym momencie zadzwonił telefon i Quentin ruszył chwiejnym krokiem przez pokój, żeby go odebrać.

Andy usiadł na sofie obok Keitha.

– To dlaczego nie mówisz, kurwa, od razu? – powiedział; w jego głosie pojawiła się nuta powagi. – Wiesz co, Keith?

– Co?

– Nie mów nigdy więcej tym głosem, dobra?

– Dobra.

– Chryste, Keith! Naprawdę się przeraziłem w pierwszej chwili. Myślałem, że znów ci odbiło.

– Ale przecież mówiłem tak nie pierwszy raz.

– Wiem – rzekł Andy. – Ale nigdy więcej tak nie mów. Ani żadnym z tych twoich „śmiesznych głosów”. Okej? No dobra. – Wyjął garść pigułek z kieszeni i rozsypał je na stoliku. – Właściwie to chcieliśmy ci dać dwie, ale to są półbarbiturany, więc nie mógłbyś potem dużo wypić, tak że jedna wystarczy. Choć ja osobiście wolałbym, żebyś wziął dwie. Dam ci parę w prezencie, ale...

– Hej! – zawołał Quentin, zakrywając słuchawkę dłonią. Jedna obleczona w dzins noga wysunęła się spomiędzy fałd atlasowego szlafroka i spoczęła na oparciu stojącego w pobliżu krzesła. – To Lucy we własnej osobie. Halo, Lucy! W czym też jesteś łóżku? – zapytał i zachichotał perliście, usłyszawszy odpowiedź.

Keith potoczył dokoła dzikim wzrokiem.

– No więc, Lucy, jeśli odwalisz numerkę w fotelu na kółkach... Tak, raz, dla draki. Chwileczkę, Andy chce zamienić z tobą słówko. A kiedy ty w końcu przyjeżdżasz? – dodał lekko zirytowanym głosem. – Świetnie, więc do zobaczenia. Nie, ja jestem teraz monogamiczny facet... I tobie też.

Kiedy Quentin, szepnąwszy coś do Andy'ego, podał mu słuchawkę, Keith wziął pigułkę ze stosiku na stole i obracał ją w zamyśleniu w palcach.

– Luce? Tu Andy! Nie uwierzę! Ile? Tak? Mityczny. I my też mamy dla ciebie niespodziankę. – Odwrócił się i puścił do Keitha oczko. – Ktoś chce cię koniecznie poznać. Poczekaj, sama zobaczysz. Keith Whitehead. No więc, wysoki, brunet... jakieś sześć stóp i cal, może dwa. Twarz jak rżnięta w kryształ...

Whitehead wydał z siebie na znak protestu rozdzierający jęk.

– ...czarne włosy, prawdziwy dynamit w wyrku i podobno nadziany jak Krezus...

– Andy, błagam...

– Szczupły. Wiotki jak trzcina, ale wiesz, przy swoim wzroście zbudowany jak...

– Andy!

– Jak przyjedziesz dziś wieczorem, to sama zobaczysz. Okej, mała. Do zobaczenia.

W słuchawce zaświergotało cichutko, kiedy Andy odkładał ją na widełki.

– To się nazywa umieć sprzedać towar – rzekł do Quentina, szczerząc zęby.

– Jesteś z siebie bardzo dumny, co? – rzekł Keith ochryple. – I jesteś dumny z tego, co zrobiłeś? – Keith miał taki wykrój ust, że górne zęby były zawsze częściowo odsłonięte; teraz łukowaty, jakby gumowy wałek spierzchłej, czerwonej wargi dosłownie zasłaniał mu nos.

Andy podszedł do niego szybkim krokiem i przykucnął przed nim, mrużąc oczy.

– A co takiego zrobiłem?

– Powiedziałeś... powiedziałeś...

– Co powiedziałem? Weź no pigułkę, bądźże grzecznym chłopcem. No więc, co takiego zrobiłem?

Keith machnął z rezygnacją ręką.

– No, dobra, dawaj, faszeruj mnie.

Przechylił głowę na oparcie sofy i przełknął coś, co tkwiło mu głęboko w gardle. Potem zaczął mówić szybko, głuchym głosem, który brzmiał, jakby dobiegał skądś z daleka.

– Gdybyś nie powiedział Lucy tego wszystkiego, miałbym może szansę...

– Może szansę? Może szansę? Masz morze szans, chłopie, całe morze szans.

– Mógłbym... miałbym... Boże, miałbym szansę zrobić na niej... Ach, jak mogłeś...

– Zrobić dobre wrażenie? – wszedł mu w słowo Quentin, który

przyglądał im się bez większego zainteresowania. – Keith chce ci po prostu powiedzieć, Andy, że ma pewne wątpliwości, czy odpowiada temu dość wystylizowanemu wizerunkowi, jaki raczyłeś nakreślić pannie Littlejohn. Owa dama spodziewa się teraz, że powita ją w progu przystojny nieznajomy, wysoki, szczupły brunet, a tymczasem...

– A tymczasem zobaczy tylko tłustego blondasa, małego, paskudnego Keitha. Tak, jasne, ale ja tak tylko sobie pieprzyłem, co mi ślina na język przyniosła, i ona o tym dobrze wie. Jezu, gdzie wasze poczucie humoru?

– No i co, Keith? Zadowolony?

Whitehead zadowolony nie był.

– Miałem nadzieję, że może z nią pogadasz, Andy, że jakoś na nią wpłyniesz. – Keith wskazał na pryzmę pigulek. – Ja wam wciąż wyświadczam przysługi, czy nie moglibyście jej poprosić, żeby teraz ona zrobiła coś dla mnie?

Andy wyglądał na stropionego.

– No nie... Czemu po prostu jej nie sprujesz, jak każdy?

– Spójrz na mnie. – Keith wyprostował ramiona. Wyglądał tak, jakby miał się za chwilę rozplakać. – Ja nie jestem taki jak każdy.

– Nie mogę... – Andy skrzywił się i wstał. – Okej, ja... no wiesz, ja... O Jezu, mam dość tej całej zboczonej gadki! A teraz, kurwa, weź te pigułki, Keith, i skończmy wreszcie z tym szajsem.

Kiedy drzwi zamknęły się za Andym, Quentin podszedł do sofy i przysiadł na oparciu.

– Nie przejmuj się tak tym, co mówi Andy – mruknął do Keitha. – Ja go, jak wiesz, uwielbiam, ale niestety jego wadą, jeśli jakieś w ogóle ma, jest deficyt wyobraźni.

– Co takiego?

– On po prostu zakłada, że wszyscy są bardzo podobni do niego. Keith, nic ci nie jest?

Whitehead pociągnął nosem i przejechał palcem przez wąski przesmyk dzielący nos od ust, ścierając po drodze smark. Zawahał się, niepewny, co

z nim zrobić. Quentin podał mu swoją haftowaną, jedwabną chusteczkę i wdzięczny Keith wydmuchał w nią nos z wielkim zapalem. Przyszło mu do głowy – a wynikało to z założenia, że niewrażliwość ludzka musi mieć jednak swe granice – że Andy nie dostrzega jakiegoś istotnego związku pomiędzy jego, Keitha, szpetnym wyglądem a zdolnością do zainteresowania Lucy swoją osobą. Że może jej być wszystko jedno, że jest tak niewybredna, jak o niej wciąż mówili. Tymczasem podyktowana współczuciem uwaga Quentina przekłuła nawet i ten maleńki pęcherzyk nadziei.

Keith znów pociągnął nosem.

– Już i tak mi to wszystko wisi – powiedział.

– Nie wolno ci tak mówić, Keith – zaprotestował Quentin.

W pokoju pociemniało; chmura przepłynęła między nimi a słońcem, potem pojaśniało znowu. Quentin pochylił się do przodu i pieszczotliwie zmierzwił włosy Keitha; misternie ułożone pasemka rozeszły mu się pod palcami i odsłoniły rozległą połąc nagiej czaszki. Palce Quentina wycofały się pośpiesznie.

– Nie martw się – powiedział łagodnie. – Już ja się postaram, żeby podczas tego weekendu przydarzyło ci się coś niezwykłego. Jeśli nawet nie z Lucy, to w jakiś inny sposób.

7. Chmurobraz widziany z mansardy

Lucy Littlejohn mieszkała na mansardzie domu przy Knightsbridge z trzema współlokatorkami. Nie było to bynajmniej gospodarstwo nietypowe i myślę, że dobrze byłoby mu się bliżej przyjrzeć. W dzień powszedni dziewczęta wstają o pierwszej, drugiej po południu i albo oddają się niekończącym się ablucjom w luksusowej łazience, albo biorą ostry natrysk w kabinie na parterze. Potem, gdy kolorowy telewizor

błyska i ryczy gdzieś w głębi saloniku, rozsiadają się w nocnych koszulkach i szlafroczkach, jaśniejac niczym anioły w chmurobrazie mansardy, sączą kawę z porcelanowych francuskich czarek i opowiadają o swoich przygodach z ostatniej nocy. O czwartej idą na zakupy na Sloane Street i Beauchamp Place, a o szóstej wracają na filizankę Tio Pepe i dalszy ciąg pogawędki, po czym wolnym krokiem udają się na górę, żeby się przebrać. Pomiedzy jedną a drugą rozmową telefoniczną wpadają wzajemnie do swoich pokoików, aby pożyczyć jakieś pachnidło, wymienić się jakąś częścią garderoby, zasięgnąć rady. Ich głosy wymykają się z jaskrawo oświetlonych sypialń, żeby skupić się na mrocznym półpiętrze; przysłuchując się ich rozmowom, można by wywnioskować, że te dziewczyny są recenzentkami kulinarnymi, znawczyniami nocnego życia, redaktorkami kolumny plotek towarzyskich, zakonspirowanymi administratorkami; otóż nic bardziej błędnego. O dziewiątej zaczynają podjeżdżać taksówki i limuzyny.

Wszystkie trzy mają, jak ich nazywają, „dziennych, etatowych kochanków”, ale tylko Lucy powierza swoje sprawy finansowe kochankom dorywczym, co zresztą było tendencją pochwalaną i jak na ironię ukróconą przez Adorna. Poznali się zeszłego lata. Andy podbiegł do niej na Pont Street i odgarniając włosy z oczu, powiedział bez uśmiechu:

– Hej, może byśmy tak poszli do ciebie, co?

– Dobrze – odparła bez namysłu.

Ruszyli przed siebie w milczeniu, wstrzymując oddech, oboje niemal tak samo zaskoczeni obrotem sprawy.

– Nie zaczepiłbym cię – powiedział Andy niepewnie, kiedy znaleźli się w pokoju Lucy – ale wydałaś mi się taka ładna...

I była ładna. Krótkie, kasztanowe włosy z jaśniejszymi kosmykami, wielkie fioletowe oczy, niezliczone sari, apaszki, korale, klejnoty, pasy, podwiązki, szale, które nie całkiem maskowały jej zgrabną figurę, uśmiech na czterdzieści zębów, donośny śmiech, całe placki tłustej cery widoczne spod wyszukanego, choć nakładanego pośpiesznie makijażu,

wytarte, połatane dzinsy, świetlista, pomarańczowawa skóra widoczna pod poplamioną i dziurawą bluzką, nieskazitelnie biała bielizna. Przez pięćdziesiąt pięć kolejnych wieczorów Andy pojawiał się, usmarowany i parujący po szychcie w westminsterskim składzie drewna, dorywczej, wakacyjnej pracy. Przynosił butelkę wina, czasem odrobinę haszu i szczoteczkę do zębów. Przez osiem tygodni opowiadał Lucy o polityce i powieści amerykańskiej, grał jej na poobijanej gitarze, którą zaopatrzył w nowe struny i naprawił (Lucy początkowo te koncerty wprawiały w zakłopotanie, ale wkrótce przestała się przejmować), opowiadał jej o swoim życiu i kochał się z nią namiętnie dwa lub trzy razy w ciągu nocy. I przez te dwa miesiące Lucy nie płaciła czynszu.

Pięćdziesiątego szóstego wieczoru, kiedy wchodził do domu, Mitzi i Serena czekały przy domofonie.

– Z kim jesteście dziś umówione, z Ludwikiem XV, czy co? – rzucił, przemykając obok nich do saloniku, gdzie Lucy poinformowała go przyciszonym głosem, że wieczorne plany jej koleżanek mogą z byle powodu spalić na panewce i żeby nie ważył się ich więcej denerwować, tym bardziej że ona, Lucy, zalega z komornym. Ale Adorno w ogóle jej nie słuchał; zdjął tylko zębami kapsel z dwulitrowej butelki wina marki „Wino”, wyłączył telewizor i sięgnął po gitarę. Widział to „plastikowe trio” (jak nazywał przyjaciółki Lucy) tylko raz czy dwa razy i nie okazywał żadnego zainteresowania nimi.

Dziesięć minut później domofon zaskowyczał, w hallu zapanowało ożywienie i Andy, wyjrzawszy przez okno, zobaczył maleńkiego dżentelmena z Birmy w szarym, wojskowym mundurze.

– To teraz pieprzą się z wojakami, tak? – powiedział.

Tymczasem kurdupel na dole wymamrotał parę komplementów i usprawiedliwień i wręczył dziewczynom wielką wiązaną kwiatów, na co zareagowały apatycznym machnięciem dłoni.

Potem, przeklinając i burcząc pod nosem, weszły do saloniku. Mitzi skierowała się do telefonu, a Serena klapnęła bezwładnie na fotel,

wyciągając nogi na pół pokoju.

– A co z tym konusem? – zapytał Andy. – Napijcie się wina. – Serena potrząsnęła głową, a Mitzi wydała z siebie tylko głuche stęknienie. Andy spojrzał pytająco na Lucy, a potem pochylił głowę nad swą gitarą i zaczął wściekle szarpać struny.

– Słuchaj – mówiła Mitzi do słuchawki – jeśli nie chcesz się pieprzyć, to po prostu powiedz. A szykowało się pieprzenie jak się patrzy. Fantastyczne pieprzenie. – Głos w słuchawce coś odpowiedział, ale Mitzi, właśnie zajęta przypalaniem papierosa, którego wzięła od Sereny, mogła odpowiedzieć tylko wściekłym pomrukiem. – Nie, nie, żadnej forsy! Dwa supernumerki za pewną przysługę. Tak, Serena jest tutaj i nie tylko... Heimitio, czy jak mu tam, cholera... Och, nie, nie. Przyślij taksówkę... – Mitzi była najwyraźniej bliska prawdziwej furii, ale nagle coś, co usłyszała w słuchawce, uśmierzyło jej gniew. – Okej. Okej, skarbie. Przyjedź po nas. Ciao. – Odwiesiła słuchawkę i pokazała Serenie dłoń z rozcapierzonymi palcami.

Serena wzruszyła ramionami.

– Wszystko razem? – zapytała Lucy.

Mitzi musiała wyczuć ironię w jej głosie.

– Tak – powiedziała. – I lepiej się zbieraj. Za to mieszkanie nie płaci się guzikami.

Odległy pomruk przeszedł nagle w ryk helikoptera, od którego zadrżały szyby, po czym rozplynał się w oddali.

– Kto to był? – warknęła Mitzi. – Bob?

Rozsuwając zasłony, Serena rzuciła okiem na zegarek.

– Nie. Za wcześnie. To pewnie Gary.

– Racja. Mówił, że w tym tygodniu będzie później. O Jezu, ten cały Japoniec...

– No nie, on jest chyba z Birmy.

– A co to, kurwa, za różnica? – zapytała Mitzi.

– Żadna, cholera.

Obie jednocześnie uświadomiły sobie, że brzdąkanie gitary ucichło, że Andy patrzy na Lucy, że Lucy zwinęła się w kłębek w swoim fotelu i kiwa się na boki, objawszy ramionami kolana. Mitzi i Serena poruszyły się niespokojnie, ale Andy wbił w nie wzrok z wyrazem tak jadowitej pogardy, że zwykły, fizyczny strach wręcz je sparaliżował.

Andy wzdrygnął się gwałtownie. Potem zamachnął się jakby od niechcienia i jednym ruchem roztrzaskał swoją gitarę o stalowy stolik.

– Lucy – powiedział, kiedy zwykłe milczenie zamieniło się w grobową ciszę – to ty jesteś z tych? Ty jesteś taka? – Westchnął głęboko. – Idź na górę, Lucy. Spakuj się i jedź do mnie. Jeśli jesteś winna tym sukom pieniądze, zapłacę. Jeśli masz jakieś kłopoty, ja się tym zajmę. Pakuj manatki i spieprzamy stąd.

Lucy skuliła się w fotelu, wyraźnie posmutniała, skurczyła się jak gdyby, potrząsnęła głową, udając rozterkę, ale dobrze wiedziała, że nigdzie nie pójdzie. Siedziała, wciąż potrząsając głową.

Poruszony do głębi w tym samym stopniu swoją propozycją, co faktem, że Lucy ją odrzuca, Andy wstał i przez chwilę bawił się myślą, że mógłby kopnąć Mitzi albo zgwałcić Serenę. Potem potoczył dokoła wzrokiem, zastanawiając się, co jeszcze można by roztrzaskać, ale nic nie wypatrzył, więc zadowolił się przewróceniem stolika, splunięciem na dywan i wyrwaniem zamka frontowych drzwi.

Wszystko to – lub prawie wszystko – Diana wiedziała. I kiedy kręciła się po sypialni, zbierając metodycznie i składając parami pałeczki Andy’ego, kiedy schylała się, żeby pozbierać z podłogi kostki do gitary i podnieść organki, poprawić gitary na stojakach, powkładać flety i piszczałki do pudełek i wsunąć płyty w okładki, poskładać jego po chłopięcemu poplamione gatki i przyjemnie woniejące podkoszulki, mrugając czasem ze zdziwienia, gdy dostrzegła jego tenisówki ustawione wzorowo w szafie lub pasek od jego ulubionego zdobionego kwietnym ornamentem saksofonu, kiedy zatem krzątała się tak po pokoju, usiłowała sprostać

zadaniom, jakie stawiała przed nią historia. Choć wyciągnęła od Andy'ego opisane wyżej rewelacje w atmosferze żartów i przekomarzań i z odpowiednią dozą rewerencji dla jego męskiego wzburzenia i niesmaku, myślała o jego całej przygodzie z Lucy ze szczerym i niesłabnącym bólem. A także, choć wyciągnęła z niego to wszystko, czyniąc mu stosowne wyrzuty, starając się zachować rozsądek i odpowiednio piętnując jego mściwość i okrucieństwo, myślała o tym z prawdziwym, przyśpieszającym bicie serca rozbawieniem. Diana zatrzymała się nagle w pół obrotu, wyprostowała się i napotkała swoje spojrzenie w szybie oszklonej szafy.

Tydzień później, w piątek, Andy odwiedził je znowu; przeprosił Serenę i Mitzi (a także opaloną Isabellę, która właśnie przyleciała z Maroka), zaprowadził zbolowaną, zmieszaną Lucy na górę i odbył z nią „sarkastyczny” stosunek („powiedziałbym, że «wymailerowałem» ją, a konkretnie wydymałem w dupę”), nakładł jej troszeczkę po buzi i wymknął się cichaczem, pozostawiając na toalecie zwitek banknotów w banderoли. Nazajutrz zjawił się z bardzo pijanym Quentinem; znów zaprowadził Lucy do jej pokoju, kazał jej się rozebrać, nakłonił Quentina, żeby odbył z nią stosunek, a sam przyglądał się z kąta, popijając „Wino” i chichocząc diabolicznie. Quentin rzucał bez przerwy uwagami w rodzaju: „Doprawdy, Andy!”, „Czy to nie jest troszkę...” i „Jak słowo daję, mam wrażenie, że...”, ale połączenie żądy, alkoholu i obawa, żeby nie wydać się palantem, który psuje zabawę, pobudziły go do działania i wykonał swoją robotę stylowo, a nawet z pewną wirtuozerią. Następnie, gdy Quentin się ubierał, Andy zażądał od Lucy, żeby mu obciągnęła, grożąc, że urwie jej pieprzony łeb, jeśli nie połknie.

– Człowieku, to naprawdę twórcze doświadczenie – tłumaczył powątpiewającemu Quentinowi, kiedy schodzili, potykając się, na dół. – Radykalne zgwałcenie, dla jej, kurwa, dobra. Zresztą zapłaciłem jej wczoraj.

Zanim wyszli, zajrzeli do saloniku. Andy obnażył się przed każdą

z dziewcząt po kolei, zapytał obecnego w pokoju producenta telewizyjnego, czy chce dostać w ryj, potem rozplakał się, zaproponował, żeby całe towarzystwo zjadło własne gówna, i zmył się.

Andy kontynuował swe wyczyny z takim samym natężeniem, kiedy we wrześniu zaczął się w Londynie semestr, choć jego wizyty były teraz rzadsze i zachowywał się już nie tak wrednie jak kiedyś. Raz na dwa tygodnie brał uskładane z przyjaciółmi niezbędne dwadzieścia funtów (kwota ustalona przez niego, nie przez Lucy) i zajeżdżali całą paczką na Pont Street, żeby się zabawić. Zwykle Lucy robiła im na wstępie wymyślny striptiz, obciągała jednemu z nich, szła z jednym lub z dwoma do łóżka, a potem prosiła o kilka minut z Andym. Lucy zdawała się w to stopniowo wciągać; wprawdzie popłakiwała od czasu do czasu, kiedy Andy kochał się z nią osobiście i sam, ale ogólnie biorąc, zaakceptowała status, który, jak utrzymywał Adorno, był dla niej naturalny. Nie wiedziała, dlaczego odrzuciła jego propozycję, ale nie mogła też powiedzieć, żeby kiedykolwiek tego żałowała. Jej wrodzona żywiołowość, bujność jej natury przysposabiała ją niejako do tej roli; gdy tylko mściwe okrucieństwo Andy'ego zaczęło po kilku pierwszych aktach agresji słabnąć, nie dostrzegała nic poniżającego w swoich popisach ani w swej uległości – po prostu było to nieuniknione.

Ale potem przyszła kolej na Gilesa i tu w planach Andy'ego nastąpił zasadniczy zwrot.

Pewnego pochmurnego listopadowego wieczoru, kiedy niebo było dosłownie granatowe, nieszczęsny rozbitek życiowy został wepchnięty do domu Lucy. Rozpromieniony Andy dokonał prezentacji:

– Oto ona: za pięć dych możesz z nią zrobić wszystko. – Usiedli, gawędząc, w kuchni. GILES: Jak długo właściwie pani tu mieszka? LUCY: Och, prawie rok. GILES: Doprawdy? Bo tu jest właściwie naprawdę bardzo miło... bardzo. LUCY: Nic nadzwyczajnego, ale zawsze dom. GILES: Więc od kiedy, mówi pani, pani tu mieszka? ANDY: Słuchaj, bracie, nie musisz się tak certolić. To są wszystko kurwy.

Giles i Lucy wśród wesołych komentarzy zostali zaprowadzeni na górę. Kiedy już znaleźli się w pokoju, Lucy podeszła zdecydowanym krokiem do łóżka i zaczęła z uśmiechem rozpinąć bluzkę.

– A właściwie – powiedział Giles, wyciągając z kieszeni wielką piersiówkę – czy nie miałabyś nic przeciwko temu, żebyśmy, że tak powiem, nic nie robili? Zapłacę ci tyle, ile zażądasz. Mam pieniądze, ale jestem trochę... nerwowy. To znaczy, nie pomyśl, że jestem jakiś pedał albo coś takiego...

– Ile masz lat, Giles?

– Dwadzieścia i pół.

– Miałaś już dziewczynę?

– Och tak, oczywiście. Tylko że nie mam specjalnie ochoty... Choć uważam, że jesteś superatrakcyjna, masz śliczne... – (chciał powiedzieć zęby, ale to tylko uświadomiło mu, dlaczego nie ma ochoty na kochanie).

– Okej, skarbie, możesz sobie tu po prostu poleżeć – nie martw się, nie zgwałcę cię podstępnie – a potem sobie iść.

– Wielkie dzięki.

I poleżał, a potem, na odchodnym podpisał jej czek in blanco.

Tragizm sytuacji polegał na tym, że Andy zapomniał o jednym: Giles był pod wieloma względami wymarzoną mężczyzną dla Lucy. Miły, sympatyczny, choć niezbyt atrakcyjny, na swój sposób zabawny, delikatny, czuły i wprost nadzwyczajnie bogaty. Nakazawszy swoim prawnikom, aby spłacili długi Lucy, Giles powierzył jej swój portfel i dał jej wolną rękę w sprawach finansowych, z radością chodził z nią do wszystkich restauracji, kin i klubów, jakie tylko zaproponowała, jeździł salonką do Brighton lub daimlerem nad jeziora i sprzeciwiał się zdecydowanie tylko tym eskapadom, które mogły zagrażać jego zębom.

Po jedenastym spędzonym razem wieczorze Giles obudził się z (1) niezbyt dużym kacem i z (2) erekcją, którą nieśmiało zaprezentował Lucy, po czym wylądował, drżący, w jej ramionach. Przez całą tę zimę byli nierozłączni.

Romans skończył się, jak zresztą wiele innych jego spraw, kiedy Giles zachwiał się na schodach przed Old Compton Street Wheeler's, stracił równowagę, wypuścił rękę Lucy, potknął się, upadł i stracił dwie przednie koronki, wybijając je o krawężnik chodnika w Soho.

Podczas trzymiesięcznej rekonwalescencji Gilesa w różnych sanatoriach Andy ostrożnie odnowił znajomość z Lucy. Uzgodnili, że będą się kontaktować, kiedy tylko któreś z nich poczuje się smutne i samotne, zwierzać się wzajemnie, pomagać sobie w potrzebie, że jednym słowem pozostaną przyjaciółmi.

Diana spochmurniała nagle i w tym momencie Andy wszedł do pokoju.

– Zdumiewające – powiedział. – Uporządkowałam wszystkie moje graty. Nawet harfy. – Podeszedł do biurka. – Ten ornament na saksie jest tandetny – powiedział, kiwając z uznaniem głową.

Diana nie podniosła wzroku.

– Kiedy ona przyjeżdża?

– Rzeczywiście, dzwoniła. Po południu, może wczesnym wieczorem.

Andy uklęknął, odgarnął pasmo bujnych czarnych włosów i wycisnął pocałunek na jej skroni.

– Dzięki, mała – powiedział.

Chociaż Diana wiedziała, że są to typowe dla niego przeprosiny za wcześniejsze grubiaństwo i że według jego standardów jest to akt niemal unizonej galanterii, uznała, że nie powinna odpowiadać, i odwróciła się bez słowa.

– Trudno – rzekł Andy. – Pierdol się.

8. Z bólu

Quentin wszedł za Keithem do kuchni, deptając mu po piętach. Za nimi szedł Andy, nieco przygnębiony.

– No co tam, Keith? – dopytywał się. – Czujesz coś w ogóle?

Keith odsunął z hałasem krzesło od stołu i usiadł na nim, żeby lepiej przyjrzeć się pięknościom, które przechadzały się przed nim. Spojrzał na zegarek.

– Jak długo...

– Wiem, jak długo, ty głąbie. – Andy złożył ręce. – Godzinę. Jeśli jest...

Rozległ się huk zatrzaskiwanych drzwi, a potem dało się słyszeć znajome tłustoude szuranie nóg pani Fry, kobiety, która sprzątała trzy razy w tygodniu w Appleseed i teraz, pochrzając, sunęła korytarzem w stronę kuchni.

Słaniający się od frustracji Andy chwycił za oparcie krzesła i zaczął mówić żarliwie:

– Słuchaj, jeśli to, kurwa, teraz nie zadziała, to...

– Ej, ej, ej – przerwał mu Quentin i potrząsnął uspokajająco głową. – Nie przy służbie!

Andy oparł się o kredens.

– Okej – powiedział stłumionym głosem. – Okej.

– Dzień dobry wszystkim! – Twarz, która przypominała okrutny świński ryj z jasną treską o kształcie cebuli, mignęła z niepokojącą szybkością w drzwiach.

– Dzień dobry, pani Fry – rzekł Quentin. – W czym możemy pani pomóc?

– A dziękuję, panie Villiers. Chciałam tylko wziąć ścierki. – Pani Fry popatrzyła na Quentina wzrokiem, w którym można było dostrzec błysk straszliwej żądy, a potem przestąpiła wyciągnięte krótkie nogi Keitha i skierowała się w stronę schowka na szczotki. Zapach płynu do zmywania, zasyпки dla dzieci i zastarzałego potu wypełnił powietrze.

Whitehead spojrział zezem na panią Fry; przed miesiącem podjął zakończoną kompletnym niepowodzeniem próbę jej poderwania. Leżał

właśnie w łóżku i zastanawiał się, co począć z potężną poranną erekcją, którą boleśnie podtrzymywał, rozważając, czy nie sięgnąć po stertę erotycznych pism, które połyskiwały kolorowymi okładkami przy łóżku. Pani Fry zawołała z garażu, że musi się dostać do szczotek, które są w jego pokoju. Whitehead kazał jej wejść i kiedy uklękła tyłem do niego, wychylił się, rozpalony, z łóżka, żeby złapać ją za biust osłonięty półprzejrystym różowym fartuchem. Pani Fry odwinęła się i palnęła małego Keitha w ucho z taką siłą, że się rozplakał, i to nie z powodu szoku czy frustracji, ale po prostu z bólu.

– Ma pani wszystko, co trzeba, pani Fry?

– Tak, dziękuję, panie Villiers. – Uśmiechnęła się, odsłaniając sztuczne zęby idealnej białości. – Praszam! – huknęła na Keitha, który natychmiast przezornie zaklinował nogi pod krzesłem.

– Kurwa! – rzekł Andy do siebie, poprawiając oburącz spodnie w kroku. – Te dżinsy nie są w ogóle dopasowane do nabiału.

– Pani pozwoli – powiedział Quentin, przytrzymując pani Fry drzwi. Kiedy zniknęła, zwrócił się do Andy'ego: – Uważam, że wykazałeś się chwalebłą powściągliwością, Andy. – W głosie Quentina pobrzmiwała ledwie wyczuwalna nutka dezaprobaty.

– Co? Ach, tak – odparł Andy. – Kurwa, przecież ona po prostu liże te podłogi. – Fala wściekłości powróciła jak impuls elektryczny. Znow natarł z furią na małego Keitha: – Nic? Nawet oszołomienia, jakiegoś odrętwienia, rauszu, poczucia luzu...

Keith, który zareagował na słowo „rauszu” groźnym wysunięciem dolnej wargi, powiedział:

– Nic a nic, Andy.

Adorno potrząsnął głową, jakby chciał w ten sposób odzyskać zdolność trzeźwego myślenia. Cofnął się, okrążył pokój i znow spojrzał wyczekująco na Keitha.

– Weź jeszcze dwie. Weź cztery. Weź...

– Przyhamuj, Andy – rzekł Quentin. – Zrobili cię w konia, to wszystko.

– Ty mnie lepiej nie wkurwiał – powiedział Andy do Keitha z nutką nadziei w głosie.

– To po prostu nie działa, Andy.

– Och, ten pieprzony bambus! – Andy zaczął w szale wymachiwać rękami jak wiatrak. – O Jezus! „Ej, brachu, to kurewsko dobry towar, mówię ci, przyjacielu, wyrwie ci łeb z dupy”. Cztery dychy! – Wyciągnął z kieszeni płaską tabakierkę i cisnął ją na stół, skąd spadła i z grzechotem poturlała się po podłodze kuchni. Andy wyprostował się i powiedział z nieoczekiwanym spokojem: – Idę mu dołożyć. Idziecie ze mną?

– Już, tylko wezmę płaszcz – rzekł Quentin. – Keith, jakby Celia o mnie pytała, to wracam za dwadzieścia minut.

– Co masz zamiar mu zrobić? – zapytał Keith Andy’ego, kiedy Quentin wyszedł z kuchni.

Andy podniósł do góry sękata, upierścienioną pięść.

– Albo odda mi forszę i tyle prochów, ile uniosę, albo wypruję z niego flaki. Mówię ci, zrobię z niego czarną marmoladę... Quentin!

Motorower Andy’ego zaniósł się wściekłym warkotem. Keith usłyszał trzaśnięcie drzwiami, żwir trysnął spod kół, zgrzytnęły biegi, motorower pomknął ulicą miasteczka. Lekko roztrzęsiony Keith nachylił się, żeby podnieść tabakierkę z prochami. Otworzył ją i przez kilkanaście sekund wpatrywał się w jej zawartość.

9. Dżin i łyż

– Gul, gul, gul – powiedział cicho do siebie Giles, nalewając sok z limony do oszronionej zlewki i oglądając go pod światło. – Gul, gul, gul, gul, gul.

Patrząc z zewnątrz, z ulicy, można by wziąć widocznego w oknie Gilesa Coldstreama za jakiegoś szalonego naukowca, gdyby nie łagodny wyraz

jego twarzy. Biurko, nad którym się pochylał, było istnym syczącym, musującym i bulgoczącym laboratorium, zastawionym shakerami do martini, elektrycznymi mieszadłkami, korkociągami, syfonami, pojemnikami z lodem, ochładzaczami do szkła, wyciskaczami do cytryn, łyżeczkami.

Nie odrywając wzroku od pokrytej mgiełką zlewki, Giles zaczął macać prawą dłoń, aż natrafił na pękatą butelkę dżinu Gordona. Odkręcił zakrętkę, przechylił butelkę i zmarszczył brwi.

– Ach, pusta – mruknął.

Przeszedł wolnym krokiem przez pokój, otworzył podwójne drzwi swego olbrzymiego baru z drzewa tekowego, wybrał butelkę dżinu z baterii nietypowych flaszek stojących na najwyższej półce i wrócił do biurka. Napełnił wysoką zlewkę prawie po brzegi i po namyśle dodał kroplę toniku, karcąc się w duchu za przeoczenie. Wypił na próbę mały łyżek. „Pyszne”. Pociągnął znów, tym razem solidny łyk, i poczłapał do łóżka. Obdarty egzemplarz *Czarnego księcia* Iris Murdoch w kieszonkowym wydaniu, historia romansu sześćdziesięcioletniego mężczyzny z dwudziestoletnią dziewczyną, leżał otwarty na poduszce. Giles przeczytał jeszcze parę stron, nim na dobre rozczarowany upartym pomijaniem przez miss Murdoch kwestii różnicy w uzębieniu kochanków, rzucił ze złością książkę pod łóżko.

– Nie można bez przerwy „powstrzymywać niedowierzania” – mruknął.

Ze stosu książek w twardej oprawie, na który padł *Czarny książę* – a były tam takie pozycje, jak *Zęby – higiena jamy ustnej*, *Fakty z historii protetyki*, *Dzień z życia dentysty*, *Ząb* – wyciągnął na chybił trafił jedną i dręczony złymi przecuciami zapadł się w miękką poduszkę.

Dwadzieścia stron później rozległo się energiczne pukanie do drzwi.

– Giles?

Spojrzał znad książki.

– Tak?

– Telefon.

– Kto?

– Jakaś starsza pani.

– Nie, pytam, kto za drzwiami.

– Celia.

– Ach tak? Słuchaj, Celia, nie mogłabyś no, tego...

– Czego? – Celia zmagiała się z klamką. – Nie mogę...

– Zaczekaj. – Giles zsunął się z łóżka i podreptał do drzwi. Odryglował trzy zasuwki i uchylił je na parę milimetrów.

Na widok Celi wrzasnął wystraszony.

– O Jezu, przepraszam – powiedział po dłuższej chwili. – Naprawdę cię nie poznałem.

Celia miała twarz pokrytą jakimś smalcowatym kremem i włosy szesane ukośnie do tyłu z wypukłego, kanciastego czoła. Wyglądała jak jakieś blade czupiradło.

– Słuchaj... – Giles pstryknął niemrawo palcami.

– Celia.

– Celia. Słuchaj, Celia, to pewnie dzwoni moja matka. Właściwie to na pewno ona. Czy nie mogłabyś jej łaskawie powiedzieć, że jestem chory?

– Nie, niestety nie mogę. Już jej powiedziałam, że jesteś zdrów.

– Aha. Czy słusznie się domyślam, że masz telefon w pokoju? Mogę go tam odebrać?

Celia obróciła się na pięcie i ruszyła przed siebie, a Giles po chwili wahania powlókł się za nią korytarzem.

– A co z twoim telefonem?

– Przeciąłem kabel – odparł Giles nie bez dumy.

Celia weszła do pokoju pierwsza i wskazała mu telefon stojący przy oknie.

– Ale dlaczego to zrobiłeś? – zapytała.

– Te niespodziewane dzwonki podrywają mnie czasem na równe nogi. Boję się, że któregoś dnia się przewrócę i wybiję sobie...

Chciał powiedzieć „zęby”, ale zamilkł bezradny, stojąc nieruchomo w progu.

– No, skoro już tu jesteś, to odbierz ten telefon.

– Och, dziękuję ci... Celio.

Celia podeszła do toaletki. Sięgnęła po szczotkę do włosów i przewróciła oczami.

– Wiesz, że jedzie od ciebie dzinem, Giles?

– Naprawdę? – zapytał Giles, jakby z lekka zaintrygowany. – Nie, nie wiedziałem. – Posłał Celi jeden ze swych uśmiechów, to znaczy zacisnął i rozciągnął wargi. – Halo? Mama? Ach, witaj. To ja, Giles. Jestem zdrów, dziękuję, czuję się świetnie. Ach, nie, dziś nie czuję się w zasadzie nadzwyczajnie. Och, mam mnóstwo rzeczy do zrobienia. Jestem zajęty jak diabli. A jutro jest, no wiesz, niedziela; w niedzielę nie da się... Gdyby jutro była sobota, to nic prostszego... Jesteś pewna? – Giles zakrył dłonią słuchawkę i spojrzał nieprzytomnym wzrokiem na Celię. – Chyba dziś nie piątek, co? O Boże. – Spojrzał w zadumie na telefon. – Co? Tak, mamo, masz rację. Więc jutro jest sobota. Doskonale. Świetnie! Przypuszczam, że wobec tego wpadnę. Do widzenia. Ja też cię kocham.

Wstał i przez chwilę wyglądał przez okno.

– Patrz, Andy i twój mąż jadą na motorowerze – mruknął i odwrócił się, żeby wyjść.

– A tak w ogóle, to co się ostatnio dzieje z twoją matką?

– Nic, tylko jej odbiło. Po prostu zwariowała. Zwariowała kompletnie.

Wróciwszy do swego biurka, Giles szybko przyrządził sobie i natychmiast wypił drinka – wysoką, orzeźwiającą szklankę soku z limony, toniku, lodu, dzinu i łez.

A teraz wszyscy zaczynają się zbierać w kuchni.

Adorno, który nie przyszedł jeszcze do siebie po przeprawie z Kaszdrarem Chodzą, krąży jak głodna bestia, podskakując, robiąc uniki, markując ciosy. Diana, w białym komplecie złożonym z kamizelki

i szortów, pali mentolowego ze złotym ustnikiem i przygląda mu się z lekkim niesmakiem. Mały Keith siedzi przy stole; nęka go przejmujący, przeszywający na wskroś ból żołądka i jąder, co zawdzięcza sztruksowym spodniom, w jakiś cudowny sposób mieszczącym dolną połowę jego ciała. Ma też na sobie bajerny siatkowy podkoszulek zalatujący starym samochodem i buty na tak wysokim obcasie, że aby je włożyć, musi w nie wejść z krzesła. Kiedy tylko trafia się okazja, mały Keith skupia całą swą uwagę na biuście Diany. Dzięki trudom poniesionym przed ołtarzem toaletki koścista twarz Celi nabrała gładkiej, winylowej świetlistości, podobnie jak – przez czysty przypadek – jej ciało, skrępowane złożonym systemem kwiecistych szarf, które w talii przechodzą w podbitą skórą, krótką spódniczkę à la Jane z *Tarzana*. Beznamiętnym głosem strofuje swojego męża, który zniknął akurat wtedy, kiedy mają przyjechać goście. Quentin ripostuje, że nie mógł przecież pozwolić, żeby Andy został sam na sam z tym przebiegłym czarnuchem, którego zresztą omal nie zabił.

– Spoko – mówi Andy, markując walkę z cieniem w rogu kuchni. – Trochę mu tylko przyłożyłem, żeby znał swoje miejsce.

Jest południe, dokładnie dwunasta. Przez żeberka żaluzji wpadają do kuchni jasne listwy słońca.

Poobijany chevrolet, rocznik 78, przemyka po wyżwirowanym, łukowatym podjeździe i zatrzymuje się w obłoku kurzu, pryskając żwirem spod kół na podłużną rabatę z różami, odległą o pięć jardów od drzwi frontowych. Zapada nabrzmiała ironią cisza, kiedy troje Amerykanów wysypuje się z samochodu. Przeciągają się i prostują kości, z rękami na biodrach obrzucają taksującymi spojrzeniami dom, popatrując na siebie z krzywymi uśmiechami do chwili, gdy poruszenie w kuchni ostrzega ich, że są obserwowani. Trzy twarze stają się czujne.

Wszyscy oprócz małego Keitha instynktownie wysypują się do hallu.

– Zaczyna się weekend – mówi Quentin.

X Quentin

– Jedyną nieco irytującą rzeczą związaną z katastrofą samolotu, w której zginęli moi rodzice – mówi z lubością szacowny Quentin Villiers – jedynym szczegółem wiadomości, który nie pozwolił mi po prostu rozplakać się z radości, było to, że mój brat Neville przeżył... Nie licząc wakacji, miałem dość ponure i samotne dzieciństwo – szpital pod wezwaniem Jezusa Chrystusa, Winchester, posiadłość rodowa – i znałem Neville’a tylko jako otyłego i raczej beznadziejnego młodego człowieka, który co dwa lata odwiedzał nas, żeby zanudzać rodziców i oskubywać ich z pieniędzy. Nie muszę chyba dodawać, że nie zasługiwali na nic innego. Tak się szczęśliwie składa, że Neville jest o osiemnaście lat starszy ode mnie, a poza tym jest homoseksualistą i alkoholikiem. Szczerze uradowała mnie wiadomość, która dotarła do mnie ostatnio, że podczas urlopu w żonodajnej Indonezji (gdzie mój brat udaje agronoma), Neville nabawił się szczególnie uporczywej, „obustronnej”, że tak powiem, odmiany syfilisu, której nawet najczęstsze wizyty w podobno bardzo przygnębiającej przychodni nad dalekim południowym krańcem rzeki bynajmniej nie zahamują, nie mówiąc już o całkowitym wyleczeniu. Jadam z nim obiady u White’a tak często, jak tylko mogę sobie na to pozwolić, i obserwuję jego postępujący rozkład z ogromną radością. Neville cierpi też oczywiście na gościec – sławetną i w sumie dość atrakcyjną przypadłość Villiersów, choć mnie jak na razie ominęła. Ma też zatrwająco wysokie ciśnienie, a serce chimeryczne; oczekuję z godziny na godzinę wiadomości o jego śmierci. – (W tym momencie Quentin ujmuję zwykle Celię za rękę lub patrzy na nią czule swym

jedwabnym spojrzeniem). – Wtedy odziedziczyłbym w niezbyt odległej przyszłości cały majątek. Neville miał przynajmniej dość sprytu – i dzięki Bogu! – żeby wyciskać z ojca pieniądze przez dziesięć lat, zanim ten, w samą porę, zszedł z tego świata. Nie wyobrażam sobie teraz, żeby mój brat przeżył kolejną dekadę; śmierć zabierze na pewno swoją upiorną należność. Posiadłość powinna nam zagwarantować życie we względnym komforcie do końca naszych dni, a tytuł szlachecki może być w tym jeszcze dziś pomocny. Zastanawiam się, czy nie podjąć walki o zmianę tej fatalnej zasady dziesięcioletniej kadencji, kiedy już zasiądę w Izbie Lordów... Ale na razie muszę żyć dalej, głównie na koszt żony – która ma dzięki Bogu trochę pieniędzy – a po drugie ze swojej własnej, skromnej pensji, którą, jak wszyscy tu wiedzą, staram się niestrudzenie uzupełniać dodatkowymi dochodami. Wasze zdrowie!

Oczywiście Quentin był człowiekiem biegłym w stylizacji, mistrzem pastiszu, koneserem w zakresie werbalnej autodramatyzacji – i musiał tym wszystkim być. Choć związany z Uniwersytetem Londyńskim, był jedynym członkiem jego kadry, który nie miał obowiązku ubiegać się o stopień naukowy. Natomiast redagował tam – mniej lub bardziej samodzielnie – uniwersyteckie pismo, satyryczno-polityczno-literacki magazyn pod tytułem „Yes”. Obowiązki redaktorskie były jedynym „bezbolesnym” zajęciem. Quentin przebrnął przez rozmowę kwalifikacyjną, przyniósłszy pełną teczkę anonimowych, uczonych rozprawek, nie swojego autorstwa, plik starannie podrobionych referencji i ckliwy panegiryk napisany przez pewnego homoseksualistę, redaktora działu literackiego w jednej z niedzielnych popołudniówek. Niepotrzebnie zadał sobie tyle trudu: recenzje nigdy nie zostały przeczytane, referencji nie przejrano. Kiedy Quentin, srebrzysty Lycidas^[1] ubrany w obcisły garnitur z białego zamszu, wszedł do sali, w której zebrała się komisja, z piersi wszystkich jej członków wyrwało się zbiorowe tęskne westchnienie. Podczas gdy Quentin kreślił swoje wydawnicze plany, członkowie komisji mogli tylko patrzeć maślanym wzrokiem w jego oczy

koloru szampana. Kiedy skończył, nastąpiła nieśpieszna wymiana skinień głowy i uśmiechów i Quentinowi podziękowano za przybycie. Żadnych innych kandydatur nie rozpatrywano.

Praca edytorska Quentina była zaiste jego *jeu d'esprit*, osobistym *tour de force*.

Zacznijmy od tego, że większość recenzji z książek pisał sam. Mógł sobie pozwolić na odczekanie pewnego czasu po publikacji książki, a potem skolacjonować i zsyntetyzować notki z konkurencyjnych pism, znaleźć w nich punkty zbieżne i przepisać, nadając temu wszystkiemu niemożliwy do podrobienia, niepowtarzalny styl pisma „Yes”. I tak jednogłośnie werdykt recenzentów, że styl jakiegoś kawałka prozy był ozdobny i zdradzał dużą samoświadomość autora, skłaniał Quentina do napisania:

Takie to a takie zdania brzmią niczym jakiś rozbuchany kolaż George Eliot w najbardziej afektowanych fragmentach jej prozy i Jamesa Joyce'a w partiach najbardziej enigmatycznych.

Kiedy był pijany:

Taka i taka książka robi wrażenie, jakby jakiś pijany kompozytor oddał w swym dziele obłąkańcze skowyty Henry'ego Jamesa i Gertrudy Stein splecionych w jakimś werbalnym soixante-neuf.

Albo, jeśli biografę uznawano ogólnie za niedelikatnego w ukazywaniu prywatnego życia jego bohatera, Quentin pisał:

Taki a taki gmera brudnymi paluchami w życiu prywatnym bohatera jak podrzędny detektyw szperający w księgach rachunkowych burdelu.

Kiedy był zaćpany:

Taki a taki grasuje po intymnych zakamarkach prywatnego życia swego bohatera z taktem i dyskrecją odmóždzonego orangutana, który usiadł na jeżu.

Gdy jakiegoś krytyka literackiego uważano powszechnie za nazbyt łaskawego dla wybranego autora, Quentin pisał:

Gdyby zawierzyć takiemu a takiemu, Szekspir, porównany z pisarzem,

któremu krytyk ów tak bezwstydnie kadzi, zostałby uznany za co najwyżej imitatora McGonagalla.

A kiedy był na prochach?

Przy bałwochwalczym bełkocie takiego a takiego o jego autorze panegiryk, w którym Tennyson sławi Wellingtona, robi wrażenie podwójnego nelsona i rzutu na matę zakończonego zgruchotaniem przedramienia.

I tak dalej, i tak dalej. Recenzje owe, rzadko zawierające więcej niż dwie setki słów, nie rościły pretensji do miana definitywnych ocen, ale były, jak to widać, pisane „żywym” językiem i odznaczały się swoistą „rzeczowością”. Quentin wstawiał trudne i efektowne nazwiska, takie jak O. Seltnitz lub D.R.S.M. Mainwaring, które zdawały się łączyć z licznymi kontami bankowymi w kraju i za granicą. Przy rzadkich okazjach, kiedy Quentin czuł się zobowiązany do zamówienia recenzji u kogoś innego, kazał Celi przepisywać je na maszynie, a następnie odsyłał oryginał z powielonym druczkiem o następującym brzmieniu:

Szanowny Panie / Pani: Redakcja „Yes” żałuje niezmiernie, że nie może zamieścić łaskawie nadesłanego materiału, i niniejszym zwraca go Panu / Pani.

Quentin nigdy nie zadawał sobie trudu skreślenia „Pana” lub „Pani”, ale nigdy też nie darował sobie odręcznego dopisku na odwrocie:

Widziałem w życiu dużo szajsu, ale na litość boską, Pańskie wypociny biją wszelkie rekordy pod tym względem. Pozbawione wyobraźni, niechlujnie napisane, słabo umotywowane i płytkie myślowo – mógłbym tak ciągnąć w nieskończoność. Czy był Pan pijany, kiedy Pan to pisał, czy może to jakiś żart? Tak czy inaczej nie będę więcej zamawiał u Pana żadnych materiałów. QV.

PS Proszę niezwłocznie zwrócić książkę.

Dwa miesiące później recenzja ukazywała się, zwykle w kolumnie Przegląd Wydawniczy, „przetasowana” i radykalnie dla niepoznaki przerobiona. Współpracownicy pisma często podejrzewali Quentina

o takie niecne praktyki, ale byli zbyt młodzi, nieśmiali i zakłopotani, żeby poruszać tę sprawę i nadawać jej dalszy bieg. Niesamowita estyma, jaką budził Quentin, sprawiała, że szybko wyciszano wszelkie zażalenia kierowane do władz uniwersyteckich i w większości przypadków jedyną nieprzyjemną konsekwencją były unżone listy autorów recenzji z prośbami o danie im jeszcze jednej szansy.

Jeśli chodzi o polityczne oblicze pisma, Quentin wypełniał szpalty zaprawionymi jadem kawałkami, zbyt drażliwymi i skrajnymi, żeby zechciała to wydrukować jakakolwiek inna gazeta. Kolumny poświęcone korespondencji uważano za najbardziej frapujący przykład nowoczesnego dziennikarstwa. Autorów listów nie interesowały na ogół honoraria, a poza tym Villiers wyjaśniał wszystkim, że „Yes” jest pismem niekomercyjnym. Resztę pisma wypełniały wyjątkowo podłe plotki na temat różnych zmyślonych postaci (*Anthea K. zdradziła mi, że wciąż nęka ją ich problemy Henry’ego W. z erekcją*), niezła satyra, artykuły wstępne wydębione od zaprzyjaźnionych znakomitości, odznaczająca się erudycją, choć często niedbale zredagowana kolumna poświęcona współczesnej muzyce (pisał o niej bez honorarium, ale domagał się płyt i biletów na koncerty) i znakomite recenzje Quentina z filmów i sztuk teatralnych. Sprawami technicznymi zajmował się (za śmiesznie małe pieniądze) Keith, którego wpadki drukarzy omal nie przyprawiły kilka razy o atak serca i którego doprowadziło do częściowej ślepoty wymuszane przez Quentina ekspresowe czytanie szczotek.

„Yes” odniosło zdumiewający sukces. Quentin dzięki swemu czarowi pozyskał do współpracy kilka wielkich nazwisk i masę innych ludzi jako prenumeratorów. Nakład szybko się potroił, a po tym, jak na pierwszej stronie ukazało się zdjęcie Quentina w turkusowym garniturze (podpis głosił: „Quentin Villiers, redaktor naczelny „Yes”, rozmawia podczas konferencji z Jamesem Altmanem i Englishem Hoenikkerem [obaj poza kadrem]”), pismo doczekało się szczerych pochwał od Williama Burroughsa, Gore Vidala, Angusa Wilsona i całej plejady wybitnych

intelektualistów.

Quentin jest supermanem. Cóż za zdumiewająco wszechstronny facet! Może przez cały dzień rozmawiać z rzeźnikiem o trwałości importowanego mięsa, ze stewardesą o przepisach bezpieczeństwa obowiązujących w hangarach lotniska de Gaulle'a, z agentem ubezpieczeniowym o postdatowanych, przekazywalnych polisach, z poetą o nietypograficznych sposobach odróżniania sześciosylabowych trzywierszowych strof od dwuwierszowych strof dziewięciosylabowych, z ekonomistą o przedwojennej teorii antyinflacyjnej, z zoologiem o kompensacyjnych ruchach gałek ocznych legwana. Co więcej, potrafi zagadać do straganiarza rymowanym slangiem, do turysty francuskiego w *argot*, do Szkota w gwarze Geordie, do handlarza koni z Newmarket w „ziemiańskim” dialekcie z hrabstwa Cambridge, do Cygana po romsku. Potrafi parodiować mimicznie nie tylko abstrakcyjne typy ludzkie, ale także bliskich znajomych. Może wywołać Gilesa z pokoju, wołając: „Matka?”, sprawić, że Whitehead gna jak zając do garażu na dźwięk jazgotu pani Fry, skłonić Andy'ego, żeby ofuknął milczącą Dianę za to, że ta go wciąż strofuje, przekonać własną żonę, że to nie on siedzi w ciemnym pokoju. Te naśladowcze talenty idą w parze ze zdumiewającą zmiennością jego wyglądu zewnętrznego. Quentin może wprawić w osłupienie gości podczas koktajlu samym swoim wejściem albo też dla odmiany krążyć po salonie przez pół godziny, wysłuchując utyskiwań, że się nie pojawił. Potrafi wparadować do Savoyu w podkoszulku i džinsach albo chyłkiem przemknąć przez slumsy Glasgow w smokingu. Może przerwać obrady konferencji ruchem małego palca, a mimo to pozostać tak niedostrzegalnym, że dyrektorzy zaczynają dyskutować o jego pensji, nie uświadamiając sobie obecności delikwenta. „A w każdym razie tak się wydaje – lubi powtarzać Quentin – i tylko o to chodzi”.

Przyjrzyjmy się Quentinowi dokładnie. Wszyscy to robią. Oszołomieni jego powierzchownością i odpowiednio, wprost proporcjonalnie zaskoczeni

jego przystępnością, mile połączonymi okazywanym im zainteresowaniem, uderzeni okazywaną przezeń zażyłością i uśpieni hipnotycznym brzmieniem jego dźwięcznego głosu, nie mogą się w nim choć troszkę nie zakochać, gdy już go poznają.

11. Ludzki wigwam

Czy on na przykład wie, co ja teraz czuję? – zastanawiał się Whitehead, kiedy Quentin, zanim odryglował frontowe drzwi, zerknął za siebie do kuchni i obdarzył go łaskawie dziwnie przenikliwym i zarazem osobliwie łagodnym uśmiechem, przy którym kąciki jego pięknie wykrojonych ust wyginały się do dołu.

Czy on wie, jak to jest, kiedy człowiek poznaje dziewczynę o głowę wyższą od siebie, czy zna owo karle upokorzenie, jakie człowiek czuje, podając rękę komuś, kto jest praktycznie dwukrotnie wyższy, czy zna to uczucie dławiącego napięcia, jakie dopada podstępnie człowieka mającego cztery stopy jedenaście cali wzrostu (a w wydaniu Keitha pięć stóp, jeden cal), kiedy poznaje bliźniego, który przekroczył magiczną granicę sześciu stóp? Oczy nadchodzących Amerykanów zarejestrowały Keitha jako istotę wyglądającą przez okno, chłonącą ich wzrokiem, wspinającą się na palce, kiedy szli w stronę hallu; wydał im się wybranym przykładem, żywą ilustracją elementarnych różnic, jakie mogą dzielić standardowe okazy rodzaju ludzkiego. Oni – jeden smukły, blady olbrzym z konopnymi włosami i plastelinowymi członkami, drugi goblin z gąbczastą twarzą, którego brązowe warkocze sięgały do pasa. No i... ta Roxeanne – to chyba jeden z tych niesamowitych eksperymentów genetycznych, amerykańska dziewczyna z rozkładówki – dobrze ponad sześć stóp na platformach, płomień lśniących rudych włosów, piersi jak dwa zeppelin, duży, jędrny, wysoko zawieszony tyłek, nogi do samej szyi. Podczas przygotowań do tej

ciężkiej próby Keith modlił się o to, żeby mógł ją przejść na siedząco, bo w ten sposób nie eksponowałby swej nędznej postury. Teraz, patrząc na Quentina, jak z uśmiechem na twarzy idzie tanecznym krokiem, by uściskać przybyszów, i jednocześnie obserwując Celię, jak zbliża się do tamtej czwórki dostojnym, wystudiowanym krokiem, Whitehead zaczął dostrzegać całą grozę tego, co dopiero trzymał dłoń w zanadrzu los.

Quentin wyciągnął rękę do żony i zwrócił się do przyjaciół:

– Marvell... Skip... Roxeanne – powiedział ochryplym głosem, przeskakując wzrokiem z jednej twarzy na drugą – poznajcie: moja żona.

Nastąpiła pauza. Potem Celia ruszyła naprzód, by wkroczyć w krąg ramion obejmujących ją i ściskających po kolei. Roxeanne ucałowała ją w oba policzki, a Skip i Marvell mocno w usta. Koliście ustawiony kwartet pochylał się do przodu i stykał czołami. Oszukując własne emocje, Quentin spojrział w stronę werandy, na której Andy, Diana i Whitehead, stali niepewnie, w rozsypce.

– No chodźcie tu! – Głos Quentina zabrzmiał rażno, dziarsko.

– Pieprzę to – syknęła Diana.

– Daj spokój, to tylko propozycja – powiedział Andy, ruszając przez podjazd do gości.

Keith patrzył skrzywiony, jak Andy całuje Roxeanne – z nieprzyzwoitą zachłannością, jak pomyślał – i wita się na krzyż z Marvellem i Skipem. Pięć czoł zetknęło się podczas tego ceremoniału. Whitehead spojrział w górę, na Dianę.

– Do diabła z nimi, co? – powiedział błagalnie.

Diana, bardziej dlatego, żeby nie pozostawać z odrażającym Keithem niż żeby być z innymi, spojrzała na niego z wyrazem znużonej pogardy i zostawiła go samego w progu. Nastąpiła jeszcze sztywniejsza wersja rytuału, jaki towarzyszył powitaniu Celi, a potem cała piramida nóg, rąk i twarzy zwróciła się wyczekująco w stronę małego człowieka.

Keith wciąż rozważał rozmaite możliwości: Pobiec z wrzaskiem do swojego pokoju? Upaść na twarz? Rozplakać się? Zacząć wariować? – ale

zanim zdążył cokolwiek postanowić, ku swemu zaskoczeniu znalazł się na podjeździe. Podskakując jak piłka, wołał piskliwym głosem:

– Znajdzie się miejsce dla jeszcze jednego?

– Prosimy tutaj – odparł bez namysłu Marvell.

– Prosimy bardzo – dodał Skip, rozłączając się z Celią, żeby zrobić Keithowi przejście.

– Och, jaki jesteś malutki! – zawołała Roxeanne, najwyraźniej zachwycona.

Gdy Keith uniósł swe ułożone w dzióbek usta w górę, ku siedmiu uśmiechniętym twarzom, Roxeanne, podtrzymywana przez Quentina i Andy'ego, nachyliła się, by je ucałować. Nie zdążyła jednak tego zrobić. Noga Quentina obsunęła się na żwirze, podcięła Roxeanne, ludzki wigwam zachwiał się, zatoczył i zrobiwszy parę drobnych kroczków, runął wśród okrzyków niepohamowanej wesołości na ziemię.

Wstawali po kolei, gramoląc się i zaśmiewając.

– A teraz prochy – rzekł Quentin, próbując złapać oddech. – Masa prochów.

Stanowisko mieszkańców Appleseed w tej kwestii zostało kilka minut później w sposób niezwykle elokwentny podsumowane i zyskało sobie gorącego poplecznika w osobie Marvella Buzhardta, małego, przypominającego sowę Amerykanina, absolwenta psychologii, antropologii i nauki o środowisku Uniwersytetu Columbia, „podziemnego” dziennikarza, filmowca i propagatora popkultury. Doktor Buzhardt zasiadł przy kuchennym stole i puściwszy w obieg kupioną w bezcłowym sklepie gorzałkę, zaczął wraz z Quentinem i Andym szykować skręty, podczas gdy kobiety przygotowywały przekąski na planowany piknik. Skip rozładowywał chevroleta, Whitehead pobiegł po sprawunki do minimarketu. Marvell opublikował ostatnio w Berkely Alternative University Press krótką monografię poświęconą narkotykom i obiecał, że przed odjazdem wyszpera dla nich jakiś egzemplarz.

– Co piszesz w tej swojej książce, przyjacielu?

– Mocno rzecz upraszczając, Andy, stwierdzam w *Laboratorium umysłu*, co następuje... – zaczął Marvell. – Od pewnego już czasu dla wszystkich rzetelnie badających ten problem stało się jasne, że mózg jest zespołem mechanicznym i że jego aberracje nie mają związku ze środowiskowym czy psychologicznym kontekstem, ale polegają na czysto chemicznych reakcjach. I to wszystko, nie ma w tym nic więcej. Idea ta przebija się do ludzi z wielkim trudem, ponieważ nie chcą oni uwierzyć, że nie mamy w sobie żadnego pierwiastka boskości. Powiedzmy, że wariujesz: staje się tak dlatego, że masz łeb zapakowany jakimś szajsem, jakimiś parszywymi chemikaliami. W każdym razie to jest punkt wyjścia polemiki, jaką podejmuję w mojej książce.

W tym momencie doktor zaniechał wszelkich czynności związanych z haszem i bibułkami, żeby podeprzeć w zamyśleniu czoło, co lekko, prawie niedostrzegalnie zniecierpliwiło Andy'ego, mniej zainteresowanego rozmową o narkotykach, bardziej tym, by się jak najprędzej nabuzować.

– No dobrze, więc jeśli już zwariujesz – ciągnął Marvell – dają ci jakieś dobre środki chemiczne, żeby wywołać kontrakcję i zneutralizować te zło w twoim mózgu. Albo stosują elektrowstrząsy. Najbardziej tajemniczą rzeczą w mózgu jest jego złożona struktura. Nie ma w tym nic cerebralnego, człowieku: wystarczy jeden bazowy reaktor i trochę zakończeń nerwowych i nauka będzie mogła osiągnąć podobne rezultaty. Dlaczego by więc nie spróbować?

– Nie wiem – odpowiedział Andy bezmyślnie na dociekliwe, choć w gruncie rzeczy retoryczne pytanie wpatrującego się weń Marvella.

– Nie ma żadnego powodu, żeby tego nie zrobić! Posłuchaj mnie, kurwa: zgodziliśmy się co do tego, że życie jest gówno warte i nie ma nic zabawnego w pozostawaniu ciągle tym samym sobą. Dlaczego by więc nie zacząć robić z mózgiem tego, co robimy z ciałem? Pieprzyć te wszystkie wytarte komunały, te farmazony o miłości, zrozumieniu, współczuciu –

użyjemy narkotyków jako swoistego... swoistej poduszki dla świadomości, pokierujemy nią, ochrońmy, stymulujemy ją. Mamy teraz fantastyczny wybór prochów, Andy. Mamy prochy wywołujące euforię, smutek, podniecenie seksualne, agresję, poczucie klarowności wszystkiego, czułość. Mamy takie kombinacje narkotyków, które wywołają każdy rodzaj halucynacji lub dowolnie zmodyfikują doznania zmysłów. I dla odmiany mamy też dragi, które mogą natychmiast zneutralizować ten efekt. Żadnych tam idei à la Leary – żadnej „religii”, żadnych fałszywych obietnic. Mamy „chemiczną władzę” nad naszą psychę, więc użyjemy jej i bawmy się dobrze.

– Gadka-szmatka – rzekła Diana. – A co z uszkodzeniem mózgu? Z fałszywą pamięcią, uliczną melancholią...?

– Cóż... – Marvell kiwał na boki swoją kudłatą głową. – To jest coś w rodzaju dodatku świadczącego o...

– A zresztą większość z tego – odezwała się Roxeanne – to histeria wywołana przez media.

Quentin:

– Jak książka została przyjęta, Marvell?

– „Pig” i „Smeg Sunday” oszalały z zachwytu. Jedyne recenzje w zwykłej prasie, do których dotarłem, próbowały ją oczywiście zlekceważyć jako rodzaj agitki i propagandy psychotropów.

– Oczywiście – rzekł Andy, sięgając po maszynkę do skrętów należącą do Marvella. – Można było to przewidzieć. No dobra, a co przygotowałeś nam na dzisiaj?

Doktor uśmiechnął się.

– Wszystko, czego zapragniesz.

12. Rosły i wspaniały

Całkowicie oszołomiony kolosalnym wrażeniem, jakie najwyraźniej zrobił na gościach, Whitehead przemykał drżący przez ogród. Jego zamiarem, wręcz misją było teraz utrwalenie i podbudowanie dobrego samopoczucia; postanowił to osiągnąć, odwiedzając pewnych ludzi, jedynych jak dotychczas swoich znajomych, przy których czuł się oszałamiający, rozluźniony, boski, wspaniały jak gwiazda pop, prawdziwe panisko, człowiek sukcesu, mężczyzna stylowy, seksowny, błyskotliwy, bogaty, rosły i w ogóle wspaniały. Czyli postanowił wpaść do państwa Tuckle.

Państwa Tuckle?

Tak, państwa Tuckle. Kiedy Quentin i Andy byli na urwańcu albo działali pod wpływem jakiegoś szczególnie elektryzującego specyfiku, pędzili często przez trawnik i dawali zdrowo popalić panu Sydneyowi Tuckle'owi i jego małżonce, parze zramolałych staruszków, których usiłowali wykurzyć z należącego do kompleksu Appleseed parterowego, dwupokojowego domku, dostawionego do ściany w rogu ogrodu, tuż przy murze okalającym posiadłość, i osłoniętego od strony domu szpalerem pozbawionych kwiatów rododendronów. Państwo Tuckle zostali tu zainstalowani pół wieku temu, jako totumfaccy poprzedniego właściciela i niez mordowanie opierali się próbom ich wysiudania. Z punktu widzenia prawnego byli nie do ruszenia, ale Quentin i Andy, którzy utrzymywali, że marzą o przerobieniu przybudówki na coś, co byłoby jednocześnie gabinetem, domem dla gości i lamusem, twierdzili, że gdyby tylko dostatecznie obrzydzić życie parze staruszków, ci wynieśliby się sami.

Quentin na przykład zainstalował pod oknem Tuckle'ów głośnik w plastikowej obudowie i nastawiwszy siłę głosu na fuł, grzał tak, że pękały szyby i bębenki w uszach – emitowane dźwięki przypominały połączenie odgłosu karambolu na drodze z kanonadą artyleryjską, rykiem startującego odrzutowca, gwarem tłumu, ciężkim dyszeniem, warkotem czołgów w natarciu, syrenami ambulansów, szarżą stada słoni, krzykami, wrzaskami i wykrzykiwanymi na całe gardło bluźnierstwami. Kiedy nie

dało to zadowalających rezultatów, Quentin transmitował przez trzy doby dźwięk o bardzo wysokiej częstotliwości; po dwóch dniach zobaczyli półprzytomnego pana Tuckle'a, jak uszczelnia okna, przy czym z ucha sączyła mu się krew. Wtedy Quentin wspaniałomyślnie powrócił do prostych, konwencjonalnych metod i przerwał emisję. Wybryki Andy'ego były ogólnie biorąc bardziej atawistyczne pod względem koncepcji. Pewnego dnia nasikał Tuckle'om przez dziurkę od klucza, a potem, przy wtórze ryków śmiechu Quentina, wypróżnił się przez komin do ich kominka. W podobnym nastroju beztroskiej zabawy zablokował na święta Bożego Narodzenia rury kanalizacyjne, wyłączył ogrzewanie i wodę, wysadził bezpieczniki i ograniczył staruszkom swobodę poruszania, na zmianę obozując przed domem z siekierą lub zaciemniając im okna tekturą (tak że nie odważyli się wytknąć nosa z domu) i polewając przez cztery doby drzwi wodą z węża ogrodowego pod wielkim ciśnieniem. Choć wymykanie się po zakupy tylną bramą było wielce ryzykowne – mogli się narazić na groźby, oplucie, poturbowanie – Quentin i Andy byli oczywiście zbyt rycerscy, żeby podjąć jakąś systematyczną kampanię. W gruncie rzeczy można podejrzewać, że gdyby para staruszków wyniosła się kiedyś, Quentinowi i Andy'emu bardzo by ich brakowało.

Whitehead zastukał do drzwi maleńkich jak drzwi domku dla lalek. Potem zapukał jeszcze raz i cofnął się o parę kroków.

– Nie bójcie się – powiedział. – To ja, Keith Whitehead.

W szparze na listy zgrzytnęło coś cichutko. Potem zaszczękały odsuwane liczne wymyślne rygle i zasuwę. Drzwi otworzyły się z wolna. Państwo Tuckle wychynęli na obce im światło dnia.

– Pan Whitehead! Dzięki Bogu! – Pan Tuckle tak się zachwiał, że Keith musiał go podtrzymać i oprzeć starego o jego własną żonę. – Przepraszam, że tak długo nie otwierałem, sir – ciągnął Tuckle – ale pan Villiers musiał pana widzieć, kiedy przyszedł pan tu we wtorek, bo wczoraj stał tu długo pod drzwiami i wołał, że to pan i że cała reszta wyjechała. Bylibyśmy

przysięgli, że to był pan, sir. Bylibyśmy przysięgli, że to był pan. Mówił zupełnie tak samo jak pan, sir. No więc, otworzyłem drzwi bez zastanowienia. Tymczasem w progu stał pan Villiers, a za nim ten czarny i trzymał pojemnik na śmieci. Rzucił nim w nas, więc uciekliśmy. Pani Tuckle oberwała pokrywą w plecy. Ten brunet by nas zaatakował, gdyby go pan Villiers nie powstrzymał.

– To wasza cholerna wina i wasza głupota, że najpierw nie sprawdzacie – rzekł Keith.

– Ma pan rację, oczywiście, sir, to nasza wina. To było bardzo nieprzemyślane.

– No i czego, do cholery, ode mnie oczekujecie w tej sprawie?

– Nie, sir, proszę nic nie robić. – Dopiero teraz w głosie pana Tuckle'a dało się słyszeć prawdziwe wzburzenie. – Nie oczekujemy od pana, że ich pan powstrzyma. Widać, że oni przeważnie nie odpowiadają za siebie. Jesteśmy panu wdzięczni za to, co pan już dla nas robi. Głęboko wdzięczni.

Pani Tuckle potakiwała mu w milczeniu, ufność wyzierała z jej wilgotnych oczu. Pan Tuckle przełknął ślinę.

– I proszę łaskawie powiedzieć panu Coldstreamowi, że jesteśmy mu niezmiernie wdzięczni za prezent.

– Jeśli nie zapomnę – rzekł Keith. (Usłyszawszy o kłopotach Tuckle'ów, Giles poprosił Whiteheada, żeby przy następnej okazji zaniósł im litrową butelkę dzinu, co też Keith zrobił we wtorek, uznawszy, że dzin jest zbyt tuczący, żeby go sobie przywłaszczyć). – A przy okazji: pani Tuckle, niech mnie pani więcej, cholera, nie prosi, żebym pani kupił fasolę w minimarkecie. Dobrze pani, cholera, wie, że jej tam nie mają.

– Przepraszam, sir, ja nie...

– A poza tym przynajmniej raz może pani zrobić zakupy sama. Mam kilkoro gości i postanowiłem urządzić piknik. W domu nie będzie nikogo od pierwszej do co najmniej trzeciej.

– Dziękuję, sir, bardzo dziękuję.

– No dobrze. I na przyszłość, jak będę pukał, to powiem... „Whitehead”. Nie będę mówił „Keith” ani inaczej. Więc będziecie wiedzieć, że to ja. „Whitehead”.

Nie był tak zachwycony własną innowacją, jak tego oczekiwał, ale kiedy Tuckle'owie zaczęli mu znów wylewnie dziękować, on kroczył już dumnie z powrotem przez trawnik, czując się zbyt wspaniale, żeby powiedzieć choć do widzenia.

13. Coś w rodzaju przywidzenia

– Nie tykać wiertła!

– Co ty wygadujesz? Giles, co ci jest?

Giles leżał na łóżku i skręcał się pod wpływem psychosomatycznego bólu zęba. Jego zduszony okrzyk był na pół deliryczną odpowiedzią na dyskretne pukanie Quentina. Do godziny wpół do pierwszej Giles zdążył wypić pięć dzinów z sokiem z limony, cztery z tonikiem, trzy z wermutem, dwa z gorzką nalewką i jeden czysty dzin.

– A, to ty, Quentin! Witaj – rzekł Giles, otwierając drzwi. – Przepraszam, że tak wrzasnąłem. Miałem coś w rodzaju przywidzenia.

– Przepraszam, że cię niepokoję. Jedziemy wszyscy na piknik i przyszedłem po ciebie.

– Dosłownie wszyscy?

– Tak, niestety.

– Ach... – Giles nie chciał nigdzie jechać, ale wiedział jednocześnie, że o pozostaniu w pustym domu nie ma nawet co marzyć. – Rozumiem. No cóż, więc chyba w takim razie pojedę.

Quentin sięgnął po dwa wielkie kartony.

– Celia przygotowała masę prowiantu – powiedział. – Ale potrzebujemy też czegoś do picia.

Giles z kamienną twarzą wziął od niego pudła i odwrócił się, żeby otworzyć swój tekowy barek. Uklęknął.

– Chwileczkę. Głównie czerwone czy białe?

– Niech się zastanowię – rzekł Quentin. – Mamy wołowinę, kanapki, kurczaka...

– Moment! Przepraszam, ale czy mógłbyś powiedzieć, jakie wziąć wina?

– Ależ jasne, Giles. Głównie czerwone. Powiedzmy sześć butelek St Emilion '74 i sześć Châteauneuf-du-Pape '77 – powiedział Quentin z prostotą. – Ach, i trochę Pouilly Fumé, dla dziewcząt.

– No... to... mamy wszystko – powiedział Giles parę minut później. – I jeszcze... – Sięgnął na najniższą półkę po litrową butelkę Napoleona i (po niemej konsultacji z Quentinem) po dwie butelki whisky Glenfiddich Irish z trochę wyższej półki. W końcu stwierdziwszy, że stojąca na biurku butelka dzinu jest co najmniej do połowy opróżniona, dołożył nową butelkę Gordona. – To powinno wystarczyć – powiedział do siebie.

– Wybornie. Zaraz zawołam Skipa, żeby nam pomógł. Och, ty jeszcze ich nie poznałeś, prawda?

Giles nie zareagował na to pytanie. Ale potem, kiedy już wyszli z pokoju, ni stąd, ni zowąd obrócił się raptownie i wczepił się kurczowo w bluzę Quentina.

– Pani Fry nie ma na dole, co? – zapytał z obłędem w oczach.

– Nie, poszła już. A co? Co ona ci wadzi? To poczciwa kobiecina, prawdziwy skarb.

Giles spojrzał na niego nieprzytomnie.

– Ona ma... Chodzi o jej... – Giles chciał powiedzieć „sztuczną szczękę”, ale nie dokończył. Kiedyś w jego obecności pani Fry kichnęła i proteza wpadła jej do zlewozmywaka. Sprzątaczką starannie ulokowała ją z powrotem w ustach. Od tego czasu Giles doznawał na jej widok napadów zawrotów głowy i reagował odruchem wymiotnym.

– Och, daj spokój, Giles – rzekł Quentin. – Moi znajomi przywieźli coś, co ci poprawi samopoczucie. Od razu ci się polepszy. No chodź.

Giles rozejrzał się dokoła, jakby po raz ostatni oglądał swój pusty pokój, pociągnął żałośnie nosem, posłał Quentinowi błady uśmiech i wyszedł, powłócząc nogami.

14. Gdzieś tutaj w okolicy

– Nie możemy tam wchodzić – rzekł Giles.

– Dlaczego? – zapytała Diana.

– Spójrz na to. – Giles pokazał wielką tablicę, sterczącą ukośnie z zasieków z drutu kolczastego. Napis na tablicy głosił:

SPIERDAŁĄĆ STĄD
OSOBOM POSTRONNYM
WSTĘP SUROWO ZABRONIONY

– No i co z tego?

– Tu jest napisane – tłumaczył Giles, jak gdyby Diana dopiero niedawno nauczyła się czytać – że osobom postronnym wstęp zabroniony.

– No więc?

– Spokojnie, Giles – rzekł Quentin. – Znam właściciela tych terenów. To Oofie Worthington. Powiedział mi, że mogę tu wchodzić, kiedy tylko zechcę.

– Naprawdę, kochanie? – zdziwiła się Celia. – Nie wiedziałam, że...

– A co z tym drutem kolczastym? – zapytał Giles, cofając się raptownie o krok i przyciskając dłoń do ust.

– To żaden problem – powiedział Skip. Troje Amerykanów wyrosło obok nich jak spod ziemi. – Przytrzymam to... o tutaj i... hej, bracie, przytrzymaj ten drugi drut, okej? – Przydepnąwszy dolny drut, Skip i Marvell podnieśli górny. Marvell mruzczał przy tym i krzywił się

niemiłosiernie, ale mała, niemal chłopięca i pozbawiona wyrazu twarz Skipa pozostała prawie nieruchoma. – Okej – rzekł w końcu matowym głosem.

(Niepotrzebnie) wykręcając ciało, Whitehead, z całym ładunkiem w rękach, przecisnął się pierwszy. Po nim przeszły panie, jedna po drugiej. Quentin i Andy pomogli przeleźć zeszywniałemu Gilesowi, przetransportowali alkohole, potem przenieśli górą Skipa i Marvella.

Quentin Villiers pośpieszył, żeby pomóc żonie rozkładać koce. Pocałowali się w przelocie i przykucnęli, żeby rozpakować kosz.

– Czy wszyscy będą teraz jeść? – zapytał Giles niepewnie, podnosząc butelkę dzinu do ust. – Bo ja myślę, że właściwie zamiast jeść, napiję się trochę.

Akurat w tym krytycznym momencie podszedł do Gilesa Skip i ujął jego wolną rękę.

– Cześć, Giles – powiedział swym matowym basem. – Jestem Skip.

Deszcz wysokooktanowej śliny opryskał Amerykanina, kiedy Giles z bulgotem oderwał butelkę od ust i odskoczył do tyłu, osłaniając twarz ramieniem.

– Ostrożnie! Och, przepraszam... Skip? Nie widziałem, że do mnie podchodzisz. Ja mam na imię... – Giles osunął się na kolana. – Właściwie...

Quentin, Celia, Marvell i Roxeanne, złączeni skomplikowanym zbiorowym półuściskiem, oddalili się od reszty towarzystwa, żeby dokładniej przyjrzeć się pięknej okolicy.

– Podoba mi się tu – powiedział Marvell, opierając pulchne dłonie na biodrach. Przeczesał wzrokiem łukowato wygięte pole z płaczącą wierzbą na środku, rząd krzepkich brzoź rosnących wzdłuż odległego ogrodzenia, dalekie wzgórze, niebo. – Lubię tę planetę.

– Pięknie tu – rzekła Roxeanne. – Pięknie, Quentin, naprawdę.

– Kiedy się pobraliśmy – powiedział Quentin – stwierdziłem, że powinniśmy gdzieś tutaj w okolicy zamieszkać. – Odwrócił się do żony. –

Gdzieś, gdzie pozostało jeszcze trochę prawdziwej Anglii.

– Tak – rzekł Marvell.

– Nie chodzi o kontakt z naturą – cóż to w ogóle za okropna idea! – a raczej o utwierdzenie się w poczuciu własnej tożsamości. To jest Anglia. Londyn nie ma już w sobie nic angielskiego.

Celia i Roxeanne spojrzały na Quentina – jedna z radością, druga z podziwem. Zaiste, nieziemski prezencja Villiersa była tego dnia szczególnie wyraźnie widoczna. Jego wypłowiałe, sprane dzinsy i rozchełstana dzinsowa koszula nadawały mu wygląd człowieka pierwotnego, mocnego i zarazem cywilizowanego. Jego karnacja barwy wilgotnego piasku kontrastowała korzystnie z chorobliwą bladością jego towarzyszy z Appleseed i z ordynarną opalenizną Amerykanów. Gwałtowne podmuchy wiatru poskręcały, ale nie zmierzwiły pasemek jego srebrzystoblond włosów...

– Wyrzekasz się swojej duchowości – wymruczał – za każdym razem, kiedy zgadzasz się sprzedać swój czas miastu, pozwalasz, by twoje życie toczyło się miejskim tempem.

– To prawda – potwierdził Marvell. – Czujesz się jak trybik w maszynie, jak robot, który musi...

– Ej, ludzie – zawołała Diana. – Przestańcie pieprzyć jak niezdrowi i chodźcie mi pomóc z tym pieprzonym koszem.

Andy odlewał się hałaśliwie pod pobliskim drzewem, a Giles skulił się na kocu, przyssany do swojej butelki z dżinem. Z pomocą pośpieszył Dianie mały Keith; nie zachwycało jej ani to, że jego obrzydliwe, podobne do serdelków palce muskają od czasu do czasu jej ręce, ani to, że została formalnie zablokowana przez najszeptniejszego osobnika z obecnych.

– Na miłość boską, odkorkujmy wreszcie tę irlandzką whisky – rzekł Andy.

– O tak. I wykorzystajmy to słońce – poparł go Quentin.

Marvell i Roxeanne usadowili się koło Skipa wyciągniętego na trawie z rozrzuconymi rękami i nogami. Zrobili to najwyraźniej odruchowo.

– No dobrze – rzekł Marvell. – Chcę, żebyście teraz zastanowili się naprawdę poważnie nad sprawą narkotyków. Nie chciałbym traktować sprawy zbyt mechanicznie, ale przeprowadzałem już kiedyś takie doświadczenie, pod całkowitą kontrolą, i zamierzam napisać artykuł albo może nawet broszurę na ten temat. Nazwiska zmienione; domysły poprzez odczytywanie idiomu. – Marvell ziewnął i wcisnął się głębiej w niszę, którą tworzyły klatka piersiowa Skipa i bark Roxeanne. Z twarzą schowaną w cieniu, pokrytą kropelkami potu widocznymi pod spadającą na czoło płataniną włosów, wyglądał jak złożony chorobą władca wsparty na smukłych ciałach przyjaciół. – Nie wiem, jak wy, kochani – ciągnął – ale ja jestem cholernie zjebany i nie mam zamiaru pieprzyć się z tym przez całą noc. Startujemy o siódmej, tak będzie najlepiej. Zastanówcie się i po powrocie do domu powiecie mi, czego które z was chce. Bardzo jestem ciekaw, co wybieriecie.

Przez ostatnie dwie trzecie jego perory Giles podczołgiwał się do miejsca, w którym leżał Andy z rozrzuconymi rękami i nogami. Kiedy do niego dotarł, trącił go w ramię.

– Czego? – zapytał Andy.

– Słuchaj, Andy – powiedział Giles głośnym szeptem. – O czym mówi ten facet?

Andy przeciągnął się leniwie.

– Mówi, że ma prochy, które mogą wywołać dowolny efekt. Co tylko zechcesz. Powiesz mu, o co ci chodzi, i on zrobi tak, że będziesz to miał.

– Niemożliwe. Wszystko, co zechcesz? Może nawet sprawić, że przestaniesz się martwić o...

– Wszystko, bracie – rzekł Andy, szukając wygodniejszej pozycji do rozkosznej drzemki. – Dosłownie wszystko.

Giles odjął od ust butelkę i falujące zielone refleksy zniknęły z jego twarzy. Kiedy położył się na ziemi, w jego mózgu został powidok tego, co wyłoniło się z mgły zalegającej pomiędzy nim i światem: obraz trzech uśmiechniętych twarzy Amerykanów.

15. Meandrami po Ameryce

Amerykanie stanowili „triadę”, „trójkącik”, co oznaczało mniej więcej tyle, że pieprzyli się systemem każdy z każdym, bez różnicy. Mieli też w zwyczaju podłączać albo jedną dodatkową osobę, żeby stworzyć „kwadracik”, albo parę, żeby powstała pełna „gwiazda”. Czy mamy w takim razie sądzić, że ich seksualne eskapady poza grupą były w jakiś sposób ograniczane, cenzurowane? Przeciwnie, zachęcano ich jeszcze, przyjmowano wszystko z aprobatą, jako coś, co tworzy wartość dodatkową, „natchnione odchylenie” od normalnej aktywności seksualnej. Układ łączący troje Amerykanów funkcjonował znakomicie od dwóch lat i wszystko wskazywało na to, że będzie funkcjonować nadal.

Ich historia wyglądała mniej więcej tak:

Ojciec Skipa, Philboyd B. Marshall junior, postać zaiste koszmarna, prowadził warsztat samochodowy w dusznej, brudnej ruderze na przedmieściach Tary w stanie Tennessee. Philboyd dopuszczał się tak wielu przerażających, wręcz szokujących czynów w stosunku do swego syna, że każdy, kto się o nich dowiedział, spontanicznie gratulował Skipowi, iż ten zdołał zachować zdrowie psychiczne. Ojciec zgwałcił go kiedyś na przykład – dodajmy tu od razu, że nie pod wpływem żądz, ale dlatego, że przyłapał Skipa na opróżnianiu wychodka łopata, nie zaś gołymi rękami, jak polecił mu Philboyd, karząc go za jakieś wcześniejsze przewinienie. „Jeszcze raz przyłapię cię na czymś takim, szczeniaku, a popamiętasz mnie do końca życia!”

Relacje ojciec–syn wciąż się pogarszały. Warsztat i stacja benzynowa nie prosperowały najlepiej w tamtych czasach, młodzi ludzie wynosili się z Tary, a za to coraz więcej ściągało tu czarnuchów i człowiek nie mógł wypić piwa w barze Kramera, żeby nie narazić się na poszturchiwania jakichś długowłosych, tak że życie Philboyda stało się jednym

przygnębiającym pasmem złorzeczeń, pijackich ciągów i okrutnych wybryków. Stary mechanik umierał po trochu za każdym razem, kiedy jakiś Portorykaniec albo Żyd zajeżdżał na placyk przed warształem, domagając się w dodatku napełnienia baku! I za każdym razem, kiedy widział, jak smoluchy przechodzą cało przez tory kolejowe, za każdym razem, kiedy słońce kryło się za reklamę Coca-coli na tyłach domu, sprawiając, że jego, Philboyda, wieczory okrywał przedwczesny całun mroku. Kiedy Skip nie mógł już znieść fizycznie tych wiecznych i niczym nieumotywowanych ciągów, ojciec kupił od rzeźnika trzynogiego muła, umieścił go w komórce i chodził tam dwa razy dziennie, żeby go dręczyć przy użyciu noży kuchennych, haków do mięsa i żelaza do piętnowania. Trochę to pomagało, ale nie na długo. Zwierzę padło po dwóch miesiącach, przywalając swego prześladowcę.

Wtedy właśnie zaczynają przyjeżdżać z Nashville studenci Vanderbilta i Skip zawiera z nimi znajomość.

Wszyscy mają od dwudziestu do trzydziestu lat, a on nie skończył jeszcze siedemnastu, ale dziwnie łatwo nawiązuje kontakt ze starszymi chłopakami. Bo Skip jest tak zwanym „pomiotłem”: podejmie się wszystkiego, nie ma takiej rzeczy, której by nie zrobił. „Skip, ciekawe, czy skoczyłbyś z wieży chłodniczej do tego zbiornika”. „Bez problemu”. „Skip, zanieś te wiadra z gnojem i wylej na śmietnik, dobra?” „Aha”. „Skip, idź podprowadź parę piw u Kramera, dobra?” „Już się robi”. „Skip, zjedz tego ślimaka”. „Nie ma sprawy”. Obowiązkiem tego chudego jak szczapa chłopaka stają się też pewne seksualne usługi; wykonuje je z prawdziwą pasją i przejęciem. Jak zauważył kiedyś pewien student: „Skip wydymałby węża, gdyby tylko ktoś przytrzymał gadowi łeb”. Była też oczywiście masa prochów.

Pewnego dnia Philboyd przejeżdżał swoją śmieciarką obok pola kempingowego i zobaczył Skipa leżącego na trawie z paroma dziwkami i hipisowskimi dupkami. Ku swej wielkiej frustracji i rozpaczycy Philboyd nie mógł zadziałać natychmiast; był kiedyś taki czas, kiedy żyło jeszcze

w Tarze dosyć podobnych do niego krępych kmiotków, z którymi mógłby wpaść na łąkę i dać długowłosym cudakom zdrowy wycisk. Ta refleksja jeszcze bardziej go przygnębiła. Tak czy inaczej, kiedy Skip wrócił tego wieczoru do domu, Philboyd przez czterdzieści pięć minut ganiał syna dookoła kuchni, okładając go ciężką patelnią. „Ach, dałbyś chłopcu spokój, Philb”, dobiegł z przyległego pokoju słaby głos pani Marshall. „Chciałabym trochę odpocząć w swoim własnym domu”. „Zamknij swoją pieprzoną mordę”, odpowiedział Philboyd, stosując się jednakowoż do rady żony, bo był za stary i za gruby, żeby kontynuować pogoń. „Jak cię jeszcze raz zobaczę z tymi zbokami – wysapał – rozwalę ci łeb”.

I rzeczywiście, kiedy znów przyłapał Skipa z tymi zbokami, dotrzymał obietnicy. Nie mógł wprost uwierzyć we własne szczęście. Oto w salonie gier natknął się na Skipa popijającego piwo z jednym tylko studentem. Philboyd otworzył z trzaskiem drzwi i ruszył w ich stronę, odpinając pośpiesznie pas. „Tu cię mam, synu. Skroję ci teraz dupsko jak się patrzy”. Skip wstał bez zastanowienia, wyprowadził prawą potężnego sierpowego i trafił Philboyda w szczękę. Stary stał przez kilka sekund nieruchomo z twarzą ściągniętą niedowierzaniem, po czym wyrzucony w powietrze kolejnym ciosem rąbnął o ścianę i zsunął się po niej wprost do wielkiej kałuży na podłodze. Sparaliżowany strachem syn, poruszając się jak w zwolnionym filmie, podniósł go z ziemi i oparł o automat z owocami. „Tato?” Ojciec otrząsnął się i wyszarpnął z jego uchwytu. „Ach, odwal się, synu”. Potem z włosami matowymi od trocin, krwi i piwa pokuśtykał do domu i załamany zakatował żonę na śmierć ogrodowym węzem.

Wydawało się, że wokół Skipa wytworzyła się jakaś życiowa próżnia. Mama nie żyła. Philboyd miał być sądzony za zabójstwo. „Warsztat Marshalla” został zamknięty. Lokalne władze gównem obchodziły losy chłopca. Zresztą i tak zawsze nienawidził Tary.

Znalazł pracę w fabryce samochodów na obrzeżu drugiego listka koniczyny przy trzecim splocie spaghetti, czyli linii ekspresowej biegnącej

na zachód z Nashville w stanie Tennessee. Pracował szesnaście godzin na dobę, bez specjalnych ambicji, ale i bez znużenia, a w weekendy wyjeżdżał pożyczonym samochodem do St. Louis, Memphis, Oklahomy, 'Pulco, Mexico City, gdzie uczestniczył w przeróżnych straceńczych orgiach, dupcząc i dając dupy, biorąc potężne dawki meskaliny i kokainy, kochał podstarzałych kowbojów, czasem świadek najbardziej sadystycznych praktyk seksualnych włącznie z okaleczaniem genitaliów, nijaka postać w parnym, spowitym mgiełką żaru i upstrzonym samochodami pejzażu, milcząca, bezrefleksyjna i samotna.

Po dwóch latach toczenia elementów do układów kierowniczych Skip wrzucił cały swój dobytek do zdezelowanego plymoutha rocznik '75 i zaczął się włóczyć po Ameryce, toczyć się po niej meandrami niczym kamień, którego nie rzuciła żadna ręka: jeszcze Omaha i jeszcze Minneapolis, i jeszcze Salt Lake City – aż do chwili, gdy pod wpływem impulsu skręcił z międzystanowej szosy w prawo i leniwie potoczył się w stronę uroczego miasteczka Prescott w stanie Arizona. W połowie drogi opróżnił flaszkę gorzały, urwał mu się film i Skip musiał zatrzymać się na przydrożnym parkingu. Obudził się zmasakrowany na dnie rowu; samochód i pieniądze znikły, miał złamany nos, nogę w kostce i kilka żeber, brakowało mu lewego małego palca, kawałek prawego ucha był odgryziony i do tego dręczył go potężny kac. Dopiero po dwóch dobach mógł ruszyć w dalszą drogę.

– Kiedy zobaczyliśmy pierwszy raz Skipa? To było coś takiego, że włosy stają dęba na głowie. Roxeane i ja jedziemy na rekonesans, szukając w Arizonie miejsca dla zakosztowania westernowego życia, do czego jakoś nigdy nie mogłem się zmobilizować, i kiedy właśnie prujemy do najbliższego miasta, żeby kupić coś do żarcia, nasz chevrolet bierze zakręt i widzimy jakąś drgającą bezkształtną masę na poboczu. Zwalniamy. Nigdy w życiu nie widziałem istoty ludzkiej bliższej pierwotnego, naturalnego stanu. Podjeżdżamy. Ubranie zdarte, twarz zamieniona

w jedną krwawą masę, kości połamane, cud, że żyje. Mam jeszcze zdjęcia.

– Mar był opanowany, ale ja przeżyłam prawdziwy wstrząs. Cały czas myślałam: O rany, jacyś troglodyci urządzili sobie zabawę, wynosimy się stąd, zanim wrócą, żeby się jeszcze trochę pobawić. Ale Marvell powiedział, że powinniśmy go gdzieś zawieźć, i miał rację. Rozłożyłam koc na tylnym siedzeniu i wsunęliśmy go tam jakoś. Pomyśleliśmy, że może nam tam wykorkować, ale zaczął jęczeć i szarpać się, a nawet coś mamrotać, między innymi: „Dojebali mi... ale mi dojebali”. Marvell pognął prosto do Prescott, żeby zobaczyć, co tam mogą zrobić, i powiedział, że w razie potrzeby, jeśli rannemu się pogorszy, możemy pojechać do Phoenix. Sukinsyny na pogotowiu w Prescott powiedziały, że bez papierów nie mogą mu zmierzyć nawet pieprzonej temperatury, a ten facet nie miał nic, żadnego dokumentu, żadnej gotówki. Był dla nich nikim. Więc pojechaliśmy do LA, nie wiedząc nawet, czy nie wieziemy już trupa na tylnym siedzeniu. W LA jakoś złożyli go do kupy, ale też nie chcieli go przyjąć, więc musieliśmy go wziąć do siebie.

– Miałem paru przyjaciół-lekarzy. Żaden problem, powiedzieli. Skip bredził całymi dniami, rzucał się w łóżku, majaczył coś o ojcu, o puszkach z piwem i tak dalej. Kiedy wróciła mu przytomność, najwyraźniej nie pamiętał, co mu się przydarzyło ani niczego z dalszej przeszłości. W końcu musiałem mu wyjaśnić, że jesteśmy na planecie Ziemia, kulistym tworze obracającym się wokół Słońca – Słońca? Tego wielkiego ognia na niebie? Spora część przeszłości odżyła w jego mózgu, choć to, co dotyczy ojca, wraca i znów znika. To bardzo dziwne, wiecie? Jak powoływanie do życia nowej istoty ludzkiej, jak tworzenie czegoś całkiem nowego. Człowiek wyostrza sobie wrażliwość. I, Chryste, gdybyście widzieli, jak ten biedak reagował na nasze oddanie i troskliwość. Mdlilo mnie na samą myśl, jakie musiał mieć dotąd życie.

– Zaczął snuć te wręcz prehistoryczne opowieści o swoim ojcu. Jakiejś prawdziwej bestii. Wyłaziły mu oczy z orbit, kiedy opowiadaliśmy mu o naszych rodzicach – no wiecie, moi są typowymi mieszcuchami,

a Marvell pochodzi z ortodoksyjnie żydowskiej rodziny – i że są bogaci, czuli, wyrozumiali. To było całkiem obce jego mentalności. Jakby mu trochę ulżyło, kiedy się dowiedział, że wszyscy są dawno rozwiedzeni i że widzimy się z nimi tylko po to, żeby wyciągnąć od nich pieniądze. Marvell wyjaśnił mu sprawy związane z mechanizmami samokontroli i uświadomił mu, że człowiek nie potrzebuje aż tak bardzo rodziców, a w każdym razie nie potrzebuje ich na długo i że szybko ich eliminuje ze swojego życia. Więc gdyby tylko Skip mógł to zrobić...

– I to była prawda. Nie sądzę, żeby teraz myślał często o swoim dawnym życiu. A jednak ojciec wciąż gdzieś się czai w tle. Dostaliśmy pismo od władz, kiedy tylko wyrobiliśmy Skipowi w Kalifornii papiery, tuż przed przyjazdem tutaj. Kurwa, co to za dokument! Pokażę wam go. Przecież jemu by całkiem odbiło, gdyby musiał wrócić pamięcią do tamtych czasów. Chcecie zobaczyć faceta ogarniętego szalem? Zapytajcie Skipa o jego ojca. Nie radzę tego robić. Tak to w każdym razie wygląda. Dla nas to wszystko małe piwo; mamy pieniądze, mamy wielki dom. Skip pomaga w domu, przy różnych projektach, zajmuje się samochodem... jest szczęśliwy.

– Jesteśmy dla niego jak matka i ojciec, i jeszcze kochankowie.

– No tak, i jeszcze... No, powiedzmy, że robi dla nas różne rzeczy.

16. Pod zmasowanym ogniem spojrzeń

Whitehead wypił właśnie pierwszy kieliszek Pouilly Fumé, odmówił przyjęcia chrupkiego pieczywa z wędzonym łososiem i, niestety, masłem, proponowanego mu przez Celię, zgodził się z Roxeanne, że Koziorożce rzadko kojarzą się ze Lwami (teoria, na którą Andy, samozwańczy reprezentant tego ostatniego znaku, zareagował lekceważącym prychnięciem), kiedy nagle wyrwało mu się spomiędzy warg koszarne

beknięcie, które raptownie położyło kres wszelkiej konwersacji.

Sztucznym, heroiczno-oficjalnym tonem Keith poprosił towarzystwo o wybaczenie i rozmowę podjęto ostrożnie od nowa, ale w tym właśnie momencie eksplodowała w brzuchu Whiteheada seria donośnych burknięć. W jego trzewiach syczało, piała i parskało; żeby zagłuszyć te ekscesy przebudzonych kiszek, zaczął gwizdać jakąś popularną melodyjkę, a jednocześnie wił się w mękach na kocu, żeby utrzymać balon gazu, który rozdymał mu się w okrężnicy. Ponieważ zaś wszyscy zaczęli podnosić głos, żeby można ich było w ogóle usłyszeć, mały Keith postanowił nie czekać, jakie jeszcze niespodzianki zgotuje mu jego metabolizm. Nie zważając już za bardzo na to, że robi z siebie widowisko, wsunął parę papierowych serwetek do kieszeni, wstał i rozejrzał się bystro dookoła.

– Zobaczyłem coś bardzo interesującego muszę iść i koniecznie przyjrzeć się z bliska...

Nikt nawet nie drgnął, kiedy Keith ruszył truchcikiem w dół zbocza pod zmasowanym ogniem spojrzeń.

Whitehead przedzierał się skrajem lasu, brodząc w niezbyt wysokiej trawie, a jego spodnie trzeszczały niepokojąco za każdym razem, kiedy podnosił nogę, żeby przestąpić jakąś kłodę. Wysokie obcasy chwiały się i wyginały na każdym mrowisku i każdej kępie trawy. Pokonał tak w męce pół mili, coraz bardziej skłonny zaakceptować jakiegokolwiek miejsce, w którym mógłby sobie ulżyć, ale dopiero, kiedy ból promieniujący od kości ogonowej do krocza rzucił go dwukrotnie na kolana, odwrócił się i spojrzął za siebie przez zasłonę nerwowo drżących liści. Ściągnawszy najpierw buty, a potem spodnie (co wymagało położenia się na ziemi i wysunięcia się z nich tak, jak robi to wąż podczas wylinki), Keith wpelznął pomiędzy dwa gęste krzaki jeżyny i z ulgą oparł się plecami o pokiereszowany pień. Po zduszonym stęknieniu, które wyrwało się ze ściśniętej piersi, nastąpił jęk ekstazy.

– Hej!

Wynurzywszy się bezgłośnie spomiędzy drzew, Skip zatrzymał się o kilka jardów od niego. Potem zmniejszył dystans i przykucnął tuż przed Keithem, dotykając swoimi kolanami kolan Whiteheada. Żdźbło trawy w kąciku jego ust pozostało nieruchome, kiedy przemówił:

– Lubisz trójkowe układy, Keith?

Whitehead z pewnością by odpowiedział, gdyby mógł.

– Trójeczki – powtórzył tępo Skip. – Ty i dwóch facetów. Albo ty, facet i dziewczyna.

Kiedy Keith odzyskał głos, największe wrażenie, jak sobie później przypominał, zrobił nas nim jego własny głos. Nie był to jego zwykły bełkot ani skomlenie; głos nie załamywał mu się, skacząc po oktawach, ani nie przeszedł w stłumiony bulgot wyzwolonej adrenaliny. Nie działo się nic, o co Keith mógłby mieć pretensje do swego organizmu. W rzeczywistości głos jego brzmiał wytwornie, swobodnie, był niemal znudzony.

– Wiesz, Skip, nie mam jakichś zdecydowanych poglądów w tej materii, choć oczywiście staram się być tolerancyjny wobec takich rzeczy.

– Mmm. Lubisz, jak ci robią loda?

– Przepraszam, co?

– Loda. Obciągają ci druta. Robią fleta.

– Och! Cóż, nie szaleję za tym. Ale też, jak mówię, jest to oczywiście jedna z podstawowych... Tak, lubię to, generalnie.

– Mmm. A lubisz, jak cię dymają?

– No więc, jak już powiedziałem, nie jest to coś, co robi się na co dzień... ale oczywiście człowiek stara się być otwarty...

– Mmm. – Skip kołysał się leniwie na piętach. – Mmm.

– Słuchaj, Skip, nie chcę być niegrzeczny, ale czy nie uważasz, że moglibyśmy dokończyć tę rozmowę innym razem?

– Nie rozumiem...

– Innym razem. Ja się tu załatwiam.

– Jasne – rzekł Skip uspokajająco. Po czym przewrócił oczami tak, że źrenice zniknęły mu pod górnymi powiekami, odsłaniając dwa lśniące, krwistoczerwone zagłębienia oczodołów. – Jasne, bracie. Innym razem.

17. To ci dopiero krzak

– Muszę powiedzieć, Roxeanne, że masz wprost cudowne piersi – zauważyła bystro Celia.

– Ale one są takie okropnie wielkie – rzekła Roxeanne. – Mnie się wydaje, że Diana ma piękny biust. Naprawdę idealny, jeśli chodzi o rozmiary.

– Tak, Diana też ma ładne piersi. Ale twoje są takie bujne i takie cudownie... jędrne. Ani trochę nie opadają.

Roxeanne wzruszyła ramionami; ten odruch potwierdził tylko prawdziwość słów Celi.

– No cóż – powiedziała zadowolona i zwróciła się do Villiersa: – Słuchaj, Quentin, czy będzie okej, jeśli zdejmę dół?

W miarę jak popołudniowe słońce przygrzewało coraz mocniej, rażąc ich z wściekłą siłą, Diana i Roxeanne poświęcały coraz więcej czasu rozważaniom – Diana konkretnym, Roxeanne dość mętnym – która z nich jako pierwsza zdejmie górę od kostiumu. W żadnym innym towarzystwie Diana nie wahałaby się objąć prowadzenia; jej piersi, jak zauważyła Celia, choć nie za duże, były ładne, gładkie i krągłe, zwieńczone pomarańczowymi sutkami, które miały niebawem ściemnieć i stwardnieć pod delikatną pieśczętą wiatru. Diana stawiała jednak na biust Roxeanne, który był znacznie bardziej sterczący, niż na to wyglądał zakryty sukienką. Przypuszczała nawet, że Roxeanne musi, z natury rzeczy, nosić ćwierć lub półstanik. W końcu wszystkie trzy, bąkając coś o tym, że warto by się opalić, obnażyły swoje cudeńka jednocześnie. Jeśli

nie liczyć Marvella, który gapił się z zadowoloną miną, i Gilesa, najwyraźniej nieprzytomnego, porażający splendor biustu Roxeanne wywołał u wszystkich obecnych głęboką konsternację. Piersi zdawały się strzelać w górę prosto z obojczyków (tworząc coś na kształt półki, z której, gdyby jej to przyszło do głowy, Roxeanne mogłaby całkiem wygodnie jeść), zaokrąglone w kształcie litery U nad symetrycznymi kopolkami sutek i osadzone niczym na wyrzutni raketowej na klatce piersiowej, od której nie oddzielała ich najdelikatniejsza nawet kreska. Diana popatrzyła na te imponujące atrybuty kobiecości, a potem na swoje drobne pączuszki z ledwie skrywanym niedowierzaniem i dopiero na widok biustu Celii – przygnębiających gruczołów, które rozpląszczały się ku pachom – zaczęła odzyskiwać równowagę.

– Przepraszam cię, Roxeanne – rzekł Quentin – ale nie bardzo zrozumiałem...

– Czy mogę zdjąć dół?

– Ach, zawsze powstają jakieś niejasne sytuacje, kiedy w towarzystwie są kolonialisci. Masz na myśli spodnie czy majteczki?

– A gdyby i to, i to?

Quentin zerknął na swoją żonę.

– No cóż, stary Oofie jest, o ile wiem, w Kuwejcie. Jeśli nie przeszkadza ci jakiś zabłąkany wędrowiec czy wieśniak... – Roześmiał się, rozkładając ręce. – Rób, co ci się żywnie podoba.

– Przypadkowi świadkowie są mile widziani – powiedziała Roxeanne, wtórując mu śmiechem. Położyła się na plecach, wsunęła kciuki pod pasek dzinsów i wyswobodziła z nich swoje nieskończenie długie nogi. Potem zdjęła (skądinąd i tak zbędne) majtki. – Okej. I żadnych dowcipasów o naturalnych rudzielcach.

– Oczywiście, że nie – zapewnił ją Quentin z powagą.

Diana wbiła wzrok w Andy'ego, który przewrócił się na bok, podparł głowę na dłoni, znieruchomiał na parę sekund z twarzą o kilka cali od alabastrowego podbrzusza Roxeanne i powrócił do pierwotnej pozycji.

– Chryste – rzekł cichym, zduszonym głosem. – To ci dopiero krzak!

18. Och, nie

Och, nie, to chyba niemożliwe, żeby już zaczęli?

Whitehead zadał sobie w duchu to pytanie, wynurzając się z lasku i wstępując na stok, na którym leżeli piknikujący, wszyscy w rozmaitych fazach *déshabillé*. Z jego perspektywy fragmenty nagich ciał rozmywały się w zapyłonym, letnim powietrzu. Kiedy tak dreptał w ich stronę, ich ciała zdawały się wibrować, roztopiać i rozdzielać, a potem zlewać się w jedno i znikać. Kiedy podszedł na dwadzieścia jardów, całkiem nieoczekiwanie nabrały ponownie wyrazistości, znów nieruchome i rozdzielone. Whitehead zwolnił z poczuciem ulgi.

Potem wręcz zatrzymał się i wciąż niedostrzeżony przez dziewiątkę ułożoną powyżej na zboczu opadł bez żadnej ostentacji i bez poczucia groteskowości sytuacji na kolana, przysadkowaty suplikant owiewany gorącym wiatrem. Głęboki niepokój, jaki odczuwał zawsze, zbliżając się do jakiegokolwiek grupki ludzi, teraz przeobraził się niepostrzeżenie w jeszcze bardziej dojmujące, złowieszcze przecucie. Kiedyś Keith, otępiały od środków uspokajających, powiedział pewnemu przyjaźnie usposobionemu lekarzowi, że nawet w części nie przejął się tak bardzo odkryciem, że jest mały, gruby i szpetny, jak tym, że będzie taki zawsze, że absolutnie nic i nigdy się pod tym względem nie zmieni. Czy była szansa, żeby się zmieniło, choćby odrobinę? Choć Whitehead nie uważał się za osobę szczególnie opętaną seksem (na przykład praktyki masturbacyjne były dlań czymś coraz bardziej nieznośnym, wręcz okropnym), uznawał za wysoce prawdopodobne, że jeśli nie uda mu się przeżyć podczas tego weekendu skończonej seksualnej przygody, popełni chyba samobójstwo. Nie byłby to upragniony rodzaj wyzwolenia, a tym

bardziej żadna przyjemność, ale po prostu manifestacyjne uwolnienie się od uwłaczającej brzydoty. Mały Keith zerwał źdźbło trawy i zaczął miętosić je w palcach. Czynność ta pobudziła krążenie krwi i świadomość posiadania ciała, uspokajając go nieco. Uśmiechnął się półgębkiem na wspomnienie incydentu ze Skipem. Chryste. Już naprawdę nie ma takiej rzeczy, której by ludzie nie zrobili. Jako heteroseksualista, przynajmniej na tyle, na ile mógł to stwierdzić, Whitehead odebrał ten epizod jako dramatycznie asekualny, ale bardzo mu to zarazem pochlebilo i zapowiadało, że wiele się jeszcze może zdarzyć. Ten weekend będzie w każdym razie niepodobny do żadnego innego.

Kiedy dołączył do reszty, umocnił się w tych przeczuciach i pogłębił je dodatkowo. Gdyby spojrział w prawo, mógłby zobaczyć, wprawdzie nienadzwyczajne, ale zawsze, piersi Celi, dziewczyny o kanciastej twarzy, żony przewspaniałego Villiersa; zwracając się w lewo, mógłby podziwiać rozkoszny pępuszek Diany i jej płaski brzuch; praktycznie tuż pod nosem miał kwadratową stopę płowych włosów łonowych. Keith nie śmiał oczywiście patrzeć na nic – tyle seksu nie zaznał jeszcze w życiu. Ale kiedy Skip, który właśnie też wrócił z małej przechadzki, uśmiechnął się do niego porozumiewawczo, cały wachlarz seksualnych możliwości po prostu musiał się przed małym Keithem rozwinać.

I, bardziej lub mniej bezpośrednio, cały wachlarz tych możliwości otwiera się także przed nami. Moglibyśmy – spójrzmy tylko – moglibyśmy pokierować wszystkim tak, żeby Diana wzięła Keitha za rękę i powiodła go między drzewa, żeby Celia pochyliła się nad nim i delikatnie odpięła jego cienki plastikowy pasek, żeby Roxeanne wsunęła się pod niego – tu i teraz. My możemy to oczywiście zrobić w każdej chwili, kiedy tylko zechcemy – ale sam Keith nie może, o nie.

19. Balon, z którego uszło powietrze

– Patrzcie – rzekł Andy. – Tam są jakieś krowy. Ale numer.

– Taaa. Wyglądają bardzo autentycznie – rzekł Marvell.

Giles, który od półtorej godziny nie dawał najmniejszego znaku życia, podniósł głowę i zmrużył oczy nad swoją butelką z dżinem.

– Skąd wiecie, że to nie byki?

– Bo byki mają rogi – rzekł Andy – a krowy mają cycki. Te tutaj mają cycki.

– Nie – rzekł Skip powoli. – To wcale nie tak.

– Jak to? – zapytał Andy.

– Niektóre krowy nie mają cycków. Niektóre byki nie mają rogów.

– Mówisz?

– Owszem. Na przykład krowa mogła się jeszcze nie ocielić.

– Naprawdę?

– Jasne...

Andy opadł na koc.

– No dobra, a co to, kurwa, za różnica?

Jakby w odpowiedzi na to dociekliwe pytanie, czarna jałówka odłączyła się od wolno krocącego stada, pobiegła truchtem w górę stoku, zatrzymała się, powzięła jakieś postanowienie i ruszyła rytmicznym galopem w stronę piknikujących.

Mniej więcej cztery sekundy później wszyscy leżeli w postaci okrwawionej, jęczącej kupy po drugiej stronie ogrodzenia z drutu kolczastego. Potem, jakby pod wpływem nagłego elektrycznego impulsu, zaczęli się gramolić, wspinać, skakać, nurkować pod, nad i pomiędzy drutami, wczepiając się wzajemnie w siebie pazurami, odpychając od rozplaszczonych na ziemi torsów, ciągnąc się wzajemnie za włosy dla utrzymania równowagi – żeby w końcu osunąć się na przyległe pole niczym jakiś utworzony z ciał balon, z którego uszło powietrze. W ciszy rozbrzmiewały wypowiedane szeptem przekleństwa, sapiący zwój splecionych członków rozwikłał się stopniowo i zaczęła się przeprowadzana w oszołomieniu inwentaryzacja ran i skaleczeń.

Wszystkie trzy kobiety krwawiły, choć niezbyt obficie, z zadrapań i otarć na ramionach i nagich biustach. Skipowi zwiślał z nadgarstka strzęp naderwanej skóry, Andy miał głęboką i zabrudzoną ziemią ranę na policzku. Tylko Quentin wyszedł z całej przygody bez szwanku.

Keith, który wciąż nie mógł złapać tchu po tym, jak wszyscy po kolei posłużyli się nim jako trampoliną, miał rozcięty nos i wargę, a na jego czole czerwieniała czterocalowa rana, która wyglądała jak drugie usta. Bardziej istotny był jednak fakt, że jego jedyne porządne spodnie były rozdarte i że jeden sześciocalowy obcas gdzieś się zawieruszył. Giles ukucnął tyłem do zmasakrowanych przyjaciół, w jednej ręce trzymał kieszonkowe lustro, roztrzęsione palce drugiej liczyły gorączkowo zęby: kiedy koronka na lewym siekaczu zeszła bez oporu i została mu w palcach, rzucił się na ziemię, skręcając się w konwulsjach, a z jego piersi wydarł się mimowolny jęk.

– Boże Święty – rzekł Marvell. – Powinniśmy za to podziękować duchom naszych przodków.

Skip zerwał się na równe nogi.

– A niech cię, kurwa, pokręci! – ryknął zbielałymi ustami.

Jałówka stała teraz o kilka stóp od ogrodzenia, gapiąc się na całe zamieszanie z życzliwym zainteresowaniem. Instynkt kazał jej zaszarżować na piknik właśnie tak, a nie inaczej, ale ten sam instynkt kazał jej także w ostatniej chwili skręcić, odbiec truchtem i zastanowić się, co robić dalej.

– Ach, ty w dupę jebana – rzekł Skip. Wyciągnął luźną cegłę z podmurówki ogrodzenia i ruszył wzdłuż drutów, nawołując krowę łagodnie i wążąc cegłę w dłoni.

Kiedy bydlę, nasrożywszy się, opuściło głowę i ruszyło do ataku, Skip z szerokim wymachem cisnął cegłę i ta wyrznęła jałówkę prosto w łeb. Dał się słyszeć cichy trzask.

Krowa zastygła na sekundę w bezruchu, a potem szarpnęła się gwałtownie do tyłu.

Po chwili odwróciła się i ruszyła w podskokach przez pole, zataczając nieregularne, coraz mniejsze kręgi, a w końcu runęła w trawę.

Zapadła cisza.

– Zabiłeś ją – rzekł Andy. – Zajebałeś ją na amen.

– Wygląda na kompletnie załatwioną – zgodził się Quentin.

– Idę jej dokopać – rzekł Skip, robiąc krok do przodu.

Chór żeńskich głosów zaprotestował głośno. Andy zagroził Skipowi drogę i wdał się z nim w niemrawą szarpaninę, którą przerwała dopiero interwencja Quentina. Podczas gdy Andy powstrzymywał Skipa z gniewem i dlatego, że nie chciał, żeby Amerykanin kopał jałówkę, Quentin robił to jak ktoś, kto broni kolegi-Żyda przed atakiem nazistowskiej bojówki, delikatnie, bez emocji, zachowując zarazem stosowny respekt wobec gniewu Skipa. W końcu Amerykanin ochłonął.

– Napij się whisky, człowieku – poradził mu Quentin.

– Właśnie – rzekł Andy. – Urznijmy się.

– Tak! O tak! – zawołał Giles.

W ciągu pół godziny cała dziewiątka usadowiła się powtórnie przy ogrodzeniu. obrażenia okazały się nie aż tak poważne, żeby nie dało się ich opatrzyć za pomocą chustek do nosa i śliny – jeśli nie liczyć rozoranego policzka Andy’ego, który, jak stwierdził sam poszkodowany, można „ochłodzić”, wylewając na ranę butelkę whisky Glenfiddich. Zabieg ten szybko wyczerpał zapas mocnych trunków, a zatem zabrano się całkiem już poważnie do win. Przestrzegający diety Celia, Diana i Whitehead nie mieli nic przeciwko takiemu obrotowi sprawy, bo i tak pili od początku Pouilly Fumé, ale pozostali zaczęli głośno narzekać, twierdząc, że wino już na nich ostatnio nie działa. (Giles, z twarzą wtuloną w róg koca, nie odpowiadał na żądania, by oddał im swoją butelkę dzinu).

– Myślę, że to nas podtrzyma na haju do powrotu do domu – rzekł Marvell, rozpakowując ze znudzonym wyrazem twarzy swój zestaw

z haszem.

Do jedzenia zabrali się też z rezerwą: chwyтали kawałki mięsa kciukiem i palcem wskazującym i trzymali w powietrzu, jakby to były żywe robaki, po czym pośpiesznie połykali, z niesmakiem wypluwając sałatę i kawały sera na trawę. Suchary, jabłka, seler i rzodkiewki cieszyły się nawet sporym powodzeniem, ale mało kto sięgał po tak tłuste i woniejące wiktuały, jak sardynki, wątrobianka czy sardele – całe towarzystwo prychało pogardliwie w odpowiedzi na choćby wzmiankę o bananach, a kiedy pokazały się jaja na twardo, zaczęli wręcz bekać z obrzydzeniem. (– Nie – powiedziała Celia, odsuwając je z niesmakiem. – To był chyba kiepski pomysł). Wystarczyło jednak dwadzieścia minut, w ciągu których wypito po butelce wina na głowę, by wszystkim znów rozwiązało języki; rozprawiano głównie o niedawnej przygodzie i całe towarzystwo gratulowało sobie wyjścia cało z opresji. Quentin zaczął następnie przemowę o prozie zmarłego właśnie Alaina Robbe-Grilleta; długość wystąpienia, częste i liczne dygresje wprost zahipnotyzowały wszystkich z wyjątkiem Andy’ego i Keitha (i tak już oszołomionego upałem, wspomnieniem ciała Roxeanne i wypróżnieniem po trwającej trzy lata obstrukcji). Niemordowany Adorno podturlał się do Diany i zaczął gładzić jej włosy i szeptać sprośności, chuchając jej w kark. Diana odwróciła twarz w stronę łuku pola i w milczeniu obserwowała jałówkę, która podniosła się niepewnie na klęczki, a potem, stanąwszy z trudem na nogi, oddaliła się zygzakiem. Diana odwróciła się do Andy’ego i zauważyła, że krew z jego policzka kapie na jej biały, zamszowy kombinezon.

– Nie dotykaj mnie – powiedziała cicho. – Trzymaj się, kurwa, ode mnie z daleka.

[1] Tak nazywał John Milton swego towarzysza z college’u, Edwarda Kinga, w poemacie napisanym na jego cześć (przyp. tłum.).

XX Diana

Diana poświęca mnóstwo czasu rozmyślaniom, co właściwie, do diabła, robi w Appleseed. Od czasu do czasu, kiedy troskliwy Villiers nalewa jej o wpół do dwunastej filiżankę Tio Pepe albo gdy Diana jedzie do centrum handlowego jaguarem Celi (typ I), kiedy rozdygotana ręka Gilesa wysuwa się zza drzwi jego sypialni z plikiem dwudziestofuntowych banknotów, którymi Diana ureguluje kwartalne rachunki, albo też zaraz po tym, jak kochała się z Andym, Diana czuje – jak by to ująć – coś w rodzaju przelotnej satysfakcji, myśląc o etapie życia, na jakim się znalazła. Ale przeważnie siedzi beczynn timer i czuje, że nienawidzi wszystkiego: tego miejsca, ludzi, z którymi mieszka, światła, aktualnej pory dnia.

Istnieją ku temu niezwykle istotne powody. Rodzina, z której pochodzi Diana, nie jest może sławna, ale reprezentuje niekwestionowaną świetność. Diana zawsze obracała się w tak zwanym wielkim świecie. Kiedy miała sześć lat, spędziła pierwsze z licznych letnich wakacji w Moreley Court, gdzie jej usłane gronostajami wodne łóżko miało stałą temperaturę ludzkiego ciała i gdzie co wieczór znajdowała w zdobionej pozłacanym brązem łazience przygotowaną szczoteczkę do zębów z wyciśniętą na nią odrobiną pasty. Dwa lata później spędziła wakacje zimowe nad Jeziorem Genewskim, w Ariadne, słynnym pałacu Beresfordów-Parkinsonów, po którego korytarzach, wśród wiszących ogrodów, krążyły karły o kamiennych twarzach, przynosząc jej śniadanie do basenu obok ptaszarni. Jako nastolatka była stałym gościem w domu Rudolphe'ów, Perthów, rozmaitych znakomitości ze świata filmu,

Murraya i Elspeth Krane'ów, Balfourów, Grizów, sir Henry'ego i lady Doorlock, producenta filmowego *Baryłki de Large'a* i jego ślicznej, młodej żony Lurleen. A nieco później można ją było zobaczyć, jako „świecą partię”, na zachodnim patio Castello Pinero koło Padwy, jak opala się nago na pokładzie szkunera Logo Lesbosa pływającego wśród raf Seszeli lub popija szampana w koszu na plażach Acapulco. Młodszy, bywali i bardziej kosmopolityczni czytelnicy mogliby oczekiwać, że ją tam zobaczą za sześć, siedem lat. Na wszelkich koktajlach, rautach i premierach zwykle towarzyszyło jej jedno z rodziców, ale po kilku miesiącach zaczęła się wszędzie pojawiać sama, wciąż dość speszona, jakby lekko skrępowana agresywną seksualnością swoich obcisłych kombinezonów, wciąż przewrażliwiona na punkcie swojego wyglądu, dopóki w drugim roku jej „bywania” nie zaczęli powszechnie doceniać jej zimnej krwi, ciętego języka, a także brawury i mistrzostwa w łóżku.

Owa niejako zastępcza popularność Diany da się wyjaśnić z jednej strony faktem, że jej matka prowadzi kolumnę „Zapiski Nell” na łamach znamienitego, luksusowego magazynu „Euroscene”, z drugiej zaś pozycją jej ojca, zastępcy dyrektora do spraw castingu w Magnum Cinematic Promotions Ltd. z przedstawicielstwem w Paryżu i w Nowym Jorku. Dwójka ta była przykładem owej matrymonialnej tendencji, na mocy której wbrew zasadzie przyciągania przeciwieństw Eleanor to praktyczna, inteligentna i sprytna kobieta o ostrych rysach kościstej twarzy, Bruce zaś głupawy, naiwny pocziwiec, kudłaty „chłopiec w średnim wieku” o sposobie bycia zdradzającym osobnika nijakiego, gapiowatego i dobrotliwego. Ich paryska idylla trwała na tyle długo, by zdążyli spłodzić Dianę i wytrzymać z sobą jeszcze przez dwa miesiące po jej narodzinach, po czym Eleanor doszła do wniosku, że nie przepada za Bruce'em, i poleciała do Londynu, gdzie zafundowała sobie całą serię zgrabnie i starannie zaaranżowanych romansów z wybitnymi osobistościami ze świata mediów. Tymczasem Bruce wałęsał się przez pół roku po Paryżu, pijąc na umór, a potem wdał się w romans z jakąś bretońską gęsią, która

okazała się tak naiwna, że zapomniała całkiem francuskiego, a jednocześnie nie zdołała opanować angielskiego.

Przez pierwsze piętnaście lat życia mała Diana, odbijana to w tę, to w tamtą stronę, kursowała, apatyczna i bezwolna jak piłka do wolanta, pomiędzy dwoma domami.

Od samego początku Eleanor sterowała życiem towarzyskim swej córki sprytnie i z wielkim oddaniem. Zapisywała Dianę do szkół, w których uczyły się dzieci osobistości życia publicznego – najpierw do przedszkola Eldahurst, potem do szkoły Laury i June Bateson, do Ośrodka Hendlebury prowadzonego przez Stowarzyszenie Wspomagania Edukacji Dziewcząt, do liceum Hampstead Comprehensive – a potem, kiedy już pożądany krąg znajomości odpowiednio się poszerzył, wypisywała ją. Pani Parry ofiarnie uczęszczała na wszystkie wywiadówki, uczestniczyła w zebraniach i szkolnych imprezach. Rzut oka na rejestr uczennic umożliwiał jej sypanie uwagami w rodzaju: „Och, państwo są oczywiście rodzicami małej Sary! Moja Dianka wprost uwielbia Sarę” lub „A więc Bettina to pani córka! O Boże, obawiam się, że biedna Diana okropnie się jej narzuca ze swoim towarzystwem”. Wkrótce zaczęły się pojawiać zaproszenia, z których młoda dziennikarka prowadząca kronikę towarzyską skwapliwie korzystała. Pan i pani domu znajdowali następnie swoje nader pochlebne sylwetki w „Zapiskach Nell”, a jednocześnie otrzymywali obszerny list, w którym Eleanor uskarżała się, jak wielkie trudności ma Diana z nawiązywaniem przyjaźni. Diana zaś była tak idealnym gościem (wyrocznią w sprawach mody i poprawnych manier, autorytetem w kwestii natychmiastowych pisemnych podziękowań za gościnę i napiwków dla pokojówek), że wydawało się grubiaństwem i małostkowością nie zaprosić jej powtórnie.

Wielki Bruce Parry ze swej strony zadbał o to, by przypadające co trzy lata wakacje w Paryżu i w Nowym Jorku, które córka spędzała w jego towarzystwie, były bogate w wydarzenia i urozmaicone. Podobnie jak to było w przypadku jego żony, każdy miał wobec Bruce’a jakiś dług

wdzięczności, co odpowiednio wzmacniało jego pozycję towarzyską. Niezawodny i zawsze gotów wyświadczać przysługi, stary Bruce załatwił wiele małych ról pozbawionym talentu kochankom stetryczających szefów wytwórni, często też znajdował zatrudnienie dla objadających się synalków neurotycznych operatorów filmowych, regularnie przeprowadzał sterylizowane wampy przez kryzysy środkowego etapu kariery, chętnie i bezinteresownie poświęcał dodatkowe godziny pracy, żeby tuszować wpadki przekwitających asystentów reżyserów i zalkoholizowanych kierowników produkcji, był znany z tego, że potrafił harować przez okrągłą dobę, żeby ugłaskać producentów-zawałowców, skłonnych do depresji finansistów i apoplektycznych impresariów. I – do diabła – ten facet po prostu uwielbiał dzieciaki! Poufnie nazywany „żłobkiem” apartament Bruce’a Parry’ego i jego „niemiej” metresy to raj dla dzieci, sielankowy Disneyland, pełen słodczy, krakersów i dziecięcych balików. Toteż kiedy mała czarnulka Diana odwiedza swego ojca, jest fetowana jak królowa i doświadcza spotęgowanej dodatkowo poczuciem obowiązku gościnności.

Jesteśmy niesprawiedliwi. W małej Dianie jest dużo ciepła i wrażliwości. Chociaż wykazuje całkowitą oziębłość wobec rodziców, pozostało w niej wiele uczuć – jest dziewczynką, którą stać na to, żeby napisać trzydzieści listów tygodniowo, oddać innym swoje stare torebki i kosmetyki, całymi godzinami zawiadywać energicznie domem lalek, kraść pończochy z butiku, rozmawiać o seksie, która lubi opalonych chłopców w sandałach i dziurawych skarpetkach, potrafi zerwać chłopakowi czapkę z głowy i cisnąć pod koła autobusu, kopnąć przełożoną i pokazać majtki ogrodnikowi, dać ci do dwudziestu pensów, żebyś krzyknął „pierdol się!” pod drzwiami gabinetu panny Granger, która zawsze woli iść z tobą niż do domu i która bez powodu wybucha płaczem. Diana jest tak samo, jak byłby każdy na jej miejscu, zakłopotana swoją zimną zawiścią wobec matki, chłodną pogardą wobec ojca i swoim lękiem przed samotnością.

Słowo o życiu seksualnym Diany.

Dziewięć dni po tym, jak na prześcieradle Diany pojawiły się ślady pierwszego krwawienia, dziewczynkę z powodzeniem (i zadając jej ból) zdeflorował podczas zorganizowanego przez Bruce'a Parry'ego balu trzydziestopięcioletni kaskader. I najwyższy czas, pomyślała sobie, wysyłając nazajutrz rano listy do przyjaciółek. Kiedy wróciła do Londynu, powiedziała o wszystkim matce. Pani Parry, która nie cierpiała wysłuchiwać takich nonsensów z ust córki, wyprawiła ją natychmiast do ginekologa, a ten przepisał jej pigułki. O Dianie można by powiedzieć, że nie zwykła oglądać się za siebie. Było to skądinąd zrozumiałe – na co się oglądać? Jeśli jakiś niebrzydki i niepozbawiony osobistego uroku mężczyzna chciał z nią iść do łóżka, Diana ulegała. I szli – tup, tup, tup – najpierw bez pośpiechu i z rzadka, potem chętni ustawiali się w kolejce. W odróżnieniu od wielu swych przyjaciółek Diana nigdy nie odczuwała, żeby ją te przygody jakoś upokarzały, bez względu na to, jak były przelotne czy pozbawione przyjemności. Nigdy nie sypiała z nikim, kto nie byłby bogaty, dobrze wychowany i choć odrobinę ucywilizowany, wszechobecne choroby weneryczne, od których całkiem uchronić się nie mogła, nie nękały jej nadmiernie, a jej odporność na antybiotyki była szczęśliwie niska. Nigdy nie przyjmowała zaprzyjaźnionych dżentelmenów w swoim domu, więc jej sypialnia pozostała cichym, różowym azyłem pełnym lalek i papierowych serwetek; aż do dziewiętnastego roku życia, do spotkania z Andym, Diana nie spędziła ani jednej całej nocy z mężczyzną – po skończonym akcie wychodziła dyskretnie, nie czyniąc zamieszania, i nigdy nie budziła się obok nowego ciała, przy wtórze nowego oddechu.

Dla Diany w seksie nie było nic cielesnego: spełniał on po prostu funkcję czegoś w rodzaju wyskalowanej tarczy w mechanizmie jej samooceny, oznaki hołdu dla jej zmysłu estetycznego, wyrazu uznania dla jej formy fizycznej, ukłonu przed jej dietą, wielce pożądanego komplementu dla jej fryzjera, sposobu na określenie swojej pozycji

towarzyskiej na tle innych. Teraz, kiedy większość mężczyzn opanowała sztukę naciskania odpowiednich guziczków, żeby doprowadzić ją do łechtaczkowego orgazmu o wyraźnie zróżnicowanej jakości, nawet to polubiła. Jeśli złożyło się tak, że partner był wyjątkowo bogaty, przystojny lub dobry w łóżku, Diana mogła się z nim spotkać więcej niż raz, a jeśli jeszcze był do tego delikatny lub zabawny, mogła wręcz poczuć do niego sympatię. Ale wśród młodych dało się zauważyć powszechne znużenie seksem, więc dwie noce z jednym partnerem stały się prawdziwą rzadkością. Przyjęcie, facet, kolacyjka, chata, jebanko, taksówka, gorąca kąpiel. Diana odkryła, że stosunek, sam w sobie dobry jako ćwiczenie fizyczne, pomaga zachować dietę, bo uprawiając seks, je się mniej. Rankiem następnego dnia wyskakiwała z łóżka i mogła z zapalem przystąpić do porannej gimnastyki.

Diana i Eleanor Parry opalały się właśnie pewnego sierpniowego popołudnia koło basenu hotelu Reina Victoria w Rondzie, kiedy od strony Sewilli nadjechał z rykiem na Harleyu Davidsonie (1125 cc pojemności) nagi do pasa Andy Adorno. Grzywa czarnych włosów odrzucona z czoła, masywne ciało pokryte kurzem i potem lśniącem w promieniach górskiego słońca. Zatrzymał się na światłach tuż obok hotelowego podjazdu i nie wyłączając silnika, którego potężny ryk odbijał się echem od domów, rozejrzał się dokoła, napawając się upałem, hałasem, widokiem nowego miasta, pustej ulicy. Siedzące o kilkadziesiąt kroków dalej Diana i Eleanor spojrzały w jego stronę sponad swoich kolorowych magazynów.

– Dlaczego nie wprowadzą jakichś ograniczeń dla motocyklistów? – rzekła pani Parry.

– To chyba nie Hiszpan – zauważyła Diana.

– Aha. Jest zbyt wysoki.

Adorno odwrócił się i napotkał ich spojrzenie. Uśmiechnął się, najwyraźniej zadowolony z tego, że jest przyczyną ich irytacji.

– Też Angielki? – zawołał.

Podnosząc słoneczne okulary na czoło, Diana skinęła głową.

– Jakoś się trafimy – powiedział, ruszając z całkowicie zbędnym impetem w stronę miasta i wzbijając tumany drobnego żwiru, co przyprawiło opalonych *patrones* hotelu o palpacje.

Widywali go tu codziennie – przy automatach stojących szeregiem wzdłuż kawiarnianego tarasu albo jak grał z żołnierzami w bilard na głównym placu przy kasynie gry. Widzieli, jak wypadał z nienacka z bocznych ulic i śmigał obok dworca autobusowego albo pędził z rykiem motoru w stronę hotelowego basenu El Hondon z jakąś Szwedką lub Amerykanką w bikini, obejmującą go w pasie. Diana i Eleanor zamieniały czasem słówko na jego temat.

„Znów widziałam dziś rano tego chuligana-motocyklistę, jak popijał anyżówkę w barze Oliva... to chamidło, co jeździ na motorze, było dziś z jakimiś makaroniarzami w Telefonice... ten żulik na motocyklu o mało nie przejechał człowieka na rynku... wolałabym, żeby ten typek nie rozbijał się półnagi po mieście...”

Parry-fille i *Parry-mère* obie dochodziły do siebie po długiej serii krótkotrwałych przygód. Zwłaszcza Dianę znużył legion rozrzutnych brokerów, z którymi po kolei trafiała do łóżka. Eleanor natomiast została ostatecznie odstawiona przez młodego dyrektora nowej stacji radiowej, który zignorował ją ostentacyjnie podczas przyjęcia na oczach licznie zgromadzonych gości. Dla pani P. lekarstwo było stosunkowo proste – potrzebowała po prostu wytchnienia. Z kolei Diana doznała nieuniknionego napadu zmęczenia nocami, ataku ociężałości i apatii, znużenia niekończącą się serią podobnych do siebie dni, u których kresu czaił się zmierzch niczym zapowiedź zagłady. Pozostały im więc tylko milczenie, czarne okulary i słońce, kiedy czekając, aż czas zregeneruje ciało i odnowi zapasy energii seksualnej, kładły się wcześniej do łóżek, trzeźwe – i same.

Na dwa tygodnie przed końcem wakacji pani Parry stwierdziła, że

Ronda jej się nie podoba, i wobec tego odleciała do Londynu. Poprzedniego wieczoru, jedząc kolację w zimnym, aseptycznym wnętrzu restauracji hotelowej, Eleanor uskarżała się na lekki niepokój, a kiedy Diana nazajutrz rano zapukała do jej pokoju, stwierdziła, że matki nie ma.

Diana zamierzała pozostać do końca miesiąca, ale kiedy jadła tego dnia lunch i czytała po raz któryś z rzędu pozostawioną przez matkę wiadomość, powrócił znajomy dygot. Nocne znużenie mijało; Diana poczuła się znów gotowa do działania, zazdrosna i zaniedbywana. O drugiej poszła do Iberii i zarezerwowała miejsce w samolocie na następny dzień. Pozostałe kilka godzin popołudnia spędziła, wykorzystując skwapliwie resztki słońca i od czasu do czasu sprawdzając z niepokojem, czy zdąży opalić białe plamy po bikini. Wróciła do pokoju, zaaplikowała sobie porcję ćwiczeń, aż uda zamieniły się jej w stalowe pręty, a piersi w zbite kłębki mięśni przypominające dwie pięści, a potem, jakby chcąc coś zasygnalizować, włożyła białą krótką sukienkę od Pucciego i przejrzała się w lustrze, żeby upewnić się, że trójkącik jej włosów łonowych jest pod tkaniną ledwie widoczny. Potem zeszła do hotelowego baru. Tam do wpół do dziewiątej pozwalała sobie fundować szampana pocącemu się Amerykaninowi nazwiskiem Dexter, po czym zjadła z nim kolację. „Może zajrzemy do «Coki»?” – zaproponował w pewnej chwili Dexter. Wypili jeszcze trochę szampana w dyskotekowym boksie. Dexter nieustannie dotykał sukienki Diany, ona, niejako w odpowiedzi, cały czas trzymała nogę założoną na nogę. O jedenastej, kiedy zaczęła rozważać, czy warto się bronić przed spędzeniem nocy z Dexterem – był to w końcu najprostszy sposób zakończenia wieczoru – wszedł Andy.

Był jak zwykle nagi do pasa, w jednej ręce trzymał butelkę wina za dwadzieścia peset, w drugiej bagietkę. Pomachał barmanowi i pozdrowił głośno facetów przy gramofonach, ucałował dwie kelnerki, wkroczył na parkiet i zaczął tańczyć samotnie w świetle stroboskopu, wykonując niezwykle zawiłe ewolucje z repertuaru wschodnich walk. Dziesięć minut

później zaczął się przechadzać niedbałym krokiem po klubie, pozdrawiając przyjaciół, przyglądając się z bliska, ale jakby w roztargnieniu co ładniejszym dziewczynom, aż doszedł do Dextera i Diany, gdzie się zatrzymał. Stał o dwa kroki od ich stolika i zaczął się na nich bezczelnie gapić. Nie odpowiedział, kiedy wystraszony Dexter zapytał, czego sobie życzy. Potem wetknął ostatni kęs buły do ust i żuł ją przez jakieś pół minuty, otrzepując jednocześnie ręce. Diana zapomniała wkrótce o zakłopotaniu, zapatrzywszy się z zaprawionym fascynacją niesmakiem na powolne, leniwe ruchy jego zuchwy, opłukiwane winem wielkie, przeżuwające zęby, ruchy wilgotnego, mięsistego języka...

– Hej, wolnego – rzekł Dexter z udawanym rozbawieniem, kiedy Andy sięgnął po opróżnioną do połowy butelkę szampana, obejrzał ją pod światło, a potem wypił jej zawartość jednym haustem, przy czym jego jabłko Adama pulsowało miarowo w migającym świetle stroboskopu.

Potem Andy przyłożył nagie przedramię do ust i beknał potężnie.

– Bardzo orzeźwiające – oświadczył, po czym odstawił butelkę i ruszył w stronę Dextera. Uklęknął przy nim i zaczął coś namiętnie szeptać do jego wielkiego, czerwonego ucha. Po chwili obaj wstali.

– Chyba już pójdę – rzekł Dexter w zadumie.

Andy odprowadził go wzrokiem, a potem, zadowolony, wyciągnął rękę do Diany.

Półtorej minuty później Diana mknęła z Andym na motorze główną ulicą Rondy. Miała w głowie mnóstwo różnych zgrabnych odzywek, jakimi zamierzała go poczęstować: „Ha, duży chłopiec chce, duży chłopiec bierze”, „Słuchaj, hipisie, nie zadaję się z tajemniczymi nieznajomymi”, „Och, jesteś niesamowity, nie można ci się oprzeć!” – ale w jego zachowaniu było coś, jakaś prostolinijność i zarazem nonszalancja, co nasuwało podejrzenie, że działa pod wpływem jakiejś kombinacji prochów i może się stać naprawdę nieprzyjemny. Teraz zresztą Diana mogła myśleć tylko o doznawanym dyskomforcie fizycznym. Przytrzymując jedną ręką rąbek sukienki gdzieś w okolicach pępka, drugą objęła go w pasie. Pachniał rosą

i śpiworem. Kiedy otarła się rękawem o jego ciało w okolicach pachy, przemknęło jej przez myśl, czy zdąży uprać sukienkę, zanim się spakuje.

Andy zahamował gwałtownie przy końcu mostu nad wąwozem Ronda, olbrzymią rozpadliną przecinającą płaskowyż, na którym, niby porcelana na wielkim białym stole, rozrzucone było miasto. Poprowadził ją z powrotem na most, do jednego z półkolistych zagłębień w barierce.

– Patrzyłaś stąd kiedyś?

– Raz. Śmierdzi stamtąd.

– Ale nie w nocy.

Zmusił ją, żeby uklękła na kamiennej ławeczce i spojrzała przez pręty w głąb kamiennej rozpadliny. Stał za nią, bardzo blisko.

– Wąwóz jest głęboki na osiemset stóp. Mnóstwo facetów przyjeżdża tu co roku specjalnie, żeby się zabić. Rozmawiałem z takim starym pierdzielem, który zmywa ich potem węzem ze skały. Zawsze skaczą z tego miejsca, ze środka, przez barierkę. Przyjrzyj się temu miejscu. Pomyśl o tym.

Kiedy mówił, Diana czuła na obnażonych udach jego pęczniejącą obecność. Początkowo myślała, że to ręka, i nie zwracała uwagi. Potem, kiedy usłyszała dyskretny zgrzyt zamka od rozporoka, stawy jej palców zaciśniętych na barierce zbieleły.

– Rozglądają się najpierw – ciągnął Andy ochrypłym głosem – i pewnie zastanawiają się, jak mogli się dotąd przed czymś takim wzdragać. Więc patrz w dół. Spójrz w dół.

Diana nachyliła się jeszcze bardziej, wsłuchując się w szmer strumienia, ćwierkanie linii telefonicznej, zobaczyła migotliwe refleksy światła na powierzchni wody, zielonkawe iskierki porozumiewających się świetlików.

– A potem rzucają się, ziemia pędzi im naprzeciw i... Auuu, mój palant!

– Andy cofnął się raptownie, zwinięty w pól z bólu. – Zamek... przyszczypnął mi... och, mój pieprzony fiut!

Kiedy już wyzwolił przyrodzenie i oboje przestali się śmiać, Diana

odczekała parę sekund i powiedziała:

– Jutro wracam do Anglii – a wtedy zmusił ją, żeby wyjęła z torebki bilet i rzuciła go z mostu.

Diana śledziła lot kawałka czerwonego papieru szybującego zakosami w ciemnościach.

Ilekroć Diana myśli o tych sekundach, przywołuje wszystko to równocześnie: dyskretny zgrzyt zamka, ćwierkanie linii, połysk wody, migające świetliki – ale gdy wraca pamięcią do tego, co się działo potem, w ciągu miesiąca, niezmiennie ogarnia ją konsternacja.

– Chodź – powiedział, kiedy już wymeldował ją z hotelu – zafunduję ci niezłą frajdę.

Zjeździli połowę Europy na tym jego pieprzonym motocyklu. Spędzili noc w Granadzie z jakimiś okropnymi hipisami i sprzedali im jakieś lewe prochy. Za pieniądze, które dostali, zjedli potem kolację w klubie Ritornello w Alicante, gdzie ponadto Andy zmusił ją do tańca. Spędzili dwie noce w pensjonacie (po sto peset za noc) w Peniscoli (Andy nazywał ją Fiutococa), spali na plaży w Sitges i hasali na golasa na przełęczy w Pirenejach. Jedli wielkie krewetki, odebrali przesyłkę meskaliny w dokach Marsylii, zatrzymali się w hotelu George IV w Monte Carlo, nabawili się świerzbu w schronisku młodzieżowym w Le Touquet i przesiedzieli trzy doby w poczekalni na lotnisku Orly. Oprócz brudu, rozmaitych spotykanych zasrańców, ohydneho makrobiotycznego żarcia, które wmuszał jej od czasu do czasu, no i tego pieprzonego motocykla, najbardziej przerażała Dianę nieznośna trywialność sytuacji. Miła, bogata dziewczuszka poznaje jurnego prostaka. Kiedy patrzyło się na to z zewnątrz, wszystko, co robił, było ujęte w swoisty cudzysłów popolitości: był pozbawiony jakichkolwiek zahamowań, szalony, impulsywny – „liryczny”. A jednak przebywanie z nim było stanem całkowicie bezrefleksyjnym. Diana nigdy się nie wahała, ponieważ Andy, wciąż w akcji, zdawał się nie wiedzieć, co to wytchnienie. Poza wszystkim był jeszcze oczywiście seks i prawdopodobnie to wydawało się Dianie

teraz, z perspektywy czasu, najbardziej zawstydzające. W odróżnieniu od delikatnych, wyrafinowanych techników, z którymi sypiała w przeszłości, Andy najwyraźniej nie przejmował się jej indywidualnymi upodobaniami czy dostarczaniem jej przyjemności. Z jakichś powodów to właśnie budziło w niej dziwnie bolesną namiętność i (na sam dźwięk tego słowa aż się skręcała) „czułość”. Pewnego razu, w Pirenejach, spoił ją winem i zwymiotowała na swoje nagie ciało. Trzymał ją za ramiona. „Teraz przestaniesz mnie lubić”, powiedziała. W odpowiedzi przewrócił ją i posiadł w bujnej trawie z gwałtownością, jakiej dotąd nie знаła. Wystarczyło, że zniknął na dziesięć minut, a już czuła się zagubiona, przestraszona i bezgranicznie smutna.

Rozstali się w punkcie odprawy celnej w porcie w Boulogne. Zapytał, co będzie robiła po powrocie. Powiedziała, że od października zaczyna studiować w Londynie. W którym college’u? Powiedziała mu, w którym. Andy nie mógł się powstrzymać – musiał się roześmiać. „Dlaczego się śmiejesz?” – zapytała. Ale Andy nacisnął pedał gazu i Diana zdążyła tylko pocałować go w usta, nim pomknął jak strzała pokrytą nalotem morskiej soli autostradą.

Trzy tygodnie później, wciąż jeszcze płacząc, stała w kolejce kandydatów do college’u Wolfsona w Londynie, wielkiego, postmodernistycznego pudła, które sterczało groźnie nad dworcem autobusowym Golders Green. Chociaż jej półprzezroczysty jedwabny kombinezon stwarzał powierzchowne wrażenie, że jest dziewczyną niezwykle seksowną, stała przygarbiona, ze zwieszoną głową, w pozie pełnej rezygnacji. Ale i tak ją rozpoznał. „No, znalazłem cię w końcu – ja jestem tu już od roku”. Zaczął całować jej słono-gorzkie wargi, a studenci z kolejki wyprzedzali ich jeden po drugim. „Idziesz i zostajesz ze mną, czy jak?” Zaczęła znów płakać. „Tak, idę z tobą”, powiedziała błagalnym tonem.

21. Po nieznanym szlaku

Och, ale to bynajmniej nie tylko z jej strony spotkały pannę Lucy Littlejohn nieprzyjemności, kiedy tego wieczoru o siódmej wparadowała do Appleseed z pustą butelką po winie, żując gumę, paląc papierosa, obierając banana, usiłując naprawić zerwany naszyjnik z onyksu i domagając się hałaśliwie sporej sumy pieniędzy dla karłowatego taksówkarza, który odprowadził ją do samych drzwi. Andy powitał Lucy z tą samą przerażającą zwierzęcą agresywnością, której Diana tak bardzo się bała. (Kiedy całował Lucy w usta po raz drugi, Diana nie omieszkała zauważyć, że jest naprawdę trochę za gruby, a trzeba tu powiedzieć, że wytykanie mu nadmiernej otyłości było jednym z jej ulubionych zajęć). Quentin z kolei cmoknął Lucy w policzek z iście żołnierską rezerwą, przedstawivszy uprzednio ceremonialnie swoją małżonkę. Jakieś niewyraźne, związane z przeszłością ukłucie sumienia zakłóciło spokój Gilesa, kiedy Lucy uklękła koło jego krzesła i zaczęła mu coś szeptać do ucha, a potem pocałowała go w zaciśnięte usta. Trzy dziesięciofuntowe banknoty zatrzepotały w jego palcach. Potem elokwentny Villiers dokonał zbiorowej prezentacji Amerykanów. Whitehead, nieprzedstawiony, obserwował tego kontredansa z kąta, w którym siedział w iście monarszym, obitym pluszem fotelu.

Lucy zaś... Dla zmrużonych niebieskich oczu małego Keitha jej widok był pewnym rozczarowaniem. Zgoła fantastyczne opowieści, jakie o niej słyszał, czyniły ją w jego wyobraźni istotą wręcz nadludzką. Lucy była przedmiotem do pieprzenia za pieniądze, który mógł za drobną uprzejmość wybranzłować człowieka i zrzucić z siebie ciuchy, kiedy się go tylko o to poprosiło. Ale oto przyjechała i okazała się istotą w każdym calu ludzką. Co więcej, tylko odrobinę mniej urodziwa niż owa Lucy z tak często wertowanych, mentalnych zdjęć Keitha, miała zarazem tak wyrazistą osobowość i była tak onieśmielająco niezwykła. Kiedy się

przyglądało jej srebrzystym, krótko przystrzyżonym włosom, posrebrzonym powiekom, niezwykle barokowemu i obszernemu kostiumowi, łukowi uśmiechniętych ust, pomalowanym na różne kolory zębom, nieistniejącemu podbródkowi, człowiek zachodził w głowę, dlaczego ludzie nie pomyśleli wcześniej, że można tak wyglądać. Nie. Lucy była w sposób oczywisty osobą o zdecydowanych poglądach, atrakcyjną partnerką w intelektualnej rozmowie, osobowością. Proszę jej tylko posłuchać...

– Ajajaj. Naprawdę poczułam sympatię do tego karła taksówkarza. Kiedy wsiadłam do taksówki, powiedziałam sobie: „Dziecino, ten facet, który cię wiezie, jest karłem. Musiał sobie podłożyć pod tyłek opasy tom encyklopedii *Britannica*, żeby móc dosięgnąć kierownicy. Nie mów nic o karłach, dopóki nie dowiezie cię na miejsce i nie odjedzie”. Siedziałam z tyłu, starając się myśleć o rzeczach, które nie miały nic wspólnego z karłami, żeby mi się tylko coś nie wypsnęło. Nie wyjechaliśmy jeszcze z parku, kiedy mu powiedziałam, że właśnie byłam w kinie na bajce o Królewnie Śnieżce i siedmiu... Tu urwałam. To nie było zamierzone, naprawdę rano widziałam ten film. A więc chciałabym, żeby było jasne, zanim cokolwiek się zdarzy, że nie chciałabym nikogo obrazić, bez względu na to, co palnę w rozmowie. Pytam zatem: Czy są tu jakieś karły, pedały, Żydzi albo ktoś w tym rodzaju? Wolałabym wiedzieć z góry.

– No więc ja jestem Żydem – rzekł Marvell.

– Ja pedałem – dodał Skip.

– A ja karłem – powiedział Keith, uprzedzając innych i wzbudzając powszechny aplauz.

– No i widzicie? Widzicie? Hej, jakim tu trzeba być ważniakiem i co zrobić, żeby się doczekać drinka?

Kiedy Quentin z poczuciem winy nalewał Lucy whisky z karafki, którą właśnie z ociąganiem zniósł z góry Giles, Marvell zapytał zirytowany:

– A swoją drogą, po co ci drink, Lucy?

Bo trzeba powiedzieć, że Amerykanie zareagowali na Lucy wyniosłą

rezerwą, ostentacyjnym chłodem. Poświęcili ostatnie pół godziny na to, by z większym lub mniejszym powodzeniem stworzyć atmosferę powagi, nabożnego wręcz skupienia i spokoju. Marvell przytaszczył ze swojego pokoju wielkie pudło, postawił je ostrożnie na stole w podobnej do grotty niszy większego salonu, po czym zaczął z niego po kolei wyjmować i ustawiać różne buteleczki, flakoniki, strzykawki, miniaturowe łyżeczki. Skip biegał po całym domu, komenderując jego mieszkańcami, instruując ich lakonicznie, żeby rozlokowali się w salonie. Tam zastali już Roxeanne, która w przerwach pomiędzy przywracaniem do życia Gilesa ustawiała krzesła i przy okazji naraziła się już i tak wrogo nastawionej Dianie, tłumacząc Andy'emu głosem nabrzmiałym erotyzmem, żeby broń Boże nie puszczał płyt. Cały dom zaczynał się pogrążyć w atmosferze podszytej lekką ironią uległości, ale hałaśliwe wtargnięcie Lucy zburzyło doszczętnie ów nastrój.

– Co to ma być: jakiś seans spirytystyczny, czy co? – zapytała Lucy.

– Po co ci drink, Lucy? – powtórzył swoje pytanie Marvell, już mniej agresywnym tonem. – Mam tu znacznie lepsze specyfiki.

– Odpada. Nie chcę żadnych specyfików, chcę się napić.

Ponieważ to „odpada” znaczyło z grubsza tyle, co „czyżby?”, Marvell znów się zirytował.

– Słuchaj, Quent, wytłumacz jej, dobra? Powtarzam: nie chcę być upierdliwy, ale jeśli podejdziemy do sprawy nienaukowo, to wszystko spieprzymy.

Solidność umeblowania, czekoladowa tapeta i dobrany kolorystycznie granatowy dywan zdawały się sprzyjać zapadającemu zmierzchowi. Chociaż było oczywiste, że o wpół do ósmej za oknami jest jeszcze całkiem jasno, salon zdawał się kurczyć niepostrzeżenie, jakby ściany napierały na siebie. Zawodzący głos Marvella wsączał się w gęstniejący mrok wieczoru.

– Czy któreś z was już... Czy ktoś już zdecydował, czego chce doświadczyć?

– Ja – rzekł Andy, wstając. Odgarnął włosy z czoła i złożył ręce. – Chcę się podniecić, mieć potężny wzwód, poczuć w sobie brutalną siłę.

– Mam wrażenie – rzekł Marvell, grzebiąc w pudle – mam wrażenie, że doświadczasz tego bardzo często, Andy, co?

– Jakbyś zgadł. Ale dziś chcę to czuć przez cały czas, a przynajmniej przez całą noc.

Marvell wziął wielobarwną kapsułkę i rozplątał ją długim, giętym paznokciem kciuka na czystej kartce papieru. Do piramidki proszku dodał po połowce dwóch innych pigułek. Potem kazał Andy'emu złożyć kartkę tak, aby powstała rynienka, którą można było zsypać mieszankę do ust. Andy zapytał, czy może ją popić szklaneczką whisky, i uzyskał zgodę. Potem Marvell uniósł w górę coś, co przypominało strzykawkę laryngologa.

– Weź dwie krople na język.

– Co to było? – zapytał Andy, wykonawszy polecenie.

– Koncentrat adrenaliny.

– Gra.

– Masz około pół godziny do trzech kwadransów. No dobrze... Co z tobą, Celia?

Celia zmarszczyła brwi.

– No, to zależy, co będziemy dziś robić.

– Dajcie spokój – powiedziała Diana ponuro, spoglądając spod półprzymkniętych powiek. – Szykuje się kolejna pijacka orgia.

– Przestań, Diana – odezwał się Andy. – Co w tym, kurwa, złego? Czuję się już całkiem... całkiem rozluźniony.

– Tak właściwie – wtrącił Quentin – zamierzałem dziś pokazać naszym przyjaciołom nocne życie Londynu z dość niezwykłej perspektywy.

– Brzmi obiecująco – rzekł Marvell po krótkiej konsultacji ze Skipem i Roxeanne. – No i co o tym myślisz, Celio?

Celia wyprostowała się.

– Cóż, oczywiście chciałabym się trochę podkreślić, gdybyśmy mieli iść

gdzieś potańczyć. Nie miałabym nic przeciwko odrobinie meskaliny albo...

– Może trochę precyzyjniej, Celia. Nie mów o narkotykach. Mów o odczuciach, nastrojach.

– Ja... ja chciałabym się po prostu dobrze zabawić. – Celia odwróciła się do Quentina, który obdarzył ją ciepłym spojrzeniem. – I poczuć miłość, pełnię miłości – dodała.

Wszyscy obecni zarumienili się nieznacznie. Unosząc krzaczaste brwi, Marvell pogrzebał ze znudzonym wyrazem twarzy w swoim pudełku i w końcu wyciągnął jedną różową pigułkę, którą posłał łukiem przez pokój w stronę Celi.

– Zwykły ekstrakt koki. – Wzruszył ramionami. – Okej, a co nam powie Keith?

Whitehead machnął niedbale ręką. Był bez butów i nie zamierzał robić z siebie przedstawienia, drepcząc na krótkich nóżkach przez pokój, a poza tym życzenie, do którego wypowiedzenia bohatersko się przygotowywał, było przeznaczone tylko dla uszu Marvella.

– Na razie się nie zdecydowałem. Mogę się jeszcze trochę zastanowić?

– A co ty więcej możesz zrobić? – rzekł sennym głosem Skip, uśmiechając się głupekowato.

Keith nie bardzo zrozumiał tę uwagę.

– No więc jak, Marvell? – zapytał.

Marvell posłał porozumiewawczy uśmiech Skipowi i szybko odwrócił wzrok w stronę małego Keitha.

– Jasne, byle nie za długo, okej? Lucy – ciągnął, a w jego głosie znów pojawił się chłód – a co z tobą?

– Och, co za zaszczyt! – rzekła Lucy. – Czyżby kapitan Marvell potrafił w swej mądrości...

– Czy mogę teraz ja?

– Słucham?

– Czy mógłbym teraz ja?

Giles przemówił z tak wyrazistą, przypominającą głos robota dykcją, że

wszyscy odwrócili się w jego stronę zaskoczeni. Siedział na brzeжку krzesła wyprostowany z podniesionymi rękami. Twarz miał jeszcze bardziej napiętą niż przedtem i jej wyraz zmieniał się niezwykle gwałtownie, jak u ślepeca kroczącego po nieznanym sobie szlaku.

– Jasne – rzekł Marvell.

– Mogę teraz ja?

– Jasne, Giles.

– Proszę... zrób coś, żeby... Czy możesz tak zrobić, żeby... Zrób tylko tak, żebym się przestał wciąż martwić.

– Czym?

– W zasadzie drobiazgami.

– Jakimi drobiazgami? Muszę to wiedzieć.

Pijany i posiniaczony Giles odprężył się i przeniósł się na sofę. Lucy położyła dłoń na jego prawej ręce, lewa zatrzepotała w powietrzu jak zraniony ptak. Łza w kształcie delty zaczęła się z wolna formować na jego policzku.

– O Jezu – jęknął Andy. – Co to za mazgaj.

– No dobrze – powiedział Marvell posepnie. – Dam mu środek uśmierzający lęki o bardzo wszechstronnym działaniu, ale...

Głowa Gilesa opadła na ramię i jego rozchylone usta, teraz, we śnie, jakby mniej nadąsane, zamknęły się powoli.

– Film mu się urwał – rzekł Andy.

– Uważam, że byłoby nierozsądne dawać mu teraz cokolwiek – powiedział Marvell. – Zajmę się nim później. Ale ty, Lucy, mówiłaś, że...

– Okej, Marv. Okej. Już mówię. Nie chcę dziś żadnych smutków. Odbijamy, panie szyper. Witamy na pokładzie. Nie będę się przejmowała nikim, tylko sobą.

– Autonomia? Samostanowienie? Solipsyzm?

– To by było idealne.

– Mam coś takiego. – Marvell zdjął pokrywkę z tubki z tabletkami, wyjął jedną i ostrożnie zanurzył ją w szkarłatnej maści wyciśniętej na

spodek. – Wspaniale. A teraz Diana. Czego byś chciała?

– Niczego – odparła Diana.

– Nie pieprz, Diana – ziewnął Andy. – Musisz czegoś chcieć. Dlaczego, do kurwy nędzy, stajesz zawsze okoniem?

– Ja nie stoję okoniem, tylko jestem po prostu kompletnie znudzona. Chcę narkotyku, ale takiego, który pozbawiłby mnie wszelkich uczuć. I żeby skasował przeszłość. Jeśli dzisiejsza noc ma być tak głupia i wredna, jak się na to zanosi.

Szmer zdziwienia wionął przez salon. Marvell poruszył się niespokojnie.

– To nie będzie trudne – rzekł.

Roxeanne i Skip opowiedzieli się oczywiście za zwykłymi prochami (ona za czymś wyostrajającym doznania zmysłowe, on za środkami pobudzającymi krążenie), Marvell zaś z odpowiednim namaszczeniem przygotował dla siebie własny stymulator, przytykając zapalną do jakiegoś łatwopalnego proszku, a potem zanurzając w podobnym do smarków osadzie palec i wtykając go jak lizaka do ust.

– Nazywa się to Prospero – rzekł. – Dzięki temu czuję, że panuję nad sobą. Ejże, zapomniałem: został jeszcze Quent!

Quentin siedział rozparty, z założonymi rękami, jego wspaniała muskulatura prezentowała się imponująco na tle sofy. Gęsta, podszyta niepokojem atmosfera panująca jeszcze w salonie rozwiała się natychmiast, gdy rozległ się jego miodopłynny głos.

– Oto hipoteza – powiedział. – Przyszło mi do głowy, że pewien indywidualny sposób bycia, pewne tiki nie są ani wyłącznie wrodzone, ani całkiem przypadkowe. Są one projekcją, skutkiem działania mechanizmów obrony i oddziaływania na otoczenie albo przejawem wycofania i kapitulacji. Są to środki, za pomocą których stylizujemy nasz stosunek do innych i do świata zewnętrznego. Środki – wybaczenie, że to powiem – absolutnie nietrafne. W każdym razie pomyślałem sobie, że byłoby bardzo interesującym doświadczeniem, gdybym jako całkowicie

uwarunkowana kulturowo, a zatem całkowicie pozbawiona spontaniczności istota pozbył się tego wszystkiego – swoich odruchów, swoich typowych reakcji – i stał się jak gdyby „społecznie nagi”. Mój sposób mówienia musi być czasami niezwykle irytujący, a zatem daję ci szansę oczyszczenia mnie z tych nalotów i przemeblowania mojej świadomości. Pozostawiam sprawę otwartą: zrób ze mną, co zechcesz.

– Czy to wszystko nie jest nazbyt ogólnikowe? – zapytał niezadowolony Marvell.

– Absolutnie nie – odparł Quentin.

– Na początek – powiedziała Diana – możesz z niego zrobić jakaś. Przynajmniej nie będzie tyle gadał.

– Brawo, Diana! – zawołał Quentin. – To jest pomysł! Marvell, zrób tak, żebym miał trudności z wysławianiem się.

– Zrób z niego prostaka i gamonia – podsunęła Lucy.

– A może by zrobić tak, żeby się stał nieśmiały? – podpowiedziała ostrożnie Celia.

– Zrób, żeby był napalony jak pies – rzekła Roxeanne.

– Żeby był przerażony.

Quentin rozplótł ręce i uśmiechnął się.

– Masz cały komplet wskazówek, Marvell.

Dziesięć minut później, kiedy Quentin nawdychał się, nassał i nawąchał rozmaitych tajemnych ingrediencji, Marvell otrzepał ręce i wrócił do niszy, w której stał stół. Rozejrzał się po pokoju i mruknął:

– No, na razie to byłoby tyle.

Whitehead siedział napięty na swoim krześle aż do ostatniej chwili. Pary rozchodziły się do swoich sypialń. Giles, otrzeźwiony, połknął z oporami swój środek uspokajający i Lucy wyprowadziła go z pokoju. Diana poszła na górę, silna w swej samotności. Roxeanne wyszła z pokoju za Andym, Quentinem i Celią. Skip, z twarzą zastygłą w wyrazie oszołomienia, pozostał przez dłuższą chwilę w swoim fotelu, a potem też wymknął się

z salonu.

– Hej, Marvell.

– Ach, to ty, Keith.

Keith wstał z krzesła i drobiąc, ruszył w stronę Marvella. Wreszcie udało mu się wdrapać na ławkę naprzeciw Amerykanina.

– No co tam? – zapytał Marvell, spoglądając na niego znad pudła. – W czym ci mogę pomóc?

– Zrób tak, żebym był wysoki – powiedział Keith. – Wysoki. Wysoki.

22. O kogo chodzi?

Andy rozpiął pasek od spodni i opuścił dzinsy.

– Uff, ulżyło mi. Chryste, ależ to był numer z tą krową. Ten zwariowany sukinsyn załatwił ją na cacy, co?

– On jest naprawdę szalony – odparła Diana. Biały kombinezon opadł na dywan jak biała kałuża u jej stóp. Przystąpiła go i naga sięgnęła po szczotkę do włosów.

– Taa... Te martwe ślepia, jak u jakiegoś podwodnego stwora – rzekł Andy sennym głosem, odwiązując sznurek swoich dżokejskich spodenek.

– Aha.

Diana nie odwracała wzroku od lustra i nie przestawała szczotkować włosów.

– Jesteś chuda jak szczapa, wiesz? Straciłaś na wadze – powiedział Andy na próbę. Zignorowała go. Ośmielony, położył rękę na jej biodrze, gdzie był jeszcze widoczny ślad po bikini. – Tak, myślę, że straciłaś na wadze.

– Nie dotykaj mnie.

– Bo co?

– To tylko rada. – Diana obróciła się. – Tylko rada. Chodzi o to, że

musisz wziąć pod uwagę Lucy i tego tłustego Amerykańca. Będziesz miał do odwalenia kupę rżnięcia, zuchu.

– Wcale nie zamierzam... A zresztą co z tego, gdyby nawet tak było?

– Nic mnie to nie obchodzi. Słuchaj, grubasie, jest mi obojętne, co robisz, tylko żebyś mi nie przychodził po wszystkim, nie szpanował, nie opowiadał o tym i nie pokazywał, jaki to jesteś luźny i wyzwolony...

– Wyzwolony?

– Tak jakby cię te rzeczy naprawdę pociągały. Wisi mi to, dopóki nie próbujesz z tego zrobić swojej zalety. Okej?

Na początku pierwszej części jej przemówienia Andy uciskał sobie kark, pozwalając, by lśniąca grzywa włosów spadała mu na oczy. Spoglądał z wyrzutem przez ich zasłonę na gładką, symetryczną twarz Diany. Wyglądała w tej chwili jak hokeista-twardziel, rozpamiętujący ciężką kontuzję.

– Naprawdę nie wiem, co się z tobą dzieje, Diana. – Andy wyprostował się i nagle twarz rozjaśnił mu uśmiech. – No nie, to nie do wiary! Słuchaj, ty chyba jesteś zazdrosna?

– Jak skurwysyn!

– Jezu. Ty naprawdę jesteś zazdrosna. No, no!

– Wcale nie jestem „zazdrosna”. Po prostu...

– Ale przecież już o tym rozmawialiśmy – ciągnął oszołomiony swym odkryciem Andy. – Jezu. Czy ja się piekliłem, kiedy pieprzyłaś się z tym aktorem, jak ja byłem w Amsterdamie? A kiedy pieprzyłaś się z Bruce'em Howardem po przyjęciu – czy ja się wściekałem?

– Masz doskonałą pamięć. Bo ja w ogóle się z nim nie pieprzyłam.

– No to mu obciągnęłaś. Co za, kurwa, różnica?

– Co z tobą? Ty pieprzyłaś nawet takie, których nie chciałaś pieprzyć.

– Skąd, kurwa, miałem wiedzieć, że chcę je pieprzyć, dopóki ich nie wypieprzyłem? Bądźże rozsądna, kobieto. A zresztą co, kurwa, z tego? Diana, rzygać mi się chce, jak słyszę taką gadkę w tym domu. Boże, człowiek myśli, że ma do czynienia z cywilizowanymi ludźmi, i nagle

dostaje taki zimny prysznic! – W głosie Andy’ego pojawił się ton urazy i rozżalenia. – Człowiek myśli, że kogoś zna. Szanuje tego kogoś, jako osobę przyzwoitą i szczerą, a potem stwierdza, że ona ma jakieś opory wobec czegoś tak pospolitego, jak... Słuchaj no, Diana: nikt nie będzie mi wyjeżdżał z taką gadką-szmatką, dopóki mieszkam w tym domu. Niech mnie, kurwa, szlag trafi, jeśli dam sobie wciskać taki kit...

Słuchając tego natchnionego wywodu, Diana siedziała na łóżku plecami do Andy’ego. Nagle zeszywniała.

– Andy, czy to ty napisałeś? – zapytała cicho, nie odwracając głowy.

– ...takie kompletne bzdury... Co takiego?

– Czy to ty napisałeś?

– Co mianowicie?

Diana odwróciła się i uniosła kartkę. Twarz miała bladą, jakby ściętą chłodem.

– Co to jest, mała? – zapytał Andy z niepokojem.

List napisany był wersalikami, z równymi marginesami po obu stronach i wyglądał jak drukowany albo złożony letrasetem. Andy zmarszczył brwi.

DIANA. NIE MUSZĘ CI MÓWIĆ, CO SIĘ SZYKUJE, PRAWDA? CZY POMYŚLAŁAŚ KIEDYŚ, PATRZĄC W LUSTRO ALBO WIDZĄC PRZELOTNIE SWOJE ODBICIE W SZYBIE WYSTAWOWEJ, CO WYRAŻA TWOJA TWARZ, TWÓJ WYGLĄD? URODA, SEKS, ZAMOŻNOŚĆ, INSTYKNT SAMOZACHOWAWCZY? O NIE. PRZEJRZAŁEM CIĘ NA WSKROŚ, WIDZĘ NIESMAK W SKRZYWIENIU TWOICH UST, TWOJE OCZY ZAROPIAŁE. CZY NIE WYCZUWASZ EMANUJĄCEJ Z CIEBIE POGARDY? NIE ZDAJESZ SOBIE SPRAWY Z TEGO, JAK MY WSZYSCY SIĘ CZUJEMY? CHCIELIBYŚMY ROZPŁATAĆ TWOJE TŁUSTE UDA, OBERŻNAĆ CI TWOJE PĄCZKUJĄCE CYCKI, WKREĆCIĆ CI

SZABLE W ODBYT, WGRYŹĆ SIĘ W TWOJE KROCZE, AŻ
ZDECHNIESZ I WYJDĄ Z CIEBIE DEMONY.

JOHNNY

Gdy Andy czytał, Diana założyła ręce na nagich piersiach i zaczęła płakać jak dziecko, nie próbując nawet ukryć łez i wytrzeć nosa.

– Chryste – powiedział Andy. Dopiero drugi raz w życiu płakała w jego obecności. – Spokojnie, kochanie. Jestem przy tobie. Nic ci się nie stanie.

– Andy pogłaskał ją po ramieniu. – Nie przejmuj się, nic ci nie grozi.

Owinął się ręcznikiem i wyszedł na półpiętro.

– JOHNNY! – ryknął. – Johnny! – Probostwo znów pograżyło się w ciszy.

– O kogo chodzi? – dobiegł skądś głos Quentina.

Chwilę później z salonu wyszła Roxeanne.

– Co się dzieje?

Pod wpływem nagłego impulsu Andy zbiegł wielkimi susami ze schodów i schwycił Roxeanne za ramiona. Z zaciekłością dzikiej bestii przycisnął ją do drzwi i pocałował brutalnie w usta. Roxeanne przywarła do niego brzuchem i wyszeptała:

– Wyciągnę z ciebie wszystkie soki. – Potem odepchnęła go, aż zatoczył się na poręcz, i majestatycznie ruszyła po schodach na górę.

Andy zaś ruszył chwiejnym krokiem na poszukiwania Lucy. Pomyślał sobie, że tak czy inaczej weekend zapowiada się całkiem ciekawie.

23. W pijackim kosmosie

Giles stoi, chwiejąc się, na środku pokoju. Jego nieruchoma twarz i nienaturalna sztywność świadczą o tym, że jest pod działaniem alkoholu

i amfetaminy, rozbitek zagubiony w pijackim kosmosie. Musi wyciągać ręce nieskończenie daleko, żeby zacisnąć palce na butelce dzinu i przenieść ją do ust. Kiedy przełyka trunek, jego wzrok odpływa, jakby tylko jakaś drobna cząstka jego jaźni pozostawała w pokoju. Twarz Gilesa jest twarzą trupa; odrętwiała, wyparowuje niezliczone, niekończące się godziny picia.

Giles przechylony nienaturalnie na bok wszedł do łazienki i oparł się o umywalkę. Jego łazienka to istna pracownia stomatologiczna. Na stoliku obok umywalki stoją dwie elektryczne szczoteczki do zębów i siedem zwykłych o różnych kształtach i konstrukcji, ekonomiczna tubka Selto, trzy rodzaje pasty do zębów, cztery opakowania nici dentystycznej, cała bateria płynów do płukania ust, replika zębów Gilesa (która kojarzy się z placem budowy, tyle tu miniaturowych krążków linowych, drabin i żurawi) i biała, emaliowana taca z chirurgicznymi instrumentami. Każdy wystający lub kanciasty element, włącznie z klamką i uchwytem do spuszczenia wody, jest owinięty gąbką.

Giles wyszczerzył zęby do lustra i zadrżał lekko, kiedy jałówka natarła na niego z impetem. Jego ręka sięgnęła odruchowo po karafkę z dzinem stojącą na półce po lewej stronie. Utkwił wzrok w swej odbitej w lustrze twarzy, nachylając się *gradatim* do przodu. Przyglądał się sobie przez pełną minutę, na pół zdziwionym, na pół oskarżycielskim wzrokiem, a w końcu powiedział:

– Musisz skończyć z tym płaczem.

Zamknął oczy i jego myśli powędrowały przez długą galerię popołudni spędzonych w fotelu dentystycznym.

– Giles? Giles! To ja, Lucy.

– Jaka Lucy?

– No Lucy.

– Ach tak, przepraszam, Lucy, w zasadzie... – bąkał Giles, odsuwając zasuwkę.

Lucy wsunęła się pośpiesznie do pokoju. Giles przywarł do ściany niczym szpieg, który śledzi ją z ukrycia, sam niezauważony. Lucy nigdy dotąd nie była w tym pokoju, ale dzięki wyostrzonemu zmysłowi obserwacji błyskawicznie zarejestrowała cały jego inwentarz. Otworzyła barek i wyjęła litrową butelkę whisky. Dla otępiełego systemu nerwowego Gilesa była tylko widmową konstrukcją ze szmatek i barwnych plam, a jednak odbierał ją także niejasno jako coś, co zna i na czym może polegać. Jego usta rozciągnęły się w przyjaznym uśmiechu, jednocześnie próbował skoncentrować wzrok na rozpływającym się kształcie.

– Ach, witaj, Lucy. Jak się masz, w zasadzie...

– Co?

– W zasadzie.... To znaczy... O Boże.

– Giles, jak słowo daję...

– Wiem.

Pociągnęła go w stronę łóżka i usiadła obok niego. Popijała z butelki, strużka whisky spływała po twarzy upstrzonej rozmazanym makijażem. Atmosfera była gęsta, wyczuwało się napięcie, jak gdyby żadne z nich nie mogło uwierzyć, że coś dla siebie kiedyś znaczyli.

– Giles, dlaczego my...

Urwała, bo zauważyła drobną zmianę wyrazu jego twarzy, coś w oczach, co zresztą natychmiast zamarło.

– Dlaczego właściwie siedzimy tu z tymi draniami? – zaczęła nieco ostrożniej. – Z tymi okropnymi Amerykanami?

– No właśnie – rzekł Giles z nagłym ożywieniem. – Oni są okropni, prawda?

– Okropni. Prawdziwe skurwysyny. Najgorsze typy, jakie od dawna widziałam. Od lat. Najgorsze szumowiny na ziemi. Ten mały troglodyta z prochami...

– Aha. Skip.

– Nie, Skip to ten wypierdek, co się w ogóle nie odzywa. Mówię o tym ich wodzu. O Marvellu. Co za kretyńskie imię. A ta dziewczucha! – Lucy

wyprężyła biust i przyłożyła rękę do ust. – „Och, Indy, mogę ci odgryźć kutasa?” Wygląda jak klacz. To niemożliwe, żeby mieć takie ciało. Po prostu niemożliwe.

Na twarzy Gilesa pojawiło się rozmarzenie.

– Uważam, że ona ma... Nigdy nie widziałem takich... Myślę, że ma absolutnie najpiękniejsze...

– Co ty. – Lucy wzruszyła ramionami. – Nie mogą być prawdziwe. Pewnie pakuje w nie codziennie dwie porcje silikonu.

Giles zamierzał powiedzieć, że Roxeanne ma najpiękniejsze zęby, jakie widział w życiu, w zasadzie, ale nieoczekiwanie opuścił wzrok na poduszkę i pogrążył się w zadumie.

Rozglądając się w roztargnieniu po pokoju, Lucy zapaliła długiego papierosa.

– Gdzie ja mam dzisiaj spać? Masz jakiś pomysł?

Odrętwiały Giles przebiegł myślami przez wszystkie pomieszczenia Appleseed, przydzielając pokoje i kojarząc pary.

– W... u... z... – Uświadomiwszy sobie, że jego pokój jest właściwie jedynym, który wchodzi w rachubę, spojrzał na Lucy i zaczął lekko drżeć na całym ciele. Przez chwilę jego wzrok był czujny i nieruchomy, jak u słabego zwierzątka, które stanęło oko w oko z przedstawicielem innego, mocniejszego gatunku.

– Co się z tobą ostatnio dzieje, Giles. – Nie było to pytanie, lecz raczej stwierdzenie.

– Sam nie wiem, naprawdę. – Zamrugął i westchnął ciężko. – Lucy, czy byłabyś tak łaskawa i po...

Lucy wstała.

– Z tonikiem?

– Tak, proszę, w zasadzie.

– Dużą szklanę?

– Tak, proszę.

Ujęła go za rękę.

– Nie martw się, mój drogi, prześpię się na sofie albo...

Zwinąwszy się w kłębek na łóżku, Giles wetknął poduszkę pomiędzy twarz a ścianę. Język patrolował wyszczerbione granie dziąseł. Sylwetka Lucy zamajaczyła nad nim, jej kontury rozmywały się i zacierały. Jego myśli, lekkie teraz jak piórko, odpłynęły i Giles zapadł w przerywany, niespokojny sen.

24. Łzy jak grochy

Uwaga!

Oto pojawia się Whitehead; wytacza się ze swego pokoju na szczydłach wysokich butów na płaskim obcasie wypchanych do wysokości łydki papierem toaletowym. Jego stopy bez skarpetek, niemiłosiernie ściśnięte, jęczą i rozkładają się. Blokada porów skóry uniemożliwia wydzielanie potu; Keith ma wrażenie, że naciągnęli mu na głowę gumowy czepek, i teraz cząsteczki materii bombardują mózg. Twarz małego Keitha jest niepokojąco blada, biała jak poranny śnieg, a jego nogi pulsują krwią i nabrzmiewają, rozpychając skrócone portki Whiteheada-seniora, które Keith w pośpiechu ześcibił zszywaczem. Inne efektowne elementy jego stroju to nylonowa wzorzysta apaszka, która maskuje wałek tłuszczu wokół karku, i niebieska siatkowa koszula, tak szorstka, że zamieniła sutki Keitha w krwawy pudding. Z głową pełną paskudnych myśli Keith przystaje przy drzwiach garażu, maca ręką wyłysiałe miejsca na głowie.

– Co ty wyprawiasz? – pyta głośno sam siebie. – Na jakiej podstawie myślisz, że uda ci się zakisić ogóra?

Ale narkotyk dźga go gdzieś w okolicach krzyża i Keith czuje przyływ nie tyle pewności siebie, ile tępej rezygnacji. Krocząc chwiejnie w swych wypchanych papierem butach, wkracza do Brobdingnagu.

Na górze, dla kontrastu, scena miła dla oka: Quentin Villiers odchyła się sztywno do tyłu, żeby Celia mogła ułożyć kołnierzyk jego ozdobionej falbankami koszuli z tafty.

– Jak wyglądam?

W swym fioletowym zamszowym garniturze i spodniach wetkniętych w obcisłe wysokie buty ze skóry aligatora, z szopą srebrzystoblond włosów szczesanych fantazyjnie z czoła Quentin wyglądał olśniewająco pięknie, jak Chatterton – i zdecydowanie arystokratycznie. Już samo przebywanie w jego bliskości sprawiało, że Celia czuła dziwnie przyjemny, lekki ból zębów.

– Wyglądasz absolutnie nadzwyczajnie. Jak ekstrakt seksu. Boże, jakbym chciała mieć twoją wspaniałą cerę – westchnęła, nakładając na twarz porcję gęstej, brązowej mazi. – Tych moich koszmarnych plam nic nie zakryje.

– Bzdury opowiadasz, skarbie. Nie cierpię, jak tak mówisz. – Quentin pochylił się ku niej sztywno i musnął wargami jej półotwarte usta.

Spojrzała na niego i łzy jak grochy wezbrały jej w kącikach oczu. W jej wzroku pojawił się niepokój i niedowierzanie, kiedy Quentin położył suche dłonie na jej policzkach.

– Kocham cię – powiedział poważnie.

– Dziękuję – odparła. – Ja cię też kocham.

Quentin odpłynął w stronę wielkiego lustra, stanął przed nim i zmierzwił włosy długimi palcami.

– Kochanie – rzekła Celia – czy czujesz już działanie tego dziwnego narkotyku, który wybrałeś? Nie robi ci się smutno ani nic?

– Absolutnie. Ani odrobinę. A co z tobą?

– Owszem, moje ręce stają się bardzo aktywne. – Celia wstała, na jej kanciastej twarzy malowały się niepewność i rozbawienie. – Jak wyglądam? Bardzo źle?

– Wyglądasz bardzo wzruszająco.

Celia uśmiechnęła się szeroko, odsłaniając dziąsła, i przez chwilę

rzeczywiście wyglądała tak, jak mówił.

- Kochanie, czy podjąłeś już jakąś decyzję w sprawie podróży?
- Myślałem o tym trochę, owszem. Przede wszystkim mogłoby nas spotkać coś gorszego niż...

25. Psychologiczna Rewia

Psychodrama zwana Psychologiczną Rewią odbywała się co dwa tygodnie w na pół zrujnowanym kinie z lat dwudziestych, w miejscu, gdzie kiedyś przebiegała Kilburn High Road, a teraz stały rozklekotane przyczepy mieszkalne porozrzucane w grupkach pomiędzy drogami dojazdowymi od północy. Od strony wiaduktu nadjechały razem chevrolet i jaguar i z wyciem pomknęły przez mrok w stronę Universalu, pokrytej czarnym nalotem sadzy budowli, której masyw ciemniał groźnie ponad boksami z używanymi samochodami i obskurnymi jadłodajnikami, zaśmiecającymi całą okolicę. Zaciszne nisze pomiędzy filarami mostu, słupy drogowskazów i kolumny wiaduktu spowijał przyjemny mrok, tajemniczy i niegroźny. W górze smugi sodowego, neutralnego światła z tysięcy latarni łączyły się w potężny snop, który wcinał się w niebo, tworząc jak gdyby bramę wjazdową do królestwa nocy.

– Jakieś lepsze towarzystwo – mruknął Marvell, kiedy nadjechał chevrolet.

– Coś ci powiem – odezwał się Andy z tylnego siedzenia. – Jeśli któryś z tych pieprzonych żuli podskoczy, daj mi tylko znać, a załatwię go tak, że z miejsca spuści z tonu i zamieni się w żalosego dupka, mogę ci to zagwarantować.

O dwadzieścia jardów od nich jacyś degeneraci, którzy obsiedli schody prowadzące do pogrążonego w półmroku foyer, patrzyli zaniepokojeni na grupkę z Appleseed, która wysypała się z samochodów i zbliżała się do

nich szybkim krokiem.

– Ach, luksus podróżowania! – rzekł Quentin.

Andy popędził przodem, żeby kopniakami utorować drogę przez tłum.

– Zjeżdżaj stąd! Dawaj forszę! – wołał i od czasu do czasu walił pięścią w jakąś wystającą głowę albo tratował opieszalą rękę. – NIE DOTYKAJ JEJ, TY PIERDOLONY LUMPIE! – ryknął, kiedy jakiś kaszlący włóczęga zbyt wolno usunął się Dianie-królowej z drogi. Ciężki but Andy’ego pomógł mu w tym skutecznie. – Chryste. – Andy pokręcił głową, wygładzając swą wojskową kurtkę, kiedy już znaleźli się w foyer. – Człowiek chce zobaczyć coś ciekawego i co musi najpierw zrobić? Przebiec się przez tłum jakichś lumpów. Giles, zapłać panu i wchodzimy.

Wystrój wnętrza Universalu był nie tyle pretensjonalny, ile po prostu apokaliptyczny: przestrzenna konstrukcja sufitu, który ginął gdzieś w serii stwarzających złudzenie perspektywy płaszczyzn, całe tony zapleśniałych purpurowych draperii, mosiężne reliefy, głęboko żłobione ściany i stiukowe gzymsy. Budynek został ostatecznie przeznaczony do rozbiórki już pod koniec lat sześćdziesiątych – co przysporzyło mu tylko wielkiej popularności, jako ostatniemu azyłowi dekadencji – ale w czerwonym świetle sprawiał wrażenie solidnego monolitu. Przeszli po czerwonym miękkim dywanie ku scenie, obrzucając taksującym spojrzeniem nieliczną, złożoną najwyraźniej z ludzi zamożnych widownię skupioną w kilku pierwszych rzędach przed półkolistą sceną.

– Czy tu zawsze tak pusto? – zapytał Marvell.

– Tylko elita wie o rewii – w ten sposób robi się forszę – wyjaśnił Andy, nawiązując tym samym do tuzina dziesięciofuntowych banknotów, które Giles wręczył wcześniej szwajcarowi w śliwkowym garniturze.

Chociaż posuwający się truchtem Whitehead wykonał mnóstwo chytrych manewrów, to zwlekając, to znów przyśpieszając w nadziei, że zajmie miejsce obok Lucy, kiedy wreszcie zasiedli w trzecim rzędzie, znalazł się pomiędzy Skipem i Marvellem, przy czym obaj, nawet w odczuciu Keitha, zdawali się nim niezdrowo interesować. Usadowieni

wcześniej bywalcy ani myśleli podkurczać nóg, żeby przepuścić nowo przybyłych, i dopiero Andy musiał im przypomnieć o tym, że grzeczność mimo wszystko obowiązuje. Atmosfera była jednocześnie nerwowa i senna. Mgiełka bezgranicznej apatii unosiła się nad pępym audytorium.

– Mój Boże – westchnął Quentin, wycierając plastikowe obicie fotela aksamitną rękawiczką. – Zupełnie jak na jakimś poranku dla starych pierdzieli. Przy całej mojej serdecznej sympatii, jaką zawsze żywiłem wobec kulturalnych ludzi z towarzystwa, życzyłbym sobie, żeby przynajmniej od czasu do czasu okazywali choć odrobinę autentycznego ożywienia.

– Co w programie?

– Poczekaj, a zobaczysz, Skip. Obiecuję ci jedno: że nigdy się nie powtarzają.

Dziewczęta gwarzyły, jak gdyby w kontrapunkcie do wywodów Quentina dotyczących „kontralternatywnego” teatru, Skipowi nie powiodła się kolejna próba wciągnięcia Gilesa do rozmowy, Whitehead zastanawiał się, co zrobi, jeśli jego nogi eksplodują, na sali zaczęto otwierać butelki z whisky i ostentacyjnie zapalać skręty i wreszcie pojawiły się oznaki prawdziwego ożywienia. Wybiła godzina dziesiąta i tupanie, kocia muzyka, obsceniczne wrzaski i kłapanie siedzeniami foteli zaczęły narastać w leniwym crescendo. Szczególnie efektowne były wyczyny dwóch wysokich, ubranych jak biznesmeni młodzieńców z pierwszego rzędu, którzy ciskali na scenę puste butelki po tequili, gwizdali przeraźliwie na ultradźwiękowych gwizdkach i sikali do kanału orkiestrowego, nie wstając z krzeseł.

Adorno uniósł się i już miał im powiedzieć, żeby zamknęli swoje pieprzone gęby – kiedy najwyraźniej coś zauważył.

– Spokojnie – powiedział. – To Konceptualiści.

– Kto? – zapytał Marvell.

– Konceptualiści. – Andy zaczął się uważnie rozglądać dokoła.

– Ach, racja, słyszałem o nich. Coś pośredniego między starymi Aniołami Piekła a Chuckiem Mansonem.

– Nic podobnego – rzekł Andy tak wyniośle, że przez chwilę wydawało się, iż patrzy na Marvella raczej przez nozdrza niż oczami. – Nic podobnego. To coś zupełnie nowego i innego. Myślę, że to jedyni ludzie, którzy nadają jakiś twórczy sens temu, co się teraz dzieje na świecie. Dla mnie oni są jedynymi, którzy wyciągnęli wnioski z tego, co technologia zrobiła z seksem i przemocą. I przetrwają.

– Czyżby?

– Lepiej w to uwierz, bracie.

– Niby dlaczego?

Precyzja i arbitralność były podwójnym znakiem firmowym Konceptualistów. Rankiem tego dnia, kiedy zainaugurowali swoją akcję, którą nazwali „Gesty”, piętnastu skromnych urzędników państwowych znaleziono w łózkach oskalpowanych. Wszyscy mieli coś wspólnego z zarządzaniem ściekami miejskimi i przemysłowymi. Czyżby była to organizacja polityczna? Piętnaście dni później kilkudziesięciu przypadkowo wybranym lekarzom, inspektorom służby zdrowia, pracownikom pomocy społecznej, instytucji charytatywnych i członkom Armii Zbawienia przecięto w wyniku zsynchronizowanej, błyskawicznej akcji ścięgnięcia Achillesa. Pierwszego dnia kolejnego miesiąca gazety doniosły, że trzydziestu właścicielom sklepów z towarami żelaznymi w różnych regionach kraju wyłupiono po jednym, lewym oku. Cztery tygodnie później z ukradzionych helikopterów rozsypano nad największymi miastami osobliwe konfetti z pornograficznych pocztówek, zdjęć przedstawiających straszliwe okrucieństwa, reprodukcji objętych zakazem publikacji zdjęć medycznych, klisz rentgenowskich i wyników analiz moczu. (Policja, początkowo tylko zaniepokojona, z czasem wpadła w kompletną histerię). Regularnie co jakiś czas wychodziły na światło dzienne jakieś strzępy perwersyjnych i realizowanych w praktyce scenariuszy akcji seksualnych – nie nagłaśniano tego specjalnie, ale

wszyscy byli przekonani, że są one dziełem tej samej organizacji... Wystylizowany wypadek samochodowy, przy czym rozbite tablice rozdzielcze obu pojazdów usmarowane były nasieniem. Całe *theatrum* przeprowadzanych w nocy zabiegów chirurgicznych: hangary lotnicze, laboratoria chemiczne, kanały do przeglądu samochodów na torach wyścigowych, fabryki, w których eksperymentowano z lekami, sale widowiskowe stały się sceną nocnych krwawych orgii. Kaleki i chorych umysłowo wykradano z rozmaitych szpitali i zakładów psychiatrycznych i odsyłano w stanie szoku. Porwanego chirurga zmuszono do przeprowadzenia z pistoletem przyłożonym do głowy dziwnej operacji odbytu na zamaskowanym pacjencie. Półtoraroczna dziewczynka znaleziona w rowie ze zmasakrowanym krocem.

Entuzjastyczny stosunek Andy'ego do Konceptualistów nie był całkiem bezinteresowny. Znał kilkunastu z nich, w tym kilku bardzo dobrze, i imponował mu ich spokój, bezwzględność, ich widmowa anonimowość, niemal erotyczne rozmarzenie, z jakim mówili o swojej akcji „Gestów”, a przede wszystkim ich chłód i skuteczność. We wczesnej młodości Adorno marzył o wniesieniu swojego wkładu do ich dzieła. Zaczął w londyńskim Earl's Court, komenderując swymi ludźmi zręcznie i dyskretnie, przedkładając swoje projekty sztabowi Konceptualistów, zwracając na siebie uwagę najbardziej zahartowanych działaczy i zdobywając coraz wyższą pozycję jako człowiek niezastąpiony. W końcu zwrócono się do niego z prośbą o zaplanowanie wszystkich przyszłych akcji „Gestów”... Choć Andy spełniał już jeden warunek niezbędny do uzyskania członkostwa (miał ponad sześć stóp wzrostu) i wkrótce miał spełnić drugi (skończyć studia humanistyczne), jego pragnienie dawno już zaczęło blaknąć. Budząc się o świcie lub wylegując w łóżku do późnego popołudnia, Andy nie mógł się pozbyć podejrzenia, że jest osobnikiem zbyt miękkim, żeby zasłużyć na członkostwo takiego ruchu, że brakuje mu lodowatego chłodu, przebiegłości i okrucieństwa, jakim odznaczyli się jego prawdziwi przedstawiciele. Podejrzenie, a ostatnio już prawie pewność, że

ma w sobie te słabości, stały się przyczyną ataków najgłębszej depresji.

– Nie wiedziałem, że Konceptualiści robili takie rzeczy – rzekł Marvell pełnym szacunku, przeprasającym tonem. – Skąd wiesz, że ci tutaj to ludzie z organizacji?

– Poznają po ubraniach, wyglądzie narcyzów, krótko ostrzyżonych włosach. Wszyscy są wysocy, sprężyści, wysportowani.... – Andy wzdrygnął się lekko.

– Aha.

– I są... jakby na zewnątrz. Wiesz, o czym mówię? – Wyglądało na to, że Andy rzeczywiście chciałby usłyszeć odpowiedź.

– Tak, wiem, o co ci chodzi. – Marvell zachichotał i dodał: – Są tu prywatnie, prawda?

– Nie jestem pewien. – Po raz pierwszy w głosie Andy’ego pojawiła się nutka niepokoju. Wszyscy zamilkli. – Nie mają żadnych schematów, jeśli idzie o rozpieprzanie ludzi. Nie afiszują się tak zwykle... Chyba że szykują jakąś nową akcję.

– Och, wyjdźmy stąd, proszę.

– Spokojnie, Celia – rzekł Andy nerwowo i uspokajająco zarazem, dając do zrozumienia, że bardziej martwi się o publiczny wizerunek Konceptualistów niż o własne bezpieczeństwo.

– Czy nie stanie się nic złego, kochanie?

Quentin Villiers rozparł się wygodnie w fotelu, wydmuchując wielkie kółka wonnego dymu. Potem z wolna pokiwał głową, a tymczasem światła na sali zaczęły przygasać.

Na scenę wsunął się boczkiem malowniczo zdeformowany starzec z dłonią przyklejoną niczym kawałek flaneli do pożłobionego zmarszczkami czoła. Rzuciwszy się bohatercko na mikrofon, podziękował wszystkim tym, którzy zechcieli przyjść tego wieczoru na Psychologiczną Rewię, i z żalem poinformował, że oczekiwani artyści, zespół Płaty Mózgowe, nie będą mogli niestety wystąpić. Następnie wyraził nadzieję, że obecnych ucieszy zapewne wiadomość, iż udało mu się namówić do

występu niejakiego Ejsi-Disi wraz z zespołem. Potoczył po widowni dzikim wzrokiem i zniknął za aksamitną kurtyną, która majestatycznie rozjechała się na boki.

Dwadzieścia minut później w Universalu zrobiło się śmiertelnie nudno. Ejsi-Disi, emerytowany kabareciarz, okazał się tłustym, niepamiętającym roli typem, pijanym i pozbawionym jakichkolwiek talentów showmana. Opowiadając długie, nieśmieszne dowcipy, bębniąc na pianinie i tańcząc niezdarnie, zorientował się, że nie udało mu się zainteresować widowni, popadł więc w tonację pokorno-żałosną i zaczął przedstawiać tasiemcową historię swych życiowych porażek, opowiadać z przepraszającym uśmiechem o kolejnych scenicznych klapach, ubolewać z głupkowatym wyrazem twarzy nad swoją otyłością, brakiem czasu na próby, alkoholizmem itd. Widownia buczała i miotała obelgi pod jego adresem.

– Ale jest jedna piosenka, którą potrafię chyba zaśpiewać – mówił śliwkowooki Ejsi. – Piosenka, którą mam chyba prawo zaśpiewać. Rozsławiła ją pewna urocza dama, która zmarła na długo przedtem, nim którekolwiek z was się urodziło. Tytuł brzmi: *Nobody Knows You* i jest to blues, a idzie mniej więcej tak...

(– Znów próbują stosować stary trik z zakłopotaniem – wycedził Quentin. – To ma być niby programowo takie tandetne, ale nikogo to dziś nie weźmie. Czegóż takiego jak zakłopotanie już nie ma. Pewnie sami o tym wiedzą).

– *Kiedyś żyłem sobie jak milioner* – śpiewał stary, kiwając głową i spoglądając w zadumie na swój wydatny brzuch. – *Szastałem forszą, nie dbałem o jutro. Stawiałem kumplom...*

Głos miał okropny, niepewny, wyprany z jakiegokolwiek ekspresji i uczucia. Jego niemrawe popiskiwanie zdawało się wytwarzać dookoła niego próżnię.

– *...raczyłem ich gorzałką, szampanem i winem, aż zostałem bez grosza przy duszy...*

I wtedy się zaczęło. Dwóch wysokich osobników z pierwszego rzędu przeskoczyło przez kanał dla orkiestry i znalazło się na scenie. Zanim wybrzmiały ostatnie słowa piosenki, Ejsi został rzucony na kolana. Jeden z napastników schwycił go za włosy i przegiąwszy głowę do tyłu, rąbnął starego dłonią w żelaznej rękawicy w krtań. Strumień krwi trysnął z ust starego. Potem mężczyzna wbił mu palce w oczy i wwiercił but w krocze. Ejsi wierzgał nogami. W końcu młodzieniec zaczął oburącz przekreślać głowę ofiary, aż w grobowej ciszy panującej na widowni rozległ się ohydny trzask.

Publiczność skamieniała, zdjęta grozą.

– Ale Koncep... Oni nie... – wymamrotał Andy, kiedy jeden z mężczyzn wwiercił obcas w twarz Ejsiego i rozłupał ją niczym napęczniałą dynię. Prześladowcy, dysząc, obstąpili złachmanione ciało.

Dopiero kiedy Ejsi podniósł się na nogi, zdarł z twarzy ociekającą krwią maskę i stojąc pomiędzy dwoma Konceptualistami, złożył głęboki ukłon, zmartwiała widownia eksplodowała. Jedni kwiczeli, inni wydawali z siebie stłumione okrzyki, odreagowując początkowy szok, jeszcze innym wrywały się z piersi głośne westchnienia ulgi, a tylko nieliczni bili brawo.

Oszołomiona nagłym przyływem adrenaliny publiczność ruszyła z wolna, szurając nogami, ku wyjściu.

– Niezłe. Naprawdę niezłe – powtarzał Marvell.

– Aha – przytaknął Skip.

– Cieszę się, że wam się podobało – powiedział Quentin.

– Szkoda, że to tylko dla picu – zauważyła Roxeanne.

– Jak oni to robią? – zapytała Celia.

– To całkiem proste – odparła Diana.

– Myślałem, że zwymiotuję, naprawdę. Ale potem jakoś całkiem mi przeszło – rzekł Giles.

– Podobało ci się, Lucy? – zapytał Keith.

– Nie słyszę, co mówisz – odpowiedziała Lucy.

– Chryste, i to miałyby być „Gesty”! Coś takiego! Przez chwilę naprawdę się zaniepokoiłem – myślałem, że to prawdziwi Konceptualiści! – rzekł Andy.

26. Ponury bambus

– Świnia – szlochał ponury bambus. – Wy wszyscy świnie.

Towarzystwo z Appleseed rozsiadło się dookoła przykrytego workowym płótnem stołu w trzewiach jednej z sal kompleksu barów, przybytku alkoholowych rozkoszy, położonego na północ od Euston Station. Na stole stało sześć butelek podrabianej whisky (– A teraz zakosztujemy trochę nędzarskiego życia – zarządził Quentin, pokaszując w swoją wyperfumowaną chusteczkę). Niezdolni do pracy Irlandczycy, ponure śródziemnomorskie typki, małomówni czarni, dychawiczne prostytutki i wymiotujący imigranci siedzieli rzędami na ławach, a młodzi niesympatyczni kelnerzy w kombinezonach ze spieralnego dżinsu serwowali im bez uśmiechu większe i mniejsze butelki taniej whisky.

Ponury bambus oparł się karkiem o niską ściankę z nieotynkowanych cegieł.

– Świnie – wydyszał.

Roxeanne przysunęła się do niego i ujęła go za zwiniętą w pięść dłoń.

– Dlaczego, bracie? Powiedz mi dlaczego. Powiedz, dlaczego jesteśmy świnie?

– Daj spokój, Rox – zawołał Andy przez stół. – On jest padnięty. Pijany i spierdolony na amen. Nie ma sensu do nich mówić, kiedy są... Co ty tam wiesz, ty durny bambusie.

Roxeanne nie dała się łatwo zniechęcić. Skip nachylił się do Andy’ego i zaczął mu coś monotonicznie klarować na ucho.

– Roxeanne ma zawsze propozycję dla koksów.

– Jaką propozycję?

– Dymanko.

– Z nim? Z tym typem? Przecież on ma ze trzydzieści pięć lat.

– To bez znaczenia – rzekł Skip.

– Świnie.

– Słuchaj, ty, bambusie! – zawołał Andy. – Lepiej stąd spierdalaj, okej? Jesteś zajebany na amen i nie masz nic do gadania.

– My nie jesteśmy tacy – tłumaczyła ponuremu bambusowi Roxeanne.

– On nie mówi poważnie. – Ujęła jego dłoń i przyłożyła ją do swojej twardej piersi.

– Owszem, mówiłem poważnie – rzekł Andy. – Spierdalaj, bambusie, i to już!

– Bambusie? – zapytał Marvell. – Jezu, ten facet gada bardziej po amerykańsku niż ja. Już od wieków nie słyszałem tego „bambusa”. Powiedz to w Nowym Jorku, Andy, a rozniosą ci łeb na butach.

– Wisi mi to. Nigdy nie powiedziałbym tego w Nowym Jorku. Szanuję i podziwiam czarnych z Ameryki. Oni walczą. Ale tutaj to są według mnie po prostu bambusy i już.

Siedzący nieopodal czarni podnieśli głowy, jakby zamierzali wdać się z Andym w spór w tej kwestii. Andy gapił się na nich z radosnym uśmiechem.

– Wiecie co? – rzekł w rozmarzeniu Giles, nie zwracając się do nikogo konkretnego. – Myślałem, że nie będę się dziś dobrze bawił, ale jednak się bawiłem, naprawdę. Ani razu nie pomyślałem o moich... – (Villiers wyciągnął rękę, żeby napełnić szklaneczkę Gilesa).

Whitehead usiadł blisko Lucy, boleśnie, niedopuszczalnie, wręcz bezprawnie blisko. Zauważył, odbierając to jako swoistą impertynencję ze swej strony, że jej piersi pod białą, męską koszulą mają podłużny, lekko walcowaty kształt – w niczym nie przypominały zgrabnych, zwartych pączków biustu Diany ani rozbuchanej furii piersi Roxeanne. Ale były

ładniejsze niż biust Celi i jakby bardziej poruszające. Spostrzegł też, że twarz Lucy jest nieco bladawa mimo brokatu i całego kosmetycznego tynku, usta zaś lekko pomarszczone, ale nie tak, by robiło to nieprzyjemne wrażenie. Mały Keith poczuł coś w rodzaju sztucznej zażyłości z tą dziewczyną. Gdyby tylko nie czuła do niego wyraźnej antypatii, reszta byłaby nieważna.

– Byłaś tu już kiedyś, Lucy?

(Czy dziś ktokolwiek zawraca sobie takimi rzeczami głowę? Whitehead ściągnął i naprężył pośladki, podwyższając się w ten sposób o parę cali).

– Nie. A ty? Przepraszam, jak ci na imię?

(Jej twarz pozbawiona była wyrazu – ale Keithowi trudno było wymagać, aby okazała mu prawdziwe zainteresowanie).

– Keith.

– Keith? Więc to o tobie...? Och, Andy!

(Uśmiechnęła się do niego! Do Whiteheada! Bez najmniejszego cienia kpiny na twarzy).

– Nie, Lucy, to nie o mnie... To bardzo interesujące, że każdy ma inny pogląd na sprawę. Myślę, że Roxeanne ma najlepsze podejście do tego faceta. Chociaż można też zrozumieć Andy'ego. Nie uważasz?

Lucy nachyliła się do niego i powiedziała niedbale, z londyńskim akcentem:

– Gdybym była takim asfaltem jak ten tutaj, to wolałabym znosić gadkę Andy'ego niż żeby mi ta dziwka włąziła w tyłek.

(Jej głos brzęczał mu w uchu. Fiut Keitha drgnął lekko).

Współczujący, polegający na empirii Keith, podążając za wzrokiem Lucy, spojrzął na drugą stronę stołu. Ponury bambus siedział z rękami przyciśniętymi do boków i patrzył, jak Roxeanne masuje mu podbrzusze swoją silną dłonią. Quentin i Celia wymienili pełne niesmaku spojrzenia, a Andy prychnął z niedowierzaniem. Ale Marvell i Skip uśmiechali się, a na ich twarzach malowało się przyjemne oczekiwanie. Podobnie jak na twarzy Diany.

– Zostaw mnie w spokoju, świniu... Zabierz... Nie...

Ale Roxeanne, mruczając coś, napierała na niego swoim potężnym biustem i przyciskała go do ściany. Lewa ręka dołączyła do prawej spoczywającej na kroczu ponurego bambusa i palce zamknęły się na czymś niewidocznym.

– Och, nie – rzekła Lucy. – Nie rób mu tego.

Ale teraz oczy wszystkich wlepione były w Roxeanne i wywołująca ciarki cisza zawisała ponad stołem, tworząc jakby klosz odcinający ich od reszty obecnych. Roxeanne zagryzła leciutko wargę i zaczęła odpinać cienki brązowy pasek, a potem schwyciła zakrzywionym palcem wskazującym i kciukiem skuwkę zamka. Odchyliła ją i pociągnęła w dół; srebrzyste ząbki rozdzieliły się gładko i odsłoniły rozszerzający się trójkąt szarawego jedwabiu. Ponury bambus westchnął żałośnie i zakłopotany chwycił Roxeanne za przegub. Najwyraźniej nie zwracała na to uwagi. Koniuszki palców prawej ręki zagłębiły się w jego wilgotnym kroczu, lewa zaś wsunęła się pod luźną gumkę poniżej pępka. Kiedy jasnobrązowy napletek wynurzył się z przezroczystych gatek, Roxeanne zwilżyła wargi. Potem długo kontemplowała zwiotczały organ ponurego bambusa, nie mniej oszołomiona i zafascynowana niż reszta towarzystwa przy stole. Potem penis, jak przeskakujący sekundnik, drgnął raptownie i ponury bambus, pochyliwszy się do przodu, zaniósł się bolesnym, rżącym, jakby gruźliczym płaczem.

Roxeanne wstała. Uśmiechnęła się. I zostawili go tak, z łokciami na stole, z twarzą ukrytą w spoconych dłoniach.

27. Starzy gliniarze

W wybetonowanej alei Marvell powiódł wzrokiem po tworzących półkrąg twarzach.

– Co teraz, Quent?

O kilkanaście kroków od nich przyhamował w wąskiej uliczce M.G.E z nisko zawieszonym przodem. Z przodu siedzieli dwaj smagli osobnicy, z tyłu jeszcze jeden; ten trzeci nie wyglądał zbyt reprezentacyjnie i zdawał sobie z tego sprawę. Po kilku sekundach samochód ruszył z impetem i zniknął.

– Hej, Quentin. Co dalej?

Po raz pierwszy, odkąd Celia знаła swego męża, wydało jej się, że spokój Quentina nie jest dziś aż tak niezmacony. Villiers skubał nos urękawiczoną dłonią i mrugał niepewnie.

– Kochanie? – zapytała niespokojnie.

– Chcę po prostu... znaleźć samochody – mruknął.

– A co z tym... jak się to nazywa... z tym całym Gerry Show, o którym wspomniałeś? – zapytał Marvell.

– Gdzie te wszystkie cudaki i stare pierdziele rozbierają się, pieprzą i tak dalej?

– Prawdę mówiąc... Jakoś...

– Albo ta Fleciarnia... Albo klub Heteryków, gdzie nie pozwalają dymać pedałom. Albo...

– Wiesz, Marvell, nie sędzę...

– Kochanie?

– Chwileczkę. – Quentin założył ręce na piersiach i utkwiał wzrok w swoich skrzyżowanych przegubach. Kiedy go podniósł, na jego twarzy malowała się zwykła wyniosła pewność siebie. – Roxeanne – powiedział – dlaczego to, na miły Bóg, zrobiłaś?

– Co mianowicie? Ejże, o co ci chodzi? – obruszyła się Roxeanne. – A w ogóle, co się z wami dzieje, ludzie?

– O Jezu – jęknęła Lucy.

– Zrozum, Roxeanne: to nie zarzut. Ja tylko pytam, po prostu z ciekawości. Jaki w tym miałaś...

– Pokazać mu, jakie potrafią być świnię.

– Przepraszam, ale...

– Roxeanne – zaczęła Celia – naprawdę nie powinnaś...

– Czego nie powinnam?

– Mówiłem jej przecież, żeby przestała, nie? – rzekł Andy. – Dałem temu bambusowi sześć okrągłych funciaków.

– Podobało ci się to tak samo jak mnie – powiedziała Diana, co zresztą było najświętszą prawdą.

– I o co, kurwa, tyle hałasu? – zapytał Marvell.

– Dzieci, dzieci, dzieci, w ten sposób nie dojdziemy do niczego. – Quentin zerknął na swój błyszczący zegarek. – Jest już po drugiej. Nie ma sensu nigdzie chodzić. Konflikt kulturowych norm, co? Dlaczego by na przykład nie...

Głos Gilesa wydobył się ze ściśniętego gardła, jakby funkcjonował w innym niż u pozostałych rejestrze.

– Mam atak ulicznej melancholii! – zawołał i zastygł z otwartymi ustami, pochylony, zasłaniając rękami uszy.

Lucy ujęła go za ramiona.

– Uliczna melancholia – szepnął Quentin do Marvella, który patrzył na Gilesa ze zmarszczonymi brwiami.

– Mam atak ulicznej melancholii!

– Pierdol się, Giles – rzekł Andy. – Czasami zachowujesz się jak jakaś pieprzona baba.

– Zróbcie coś z tą przygnębiającą szarzyzną! – rzekł Giles. – No zróbcie z tym coś!

– Daj mu coś. Szybko – powiedziała Lucy.

– Masz – rzekł Marvell. – Spróbuj tego.

Kiedy weszli na podziemny parking, zobaczyli dwóch starych gliniarzy, którzy stali przy chevrolecie, opierając się na ciężkiej masce.

– Gliny – powiedział Skip, zatrzymując się raptownie.

– Spokojnie – rzekł Quentin, wysuwając się na czoło.

Kiedy podchodzili tyralierą do swoich samochodów, policjanci popatrywali na nich przyjaźnie. W jaskrawym świetle ogromnej parkingowej krypty było wyraźnie widać ich pomarszczone i pożłobione twarze.

– Dobry wieczór panom – powiedział śpiewnie Quentin.

– Dobry wieczór panom, dobry wieczór paniom – rzekł sierżant. – Czy to pański samochód, sir, jeśli wolno zapytać?

– Oczywiście, że wolno. Nie, to samochód moich przyjaciół. Ten jest mój. – Quentin wskazał ruchem głowy na jaguara.

– Z którego rocznika jest ten chevrolet? Z siedemdziesiątego dziewiątego?

– Z siedemdziesiątego ósmego – powiedział Skip.

– Jak go, panowie, przetransportowaliście?

– Transportem lotniczym.

– Musiało sporo kosztować.

– Owszem, kosztowało.

– Bardzo ładnie. Bardzo ładnie. – Jeden z policjantów wyjął woreczek z tytoniem z kieszeni na piersi i zaczął kręcić papierosa. – Bardzo ładnie. Dobrze się państwo bawili?

– Doskonale, dziękujemy, panie posterunkowy – odparł Quentin na odczepnego.

Starzy policjanci wymienili porozumiewawcze spojrzenia, kiedy Villiers otworzył jaguara, a Celia, Diana, Lucy – i Whitehead – zaroili się wokół jego czworga drzwi.

– To ten też jest wasz! No, no. – Sierżant postawił but na zderzaku chevroleta, poprawił kask i z konspiracyjnym wyrazem twarzy oparł się łokciem na masce.

– Gdzie się wybieracie, kochani? – zapytał Roxeanne i dwóch jej towarzyszy. W tonie jego głosu nie wyczuwało się wrogości ani zawodowej ciekawości gliniarza, przeciwnie, wydawało się, że policjant za chwilę zaśnie.

W chwili, kiedy Quentin zamykał za sobą drzwi jaguara, uświadomił sobie swój błąd. Andy wyglądał markotnie, Giles robił wrażenie kompletnie wykończonego, ale Marvell, Skip i Roxeanne spoglądali na siebie szczerze zaniepokojeni. Gnuśne, przymilne trajkotanie starego gliniarza było, jak sobie uprzytomnił Quentin, identyczne jak gardłowa, zaprawiona sarkazmem gadka ich amerykańskich odpowiedników. Poza tym wszyscy w samochodzie mieli przy sobie narkotyki.

Quentin opuścił szybę.

– Panowie – powiedział swoim najbardziej wyniosłym, prawdziwie książęcym tonem – doskonale zdaję sobie sprawę z tego, że nie macie nic lepszego do roboty, niż łązić i poprawiać swój publiczny wizerunek, ale jeśli nie macie nic przeciwko temu, wolelibyśmy pojechać spokojnie do domu.

Gliniarze znów spojrzeli na siebie porozumiewawczo. Sierżant podszedł leniwym krokiem w stronę jaguara i zaczął pukać pałką w dekiel koła.

– Wiesz pan, ile musiałbym pracować, żeby kupić sobie taką brykę jak ta?

– Nie. Ani nie chcę wiedzieć. Wyobrażam sobie, że pewnie bardzo długo. Sierżancie, nie sądzę, żeby to był...

– Czasami na wasz widok, młodziaki, chce mi się rzygać – powiedział gliniarz urażonym i gniewnym głosem, jak gdyby mierziło go to, że nie może być o nich wyższego mniemania. – Dosłownie chce mi się rzygać. – Wykonał półobrót i potrząsnął Gilesowi pałką przed nosem. – Jak długo jeszcze...

Giles uchylił się wystraszony; cały spływał potem. Sierżant chwycił go za ramię.

– Patrz na mnie, jak do ciebie mówię, ty sukinsynu! Nie jesteś jeszcze w domu. Myślisz pewnie, że nie możemy cię dosięgnąć? Że nie możemy załatwić takiej szumowiny jak ty? – Podstawił Gilesowi pałkę tak, jakby to był mikrofon. – Owszem, możemy, ale ty po prostu... – Giles beknął głośno prosto w twarz sierżantowi. – Jak Boga kocham, zaraz postawię

cię pod tym murem i wybiję ci twoje cholerne zę...

Zanim struga wymiocin dosięgła piersi policjanta, Quentin wyskoczył z samochodu – powstrzymał uniesioną do ciosu prawą rękę gliniarza, pchnął osuwającego się Gilesa w ramiona Skipa i Marvella, wcisnął dwudziestofuntowy banknot do kieszeni sierżanta, wytarł jego mundurową kurtkę jedwabną chusteczką – i było po wszystkim: nieuchwytny moment otworzył się i zamknął niczym jakiś wentyl w innym wymiarze czasu.

Samochody przemknęły z rykiem po pochyłym zjeździe. Gilesa ułożyli na tylnym siedzeniu chevroleta. Skip pruł pełnym gazem przez opustoszałe ulice. W jaguarze skórzane siedzenia błyskały nerwowo w srebrzystych światłach lamp ulicznych. Na jakąś milę przed Appleseed Lucy zasnęła i głowa opadła jej bezwładnie na wyczekujące ramię Keitha. Kiedy wyskoczyło na nich z mroku probostwo, pod jego powiekami wezbrały łzy.

28. Przyciągnął ją do siebie...

Tej nocy nastąpiła – jak sądzimy nieunikniona – seria wyjść i wejść do różnych pokoi.

Kiedy tylko oddech Diany stał się miarowy i wyczerpał się jej zwykły repertuar drobnych, mimowolnych wzdrygnięć, rozbudzony Andy wypowiedział głośno jej imię i nie usłyszawszy odpowiedzi, wyśliznął się z łóżka, owinał biodra ręcznikiem i zszedł cichaczem po schodach.

– Czego chcesz? – zapytała Lucy.

Kłęcząc u wezgłowia sofy w saloniku, Andy pochylił głowę i pocałował ją z premedytacją w usta, które pozostały obojętne.

– Czego chcesz?

Wodząc delikatnie koniuszkami palców lewej ręki po delikatnej rzeźbie jej ucha, Andy wymacał prawą znajome wiązanie jej nocnej koszuli; wystarczyło pociągnąć za koniec tasiemki, żeby obnażyć ją do pasa.

– Czego chcesz?

Przywierając wilgotnymi ustami do jej piersi, Andy wsunął chłodne palce pod koce i zaczął pewnie myszkować w gorących fałdach pościeli.

– Ej, przestań! Wynoś się. Czego chcesz?

– Nudzisz – rzekł Andy. – Przestań gadać. Jak możesz gadać w takiej chwili?

– W jakiej chwili?

– O Jezu, w chwili, kiedy pieprzenie staje się krępujące, bo zaczyna się o nim mówić.

– Ale o co chodzi?

Andy rozluźnił ręcznik, który zsunął się na podłogę.

– O mały skok w bok – powiedział z prostotą.

– Wielka mi rzecz? I po co to robisz? Żeby mnie stąd wypłoszyć?

– Nudzisz – rzekł.

– No więc powiedz mi... Przestań... Czego chcesz?

Andy nie ustępował.

W przedsionku kuchni Keith Whitehead dosłownie się gotował, leżąc na swoim materacu. Co kilka sekund bekał przeraźliwie. Nękał go najgorszy rodzaj beknięć – jakby gdzieś głęboko w gardle eksplodowały mu jaja na twardo. „Oralne pierdnięcia”, tak to kiedyś sam określił.

Nogi Whiteheada wciąż pulsowały, jakby zupełnie niezależne od niego, jak – Chryste! – dwie obzarte anakondy. Poruszał nimi tak, jakby należały do innego ciała. W brzuchu burczało mu okropnie; co jakiś czas okładał go pięściami, wrzeszczał też na niego oczywiście w bezsilnej złości, tak jak krzyczy się na budziki, szumiące radia, trzaskające okiennice, bachora ryczącego gdzieś w oddali. Jego wystraszony penis skurczył się tak, że był prawie niewidoczny. Samo pomieszczenie było

mającym sto osiemdziesiąt stóp sześciennych pojemnikiem jadowitych i niewiarygodnych woni.

Wrzeszczał więc bez przerwy, myśląc jednocześnie o swoich ostatnich próbach schudnięcia przed weekendem z Lucy. Program Whiteheada: dwanaście uncji wody dziennie, dwugodzinny wieczorny jogging dookoła ogrodu, radykalne, działające z siłą wodospadu środki przeczyszczające, dwa tysiące skłonów co rano, ścisły post. Organizm reagował niestrawnością (co mianowicie, zadawał sobie pytanie, mogło być niestrawne, skoro nie jadł?), burczeniem w brzuchu, cuchnącym oddechem, stuprocentowym zatwardzeniem, nieznacznym przyrostem wagi i „oralnymi pierdnięciami”.

– Wielkie dzięki – powiedział na głos.

Jakie zatem były seksualne plany Whiteheada? Przedstawiały się one następująco: mordercza sesja w łazience na piętrze – prysznic trzeciego stopnia, metodyczne szorowanie, płukanie ust i gardła... płynem do instalacji sanitarnych. Potem Lucy. Klęcząc na łóżku i spoglądając przez okienko swojej klitki, ustalił, że światło w łazience zgasło. W domu panował spokój. Ociężały od pęczniejących w nim nieuczciwych zamiarów mały Keith wstał i ściągnął szlafrok z haka.

Whitehead postanowił właśnie, że ostatecznie nie zapuka do saloniku, kiedy drzwi otworzyły się z impetem i oczom Keitha ukazał się w całym majestacie półnagi Adorno. Zaskoczony i rozbawiony zarazem, cofnął się o krok.

– Co ty tu, kurwa, robisz?

– Ja... ja tylko...

Andy przykucnął.

– No dobra, szkoda dla niej wysiłku, więc nie napinaj się za bardzo, chłopcze, dobra? – powiedział, po czym wstał i szybkim krokiem pomaszerował na górę.

Tego było jak dla Keitha za wiele. Już miał chyłkiem przemknąć

z powrotem do swojej klitki, kiedy w saloniku zapaliło się światło i rozległ się głos Lucy:

– Kto tam?

– To ja, Keith – odpowiedział słabym głosem. – Przepraszam, że cię niepokoję, Lucy – idę do łazienki.

– W porządku.

Światło nie zgasło. Whitehead zajrzał odruchowo do środka. Zamiast zobaczyć, jak tego oczekiwał, bujne, rozłożone leniwie ciało, ujrzał Lucy siedzącą skromnie na sofie. Miała potargane włosy, ubranie w nieładzie, ocierała policzki papierową chusteczką.

– Coś się stało, Lucy?

– To tylko Andy. – Wytarła nos. – On zawsze doprowadza mnie do płaczu.

Andy zakręcił na schodach i zatrzymał się raptownie. Na półpiętrze siedziała Roxeanne; była w cienkim białym podkoszulku i rozczesywała ufarbowane henną włosy.

Andy pstryknął palcami, wycelował jednym z nich w Roxeanne i odwrócił się na pięcie.

– W porządku – powiedział, ruszając po schodach z powrotem na dół. – Będziemy się pieprzyć.

Czy Andy, krocąc tak zdecydowanie w stronę drzwi prowadzących z kuchni do ogrodu, raczył w ogóle zainteresować się tym, czy Roxeanne podąża za nim? Absolutnie nie. Ale kiedy odsunął zasuwkę, a ona znalazła się tuż za jego plecami, schwycił ją za włosy, przyciągnął do siebie i spojrział jej prosto w twarz.

– Wypierdolę cię tak, że ci urwie łeb.

Nie zauważyli nawet prześwitu nad horyzontem, łagodnej wilgotności powietrza, niebieskawego zabarwienia trawy na łące sąsiadującej z ogrodem, nisko zawieszono księżyc.

– Wypierdolę cię – ciągnął Andy, zmierzając w stronę furtki – i wierz

mi, mała, mówię o prawdziwym rżnięciu, takim, że cię rozłupię na pół. Zajebię cię na śmierć, mała. Jeszcze nikt nie rżnął cię tak, jak ja cię zerznę tej nocy. Chryste, jak ja cię wypierdołę! Powiadam ci, mała, jesteś w niebezpieczeństwie, bo tak cię zaraz wyrucham, że się...

Andy zwolnił, dochodząc do zagłębienia na obrzeżu łąki, o jakieś dwieście jardów od domu. Odwrócił się i uśmiechnął lubieżnie do Roxeanne, której włosy pozostawały nieporuszone w powiewach ciepłego wiatru. Nasz wspaniały Adorno zawahał się: czy najpierw ją trochę przetrzepać, zedrzeć z niej ciuchy, czy przewrócić ją, podcinając jej nogi – ot, tak sobie, od niechcienia – ale Roxeanne odskoczyła do tyłu, podniosła obie ręce, jednym ruchem ściągnęła z siebie podkoszulek i stanęła przed nim naga.

– No, mała, żadnej liryki, nic w tym stylu. Będziemy się pieprzyć, a potem ci przyłożę.

– Przyjrzyj mi się najpierw.

Andy, dysząc, lustrował jej jędrne, nieprawdopodobne ciało.

– Och tak... Tak. To niewiarygodne, aż za dużo tego dobrego. A teraz kładź się, mała. Jeszcze jedno słowo i złamię ci rękę.

– Chcę cię najpierw zobaczyć.

– Bez pośpiechu, dziecino, bez pośpiechu – rzekł Andy kpiąco. – Poczujesz go w gardle. – Zrobił krok do przodu.

– Nie stoi ci?

Stopa Andy'ego zawisła w powietrzu, gdy dotarła doń osobliwa trafność pytania Roxeanne. Rzeczywiście mu nie stał. W trakcie jego monologu sterczał, sięgając pępka, i Andy zakładał naturalnie, że wciąż się tam pręży. Czujki jego zmysłów pomknęły w okolice krocza, skąd wróciły z przygnębiającym komunikatem: nie stoi.

No i jak ja wyglądam? – zadał sobie pytanie.

Przygotowany na długi sadomasochistyczny seans, bestialski seans bezwzględnej ponizności, hardego udawania, że brak wzrodu jest tylko jeszcze jednym sposobem samopotwierdzenia, Andy rozluźnił się.

Ale wtedy Roxeanne osunęła się na ziemię. Leżąc na plecach, wsunęła ręce pod kolana i podciągnęła nogi tak, aż kostki znalazły się po obu stronach jej szyi.

– Widzisz, jaka ruda?

Mrugając i potykając się, Andy ruszył w jej stronę.

– Och tak, kochanie. Och, Boże, byłeś naprawdę... spełniłeś obietnicę. Pod sam koniec byłam... O Boże, byłeś cudowny.

– Zamknij się – warknął Andy. Był bliski płaczu. Przewrócił się na plecy, żeby spojrzeć w blednące niebo. – Daj mi spokój. Idź sobie stąd.

– A więc to tak wygląda fantastyczne rżnięcie. Nareszcie wiem, na czym to polega.

– Zamknij się. Spadaj. Wypieprzaj z tego domu. I zabierz z sobą tych dwóch pedałów. To wszystko przez tę pigułkę, co mi ją dał Marvell.

– Na pewno.

– A może po prostu mi się nie podobasz. Nie podobasz mi się. To pewnie to.

– A co to ma wspólnego z pieprzeniem? Gdyby ci fiut zagrał, na pewno bym ci się spodobała.

– Zamknij się. Wynoś się stąd.

– Tak jest, szanowna pani. Nie zniosłabym tego po raz drugi tej nocy.

Podniosła swój podkoszulek i machając nim, odeszła naga przez łąkę.

Patrzył na nią, kiedy szła wśród falujących na wietrze traw. Pociągnął nosem.

– Dziwka – powiedział. Znów przewrócił się na plecy i zapatrzył się na blednące gwiazdy, samotny, z ciałem zanurzonym głęboko w pierwszej rosie.

29. Cisza i światło dnia

– ...i wciąż się widywaliśmy, ale wtedy wszystko się naprawdę skończyło, a przynajmniej nie sędzę, żeby dla niego było to coś więcej niż dla mnie, ale on robił wrażenie, jakby udawał, że myśli, że jeśli dalej nie będziemy robić tego, czego, jak udawaliśmy, nie powinniśmy robić, to nic się nie...

Itp., itd, pomyślał Whitehead.

Z najwyższym trudem udawało mu się trzymać małe, zaczerwienione oczka otwarte. Było wpół do szóstej rano i – tu się uśmiejecie – dawno zrezygnował z jakichkolwiek prób „dobierania się” do białowłosej dziewczyny w łóżku, nad którą się pochylał. Przy całym swoim braku doświadczenia w tych sprawach mały Keith podejrzewał, iż rozumuje słusznie, domyślając się, że dwugodzinna analiza dawnego romansu nie jest zagranieciem kobiety, której zależałoby na pójściu z nim do łóżka. W dodatku widoczna była tylko jej oparta na poduszce głowa i od ponad półtorej godziny Lucy nie odrywała wzroku od sufitu.

– ...postanowiliśmy więc, że odpuścimy na jakiś czas i nie będziemy się czaić i ukrywać tego, co i tak nie miało znaczenia. No i zgadnij, co...

– Co? – zapytał Whitehead.

– Och, Keith, przepraszam. Jestem na prochach i zawsze wtedy gadam bez opamiętania.

– Ależ wcale nie.

– Może lepiej pójdziemy już spać.

Whitehead zatrzepotał rzęsami.

– Dziękuję ci, że pozwoliłeś mi się tak zanudzać.

Whitehead pochylił się niefrasobliwie do przodu, wydymając spierzchnięte wargi.

– Dobranoc. – Odwróciła się do niego tyłem, naciągając kołdrę na głowę.

– Mógłbyś zgasić światło, jak będziesz wychodził?

– ...Oczywiście. Dobranoc, Lucy.

Zgasił światło i ruszył po ciemku w stronę drzwi. Po drodze wyrznął palcem od nogi w metalową podstawę stolika, ale i tak już wcześniej miał łzy w oczach – łzy zmęczenia, żalu, niesmaku wobec samego siebie, więc

nie w głowie mu było odnotowywać ból.

Diana czekała w kuchni ze splecionymi ciasno palcami. Orzeźwiający chłód, jaki czuła przez cały wieczór, nie zniknął i nie ustąpił sennieści. Andy nie zdradzał żadnych oznak, że chciałby się z nią kochać, a zdradzał wszelkie oznaki, że chce się kochać z inną, zdecydowała więc, że mu na to pozwoli, machnie na wszystko ręką. Odczekała dobre pół godziny, nim zeszła na dół i zaczęła nasłuchiwać pod drzwiami. Usłyszała głos Lucy, weszła do kuchni, zaparzyła kawy, zapaliła i usiadła tak, żeby widzieć drzwi od saloniku. Potem spojrzała na zegarek i uprzytomniła sobie, że przez całą noc nie pomyślała ani razu o Johnnym.

Mniej więcej w tym czasie pojawił się na korytarzu Keith, a od strony drzwi kuchennych nadeszła Roxeanne. Whitehead ocierał piekące oczy i próbował się uśmiechnąć. Roxeanne założyła ręce na piersiach i odwróciła wzrok. Diana odłożyła papierosa i powiedziała:

– No proszę. Ale z nas nocne marki. Co tam robiłeś, Keith?

– Po prostu gadaliśmy sobie z Lucy.

– Och, chcesz powiedzieć, że jej nie wydymałeś?

– Ale skądże. Nic z tych rzeczy. Jest teraz w dołku, więc pomyślałem, że... pogadam z nią trochę.

– Naprawdę?

– Po prostu próbowałem ją trochę podnieść na duchu, to wszystko.

– A ty, Roxeanne? Miło spędziłaś czas?

– Nienadzwyczajnie. – Roxeanne wzruszyła ramionami. – Nie rób takiej miny, jakbyś miała gówno pod nosem.

– Nie widziałaś przypadkiem Andy'ego?

– Owszem, widziałam.

Diana starała się jak mogła, ale smutek i tak wkradł się do jej głosu.

– No i co?

– He, he... – Roxeanne opuściła ręce i zagłębiła się w fotelu. – Nie stanął mu.

Śmiali się jeszcze, kiedy w progu pojawił się Andy.

Rozejrzał się po kuchni nieśmiało.

– Co się dzieje? – zapytał.

– Nie sta... Nie stanął mu! – zawołała, zachłystując się, Diana. Wycelowała w niego palcem i zaczęła kiwać się do przodu i do tyłu. – Nie stanął!

Andy poczerwieniał, spochmurniał, przeszedł przez kuchnię i z całej siły palnął skręcającego się ze śmiechu Keitha w ucho, po czym dumnym krokiem wyszedł z kuchni.

Stopniowo wszyscy rozeszli się do swoich pokoi.

Siódma. Cisza i światło dnia spowijają probostwo Appleseed.

Marvell i Skip pochrzążają i popierdują z ukontentowaniem, kiedy Roxeanne wślizguje się między nich.

Diana kładzie się obok Andy'ego, skulonego niczym embrion i milczącego.

Whitehead, z szumem w uchu, rzuca plik lśniących magazynów z gołymi dziewczynami na swą zapadniętą w środku pryczę.

Quentin pali, wydmuchując dym w stronę sufitu, śpiąca Celia przywiera do jego boku.

A po drugiej stronie korytarza stłumiony dźwięk brzęczyka budzi Gilesa.

CZEŚĆ DRUGA
SOBOTA

XXX Giles

Giles obudził się z gniewnym warknięciem. Brzęczyk Poranna Zorza umilkł, radio szumiało, aparat szykował się z cichym zgrzytem do przyrządzenia drinka Baby Bullshot – którego zresztą Giles nigdy nie wypijał.

W przestrzeni poza łóżkiem najwyraźniej nie dało się ostatnio funkcjonować. Natarła na niego z flanki, kiedy dotknął stopami podłogi, przechyliła się, kiedy ruszył w stronę lodówki, jak gdyby cały dom stał na osypisku. Giles zatoczył się na drzwi lodówki. Zwykle był przekonany, że zwymiotuje, zanim zdąży wypić pół litra wódki z sokiem pomidorowym, ale tego ranka, tego pięknego sobotniego ranka jego żołądek był pusty. Dlaczego? Piątkowy wieczór zafalował mu wokół głowy jak ułożone w wachlarz stare, pozwijane zdjęcia.

Zacisnął obie dłonie na wilgotnej szklance i podniósł ją nieśpiesznie do ust. Wypił zawartość duszkiem, beknął przeraźliwie i nachylił się, żeby ponownie napełnić szklankę.

– Gul gul – powiedział. – Gul gul gul.

Giles nabrał ostatnio zwyczaju spania w ubraniu, czyli, jak sam to w duchu nazywał, „w pogotowiu”. Jedyne zatem, co musiał zrobić w ciągu pół godziny, zanim przyjechał po niego samochód, to zejść poniżej dopuszczalnej linii trzeźwości.

– Luigi, Luigi – bełkotał, gdy tymczasem alkohol obmywał jego zbrukany mózg.

(Luigi był szoferem Gilesa. Po trzech miesiącach kompletnej beczynności i siedzenia w swym komunalnym mieszkaniu w Gladmoor

Luigi pojechał daimlerem z powrotem do Londynu i tam rozwinął interes: wynajmował mały samochód, pokrywając wszelkie wydatki z czeków przysyłanych regularnie co miesiąc przez Gilesa. Imię szofera pojawiało się na ustach Gilesa zawsze, gdy musiał się gdzieś dostać, choć nie miał już pojęcia, do czego właściwie służy Luigi).

Ruszył w stronę okna. Spojrzał zażawionymi oczami na połyskujący w świetle poranka trawnik. Pociągnął łyceczek. Kręcąc z powątpiewaniem głową, pomyślał, że trzeba by umyć zęby. Znowu łyceczek. Czknął; jego twarz pozostawała nieruchoma. Znów pociągnął łyceczek.

– Stara matko – rzekł. – Stara matko, po co chcesz się ze mną widzieć?

Usiadł przy biurku i pogładził palcami śliskie czerwone szkło.

– Jeszcze za wcześnie, żeby płakać – mruknął. – Jeszcze za wcześnie.

Sięgnął po buty ustawione równo na podłodze. W lewej skarpetce, zauważył, była dziura; wyłaził z niej drżący biały paluch. Giles pochylił się i delikatnie naciągnął na niego wystrzępiony materiał.

– Mały Giles – powiedział. – Mały Giles.

Jama ustna matki Gilesa zawierała, licząc od lewej do prawej, spiczasty górny ząb mądrości, który próchnica niszczyła w tempie milimetra rocznie, pogłębiając czarny zębodół, dwa długie, klinowate górne siekacze, które zachodziły na siebie jak dwa ściśle splecione palce, zanikające paciorki spróchniałych trzonowców, dolne siekacze, żółte jak słońce odbite w mętnej szybie, przedtrzonowca, przypominającego koniuszek spalonej zapalki, oraz samotny krzywy kieł, który sterczał spomiędzy warg nawet wtedy, kiedy miała zamknięte usta. Maria Coldstream utrzymywała, że jej zęby uległy całkowitemu zniszczeniu w okresie, kiedy nosiła w łonie nieco przedwcześnie urodzonego Gilesa. Wcześniej, twierdziła, były zdrowe i mocne.

Tak czy inaczej, mały Giles czuł się okropnie, ilekroć znalazł się w pobliżu tych zębów – jaskrawych i wielobarwnych wśród intensywnych kolorów oranżerii, monochromatycznych pieńków w półmroku ponurego

hallu, wilgotnych widm, kiedy siadała przy łóżku. Owe złomki atakowały go nieustannie, czaiły się za każdą pretensją, błaganiem czy pocałunkiem. W nocy ich zgrzytanie docierało do niego długim korytarzem i wciskało się do jego świadomości niczym przeczuwany zły sen.

Pani Coldstream nie miała pojęcia, że straszy w ten sposób swojego syna-jedynaka, i byłaby niepokieszona, gdyby sobie to uświadomiła. Nawet wtedy, gdy jej zachowanie stało się w świetle ogólnie przyjętych norm absolutnie szokujące, Maria nie dopuszczała do siebie myśli, że którykolwiek z przejawów troski, jaką mu okazywała, może nie budzić jego wdzięczności. A działo się tak dlatego, że jej przednie płaty mózgowe przestawały pracować, kiedy na przykład wchodziła do kabiny, w której Giles brał prysznic po czwartkowych meczach krykieta rozgrywanych na błoniach, kiedy proponowała mu, że go rozbierze przed niedzielną popołudniową drzemką, kiedy żarłocznie całowała go w usta na dobranoc.

Trzykrotnie zdarzyło się tak, że Giles obudził się – pod wpływem słońca, rżenia rur od kaloryfera – i przeciągając się w szerokim małżeńskim łóżu z baldachimem, stwierdzał, patrząc spod półprzymkniętych powiek, że matka leży obok, przytulona do niego mocno. W dwóch pierwszych przypadkach pani Coldstream wykazała dużą przytomność umysłu i zdążyła wyśliznąć się niepostrzeżenie z pokoju. Za trzecim razem, tego ranka, kiedy ją zabrali, Giles leżał półtorej godziny skamieniały, patrząc w osłupieniu na usta matki, półotwarte nad poduszką napęczniałą od krwi.

Kilka uwag o życiu seksualnym Gilesa.

Należy zacząć od tego, że wiejskie dziewczuchy bardzo go lubiły. Zbierały się w sklepie ze słodyczami, a Giles, nieśmiały szafarz gumy do żucia i cukierków-mordoklejek, rumienił się pod dobrotliwym i zachęcającym spojrzeniem syna ogrodnika. Podczas wiejskiego jarmarku, kiedy przychodziło do siadania parami w samochodzikach albo na karuzeli, dziewczęta po kolei zajmowały miejsce obok Gilesa. Podczas odpustów,

kiermaszy i innych uroczystości, oferujących rozrywkę i rozmaite dobra za pieniądze, Giles był zawsze tym, który fundował. Musiał całować dziewczyny po meczach krykieta. Cieszył się wielkim powodzeniem na potańcówkach organizowanych w przykościelnym klubie dla młodzieży. Podczas półdniowych wypadów w plener, na wzgórze, grał przez całe popołudnie Nerwusa.

Nazywali go „mały lord Fauntleroy”. Sprawiało mu to przyjemność i zawsze starał się wyglądać elegancko; pilnował, żeby pani Baden prasowała jego sztruksowe spodnie, dreptał na paluszkach po podjeździe, wygładzając szary, szkolny mundurek, rozglądał się bystro po domu, wiktoriańskim i ponurym o wczesnym zmierzchu. Stadko złośliwych, rozczochranych dziewczek oczekiwało go przy bramie; prowadziły go długą ścieżką nad jeziorem, wciągały z chichotem do zagajnika na zboczu wzgórza i tam łaskotały, szczypały i lżyły pełnymi czułości wyzwiskami. Potem, niczym duchy, znikają po kolei, pozostawiając jedną. Ta ostatnia, krzyżując ręce, ściągała przez głowę naelektryzowany różowy sweterek, po czym odsuwała zamek spódnicy, zazwyczaj granatowej i bardzo pogniecionej. Giles czekał cierpliwie, dysząc cichutko z wdzięczności i niedowierzania. Jej bielizna rzadko stanowiła komplet. Giles z namaszczeniem udzielał pomocy w zdejmowaniu przybrudzonego stanika i kiedy ona ściągała majtki i pomagała się rozebrać jemu, starał się z całych sił, tak jakby wcale nie miał erekcji, myśleć o pogodzie i groźnie szumiących drzewach. Potem spięty wpełzał na nią i za jej przyzwoleniem podskakiwał przez dziesięć sekund, po czym dziewczyna szła sobie, zarumieniona i ironicznie uśmiechnięta.

On siedział jeszcze chwilę i dyszał, a potem wstawał, pędził po zboczu w dół, machając rękami jak wiatrak, sikał pod wiatr, krzyczał w mrok, próbował przeskoczyć przez furtkę, odpadał, wspinał się, wibrując jak kamerton, i gnał przez trawnik do syna ogrodnika.

Syn ogrodnika. „Co się stało?” „Pozwoliła mi to zrobić!” „Która, Giles?”

„Ellen”. „Musisz się pilnować. Dupczą ją chłopaki z Dowley”. „Ale była bardzo miła. Naprawdę”. „No i jak było?” „Och, znów mi za bardzo nie wyszło”. „No ale zawsze”. „Było całkiem miło”.

Idą nad jezioro, siadają na kłodzie, palą pety i rozmawiają do późnej nocy. Potem, drżąc, całują się i wracają do domu, trzymając się w objęciach.

W środę wieczorem, przed kinem w Dowley, syn ogrodnika wszedł do pubu po dwie paczki chrupek i przepadł. Zjawili się miejscowi chłopcy: wyblakłe dzinsy zawinięte nad kostkami, prążkowane koszule bez kołnierzyków, kolorowe szelki, krótko ostrzyżone głowy, para leci im z ust i rozplywa się w chłodnym jesiennym powietrzu. Giles odwraca się: po raz ostatni w życiu jego twarz jest jasna, szczerza i nie wyraża zakłopotania. Nagle mokry chodnik skacze w górę i uderza go w bark. Wolno, jakby nieskończenie długo, Giles zasłania twarz ramionami. Kiedy pierwszy buciór wrył mu się w usta, Giles pomyślał o matce, świadom, że dzieje się z nim coś strasznego i nieodwracalnego.

Ale zęby znów go dopadły i nie chcą zniknąć. Mówią:

– Zatrudniliśmy z powrotem panią Baden, bo była twoją ulubioną kucharką, kochanie, prawda? Wiem, że tak. A twój pokój ma być gruntownie opróżniony i przebudowany. To naprawdę niesamowite, że wytrzymałeś w nim tak długo. Musimy tylko odnaleźć tego człowieka, który kafelkował nam oranżerię, i on wyremontuje twój pokój, mam nadzieję, że potrafi. Czy oni to aby potrafią? Ci specjaliści od oranżerii? Takich małych?

Giles stał w oknie, patrząc w dół, na maleńkie, obłąkane kukielki na ulicy.

– Tak, mam – mruknął.

– Och, kochanie, wiedziałam, że będziesz zachwycony.

Pani Coldstream cierpiała na psychozę maniakalno-depresyjną. Jako

dziecku Gilesowi nawet się podobało, że jego matka jest maniaczką, ale teraz zawsze starał się trafić na chwile depresji. To akurat nie było takie złe. Czasami depresja była tak głęboka, że można było po prostu przeczekać, obserwując przygasanie światła za oknami, podczas gdy matka patrzyła nieprzytomnie w przestrzeń i płakała. Raz czy dwa Giles najzwyczajniej wymknął się z pokoju po piętnastu minutach.

Ale dziś trafił na fazę maniacką. Twarz Gilesa falowała, odbita w szybie.

– Giles, kochanie, chodź tu i przytul mnie.

Giles odwrócił się i zerknął na nią ukradkiem.

– Mamo – powiedział – jest może coś ciekawego w telewizji?

– Giles, ja nie chcę się gapić w telewizor! Chcę, żebyś mnie przytulił. Kochanie, moje kochanie, błagam cię, ja tego nie zniosę! Tylko na chwileczkę.

– O Jezus, mamo, przecież nie możesz – nie wolno ci z kimś takim jak ja... w zasadzie.

– Och, kochanie, proszę cię, proszę, błagam! Chodź tu do mnie, kochanie. Jest mi tak ciężko, tak bardzo ciężko. Przytul mnie mocno, zanim umrę... Kochanie? Tak, tak. O, tak. Jesteś kochany. Dziękuję ci, kochanie, dziękuję.

Przezroczyta skóra i poduszki śmiertelnego łoża, woń chloroformu i rozgrzanej zasyпки dla dzieci, sztywne palce uwięzione w jego włosach, usta z zepsutymi zębami spijające jego łzy.

– Bo ty nigdy nie mógłbyś mnie opuścić, Giles, prawda?

Łzy płynęły mu strumieniem po policzkach.

– ...Nie, mamo. Nigdy nie mógłbym cię opuścić.

– Kochany Giles – wyszeptwała. – Kochany Giles.

31. Przyspieszenie

Dał kierowcy o byczym karku nieokreśloną liczbę pięćofuntowych banknotów i zaczął go przeproszać – po pierwsze za to, że nie ma najmniejszego pojęcia, gdzie jest probostwo Appleseed, a po drugie, że bez przerwy mówi do niego „Luigi”. Przeliczywszy pieniądze, szofer, którego twarz rozplynęła się w niekontrolowanym uśmiechu bezgranicznego zadowolenia, ruszył z piskiem opon przed siebie.

– Ach, w zasadzie proszę zatrzymać resztę – rzucił Giles do kłębiącej się chmury kurzu.

Odwrócił się i ruszył wolno po zorany żwirze podjazdu w stronę domu, szukając niepewnie oparcia dla stóp. Pociągnął z litrowej piersiówki i spojrział mętnym wzrokiem na fasadę Appleseed. Patrzył na bielone ściany, łuszczące się parapety i rury, na zmurszałe tynki i czarne okna ze znajomym i zarazem dojmującym uczuciem ulgi. Sam dom nie budził w nim żywszych uczuć, ale Giles rozpoznawał go i był pewien, że w środku są pewne dobre rzeczy – coś do picia, przyjaciele, znajomy pokój. Największą zaletą probostwa, myślał, jest chyba to, że on, Giles, nie musi go opuszczać, dopóki znów nie zadzwoni matka. Z daleka dotarł do jego uszu szum skrzydeł. Dopadło go nagle przeczucie czegoś złego. Znów zamienił się cały w zęby. Zaczął się kiwać przed obojętnym budynkiem, a chmury nad jego głową nabierały szybkości.

I właśnie to zaczęło się dziać ze wszystkim dokoła – sprawy nabierały gwałtownego przyspieszenia. Piątek ciągnął się jeszcze niemiłosiernie. Żeglował sobie pogodnie jak flotylla poobijanych łodzi zmierzających ku roziskrzonemu klejnotami gwiazd ujściu nocy. Czy to jasne? Ale sobota jest szybka i gwałtowna, dryfuje, płynie zrywami, ustawia się bokiem, nigdy dziobem do fali, i tak naprawdę kończy się, zanim ktokolwiek zdąży się zorientować.

32. Dumne gołębie

Dwa razy dziennie, rano i tuż przed zmierzchem, stadko gołębi, które gnieździło się na dachu pobliskiego kościoła, przefruwało nad usadowioną na stoku wzgórza wsią, prując z wysiłkiem gęste, rozgrzane powietrze nad Appleseed, i szybowało nad ogrodem, by wylądować na przyjaznych gałęziach dębu rosnącego na sąsiednim polu. Tam skarżyły się przez chwilę i gruchały w zmieniającym się szybko świetle, po czym uspokojone wzbijały się znów w powietrze i zatoczywszy łuk nad przydrożnym strumieniem, wracały na swoje omszałe dachówki. Przylatywały do probostwa Appleseed z rytualnym spokojem i regularnością, jakby składały hołd należny ich dawnej siedzibie. Kiedy te dumne ptaki nadlatywały, czas zdawał się zatrzymywać, by zaczerpnąć tchu, a coraz wolniej pracujące skrzydła gołębi nieodmiennie przyciągały wzrok.

– Przysięgam, Quentin – rzekł Andy – że jeśli nie przylecą tu jakieś normalne ptaki, zacznę napięprzać te pierdolone gołębie.

– Ależ Andy, przecież to gołębie – rzekł Quentin.

– A więc też pierdolone ptaki, nie? Cóż to za różnica?

– Ale święte ptaki.

– No tak. I założę się, że czytają Biblię, ciężko harują na kawałek chleba i nigdy nie rzucają mięsem.

– Uspokój się, Andy. Tylko bez nerwów.

Bo Quentin i Andy właśnie polowali na ptaki w ogrodzie. Rozrywka ta stała się ostatnio przyczyną napięcia, zwłaszcza jeśli chodziło o Adorna. W złotym okresie pierwszych kilku tygodni ich pobytu w tym domu Andy wstawał przed szóstą, wypijał filiżankę irlandzkiej kawy i szedł do ogrodu ze strzelbą Webley na dwugodzinną myśliwską sesję; utrzymywał potem, że jednego tylko ranka wyprawia na tamten świat od dwudziestu do trzydziestu sztuk tej zarazy. Po dwóch miesiącach tych praktyk rozeszło się po okolicy, że ptaki są w Appleseed *non grata* i wkrótce mali,

upierzeni przybysze przestali budzić Adorna swoim śpiewem. Teraz Andy zaczął regularnie i z wielkim zapałem opróżniać wielkie torby karmy dla ptaków, wysypując ją każdego wieczoru na trawnik; był to pomysł idealny: czasami Andy nie musiał nawet wychodzić z pokoju, żeby ustrzelić całe tuziny skrzydlatych stworzeń. (Kiedy kobiety z Appleseed robiły mu z tego powodu wyrzuty, ripostował, zależnie od nastroju, albo że ptaki, jako istoty niekosmiczne, są spisane na straty, albo że te kruczaty pozwalają zadzierzgnąć od nowa tak cenne więzy krwi pomiędzy zwierzęciem i człowiekiem. Albo też, że musi dać nauczkę tym małym, żarłocznym skurwysynom). Oczywiście w rezultacie tych działań nawet najbardziej wygłodzony rudzik w Anglii omijał z daleka trawnik przed probostwem – pomimo śmietany, pasztetu i świeżo ekshumowanych robaków, które Andy rozkładał, aby zwabić ptaki do swego zielonego rezerwatu. Nieco później można było zobaczyć o świcie jego samotną i tajemniczą postać, jak krąży po ogrodzie ze strzelbą, zagapiony w obojętne niebo z wyrazem niemej prośby w oczach.

– Ale one gnieźdzą się w kościele i są w gruncie rzeczy własnością wsi. Lepiej zostaw te gołębie w spokoju, Andy.

– No dobra. Mnie też się zdaje, że jak bym się do nich zabrał, to te pieprzone miejscowe palanty zrobiłyby piekło. Ja tylko nie znoszę, jak przylatują tu codziennie takie cholernie nadęte. Jakby ten pieprzony trawnik należał do nich... Dobra, dam im na razie spokój, ale lepiej, żeby nie kusiły losu.

– To rozsądna decyzja, Andy. Trzeba utrzymywać dobre stosunki z kmiotkami. Kochałeś się dziś w nocy z Lucy?

– Nie, pozwoliłem sobie tylko zrobić laskę.

– Aha. I Diana była zadowolona?

– W ogóle się o tym nie dowiedziała. Znów mi się upiekło.

– A powiedz mi – ciągnął Quentin – zaliczyłeś też Roxeanne?

– Się rozumie.

– Co to znaczy „się rozumie”?

– No tego... Wszyscy widzieli, że chce się ze mną zabawić. Przez cały wieczór pożerała mnie wzrokiem. – Andy wskazał ręką na ogród. – Dymanko w plenerze.

– Och, doprawdy, Andy. Ty i te twoje dymanka. No i jak było? Znośnie?

– E tam. Nic specjalnego. Było całkiem okej. Ale nic szczególnego. Ty ją też oczywiście przeleciałeś? – zapytał Andy, lekko stropiony.

– Nie, skoro już o to pytasz, to przyznam, że nie. Widzisz, Andy, kiedy poznałem tych ludzi, utrzymywałem, nazwijmy to tak, kontakty z pewną aktorką filmową, więc Roxeanne wydawała mi się zbędnym balastem.

– Jaką aktorką?

Quentin wzruszył ramionami i odwrócił się.

– Margot Makepiece...

Andy wybałuszył swoje oczy lemura.

– O kurwa – rzekł. – Nie mów!

– Ależ tak.

– Ta, co... czy to możliwe? Tak po prostu?

– No tak.

– Chryste.

– Ale odchodzimy od tematu. Wracając do Roxeanne. Mam nadzieję, że stanąłeś na wysokości zadania.

– Byłem w niesamowitym sztosie – rzekł Andy.

– A Marvell i Skip? Próbowali się włączyć do tego pierwszorzędnego, jak podejrzewam, numeru?

– Co, te pedały? Żartujesz. Oni są na to za głupi.

– Nie lekceważ ich. Są dziwnie konsekwentni. I konsekwentnie dziwni.

– Tak?

– W pewnym sensie zaczynam żałować, że ich zaprosiłem. Jak dotąd sytuacja nie rozwija się nadzwyczajnie. Zmienili się od czasu, jak ich poznałem. I są w ogóle tacy... jacyś nie tacy, nie uważasz?

– Bo są, kurwa, Amerykanami i to wszystko. O patrz, jest jeden.

Ostatnia uwaga odnosiła się do zawieszanej gdzieś daleko,

w przestworzach plamki. Nie dokończywszy zdania, Andy podniósł strzelbę i wypalił. Patrzyli, jak maleńka bryłka metalu opada z wolna żalonym łukiem; o trzysta jardów wyżej punkcik machał wytrwale skrzydłami, zmierzając do niewiadomego celu. Seria przekleństw w stylu Leara bluznęła z ust Andy'ego.

Za radą Quentina znalazł pociechę w grzaniu przez piętnaście minut do rur kanalizacyjnych i do okien państwa Tuckle. Ale szybko go to znudziło i zniechęcony cisnął strzelbę w trawę. Zapadła przygnębiająca cisza.

– Zanosz się na upał – powiedział wreszcie Quentin, kładąc szczupłą dłoń na ramieniu Andy'ego i patrząc zmrużonymi oczami w niebo. Nad ich głowami DC 70 wznosił się z wysiłkiem, prując błękitne powietrze.

– Zabierz mnie do Ameryki – mruknął Andy.

– Chodź, chłopcze – rzekł Quentin. – Zobaczmy, co słyhać w domu.

33. Ale cóż jest idealne?

Whitehead spędził wczesne godziny poranka na ciężkiej harówce. Wyciągnął skrzynkę z narzędziami, by odnowić i częściowo przerobić parę starych butów-platform, które nosił codziennie od siedemnastego do dwudziestego pierwszego roku życia, aż do chwili, gdy buty, choć podbite azbestem i bakelitem, osiągnęły praktycznie w ciągu jednego popołudnia stan krytyczny... wypłaszając ludzi z czytelnicy, zwalając z nóg pierwszorocznych, kosząc kwiaty w skrzynkach i sprawiając, że sprzątaczkę na jego szlaku padały jak muchy. Keith nie miał innego wyjścia, jak tylko opieczętować jeszcze tego wieczoru swoje obuwie, czyli owinąwszy je starymi ręcznikami, schować na dno kuferka. Przez miesiąc, dopóki nie uzbierał niezbędnej kwoty, chodził na zajęcia w sandałach. Żeby zaś zebrać pieniądze na nowe buty, nie korzystał ze środków komunikacji, zrezygnował z ogrzewania, jedzenia i picia.

Mały Keith przybił toporne, ociosane z grubsza drewniane klocki do podeszew uratowanych butów, obłupał je dłutem i zapastował na czarno. Była to robota ciężka i wymagająca wyobraźni, najodważniejsze jak do tej pory przedsięwzięcie rekonstrukcyjne – a trzeba przy tym pamiętać, że Keith nie był szewcem...

Już w pokoju Whitehead ścisnął zębami dwupensówkę i wbił nogi w gorące otwory. Potem podniósł się – bardzo ostrożnie – z łóżka, żeby przenieść cały ciężar ciała na chybotliwe platformy. Stopniowo, powolutku, po troszku...

Ułamek sekundy później Keith zamienił się w bezkształtny toból leżący na podłodze.

– Nieźle jak na początek – zaskrzeczał.

Był bowiem człowiekiem doświadczonym w tych sprawach, więc nawet leżąc na dywaniku i skręcając się z potwornego bólu, który przeszywał jego ciało, zachował mimo wszystko umiarkowany optymizm. Miał swoją precyzyjną teorię dotyczącą aktualnego stanu własnych stóp, a w każdym razie był świadom, że dzięki nim otworzyło się całe rozległe pole semantyczne dla epitetu „surowy”. (Pijany dietetyk poradził mu kiedyś, nieoficjalnie, ale ze szczerą troską, amputować je po prostu – i to jak najszybciej). A jednak mały Keith wiedział także, co one – i on sam – mogą zdziałać i ile wytrzymać. Teraz, był tego pewien, kojący eliksir potu i krwi zacznie rozmiękczać zadry podartej tektury, smarować kratery spękanych pięt, rozpuszczać zeszywniałe zmarszczki piekącego winylu. To prawda, nie załatwiało to problemu zagiętych końców gwoździ, które już wlażyły mu na ćwierć cala w ciało, ale...

– Ale cóż w tym naszym życiu jest idealne? – zapytał na głos samego siebie, siedząc na dywaniku. – Dopóki nie chlupie mi w butach – ciągnął, sięgając po poduszkę, żeby stłumić jęki – dopóki nie chlupie, jestem człowiekiem szczęśliwym. Wtedy idąc, unoszę się w powietrzu.

Dziesięć minut później stanął na nogi; łyzy bólu spływały mu niepowstrzymanym strumieniem po policzkach. Zrobił na próbę krok do

przodu, odczekał, aż uspokoi mu się oddech, wydobył z trzewi głęboki pomruk i wymusił na swym ciele względne posłuszeństwo. Przez szczelinę w ścianie podejrzwał, że Quentin i Andy zmierzają wolnym krokiem w stronę domu. Rozebrany do pasa Andy gestykulował z gracją, wskazując na oczyszczony z ptactwa ogród. Obraz jego opalonego, brązowego ciała uwięziony w łzach Keitha falował uroczo jak oglądany przez nierówną szybę.

– Można się naprawdę przyzwyczaić do wszystkiego – mruknął do siebie Keith.

Korozja pełzła w górę jego nóg, sięgając kostek niczym przybierająca woda. Keithowi przyszło do głowy, że gdyby musiał nosić tę swoją ortopedyczną aparaturę przez, powiedzmy, tydzień, utrata ektoplazmy całkowicie zredukowałaby to, co zyskał w calach. Z pokrwawionymi pieńkami nóg zaklinowanymi w butach na sześciocalowych koturnach miał w sumie cztery stopy i jedenaście cali. Było jednak nieprawdopodobieństwem nosić coś takiego aż tak długo. Jakież to szczęście. Whitehead podziękował w duchu losowi za to drobne dobrodzieństwo.

34. Śniadanie

– Giles! Co tam robisz na górze? Wyjeżdżałeś?

Giles siedział w kuchni z Mandarynem na kolanach, a na stoliku przed nim stygła filiżanka kawy. Bez specjalnego zainteresowania spojrzął gapiącemu się nań Andy'emu w oczy.

– Odwiedziłem swoją matkę, w zasadzie.

– Ach tak? No i co z nią?

Giles sięgnął po filiżankę. Doniósł ją do podbródka i natychmiast pochylił się gwałtownie, by odstawić z powrotem sztywną, wyciągniętą

ręką. Rozejrzawszy się spod oka po kuchni, wyciągnął swoją piersiówkę.

– Z kim? Z moją matką? Och, to wariatka. Boże, jak ona teraz świruje!

– Czego chce?

– Chce, żeby oddać ją do specjalnego instytutu w Potters Bar. Tak, żebym mógł ją częściej odwiedzać.

– Do Blishnera? – zapytał Andy. – Po co jej to?

– Żebym mógł ją częściej widywać.

– No nie, ty mały sk... I co oni jej tam zrobią?

– Właściwie nie wiem. Ale ona jest teraz naprawdę szalona.

– Dostałeś trochę forsy?

Giles, choć słyszał pytanie, nie widział potrzeby na nie odpowiadać, więc Andy zbliżył się tanecznym krokiem do komódki (nad którą wisiały liczne kufle i o którą opierała się teraz Diana) i wziął jabłko z orientalnej misy. Włożył je do ust, jak to miał w zwyczaju, w całości, przeżuł energicznie i przełknął.

(Zaszokowany Giles odwrócił wzrok).

– Pewnie znów byliście w ogrodzie i strzelaliście do ptaków – powiedziała Diana chłodno.

– Ty chyba nie strzelałeś, co, kochanie? – zapytała Celia męża.

– Oczywiście, kurwa, że strzelaliśmy – rzekł Andy. – Te małe skurwysyny nie zbliżą się więcej do ogrodu.

(Quentin przeszedł przez kuchnię i delikatnie wziął Celię w ramiona).

– Wyłożyłem im – ciągnął Andy – wyłożyłem im żarcie, robaki i takie tam różne... ale to dla nich za kiepskie. Tłuszcz spod pieczeni i inne takie przysmaki. Ale myślicie, że przylecą, że chociaż zbliżą się do tego domu? Nie ma mowy, nie one.

(Diana zapaliła papierosa i zaciągnęła się z głębokim westchnieniem).

– No więc, jak można podjąć jakąś porządną akcję, jeśli te bezczelne małe zasrańce boją się zbliżyć do domu? Za to te gołębie... gołębie zlatują się tu codziennie. – Twarz Andy'ego pociemniała. – Niech się lepiej pilnują, tyle tylko powiem.

Quentin miał już powiedzieć Celi, że to nonsens, że Andy z pewnością nie zamierza spełnić swej groźby, kiedy mały Keith, z oczami pociemniałymi z bólu, przekroczył powoli próg kuchni.

– Czołem, kochani – powiedział.

Aparat artykulacyjny Keitha otrzymał od mózgu polecenie, by wypowiedzieć to głośno i z werwą. Ale słowa, które uleciały z jego ust, zabrzmiały mdlawo.

– Czołem, żołnierze – powtórzył. Żadnej poprawy.

– Patrzcie, patrzcie, to mały Keith – rzekł Andy. – Keith, na rany Chrystusa, czy ty korkujesz?

– Boże święty, Keith! – zawołał Quentin ze szczerym niepokojem. – Chodź no tu, szybko, usiądź sobie.

Keith był w pełni świadom tego, że rada jest doskonała, i bezzwłocznie zastosował się do niej; przeszedł chwiejnie parę kroków i opadł na najbliższe krzesło. Giles patrzył na niego martwym, pozbawionym wyrazu wzrokiem.

Diana patrzyła na przedstawiającego koszmarny widok karła z dezaprobatą i znużoną pogardą. Celia też nie czuła do niego sympatii, ale jej bezgraniczne współczucie dla ludzi cierpiących fizycznie kazało jej zapytać Whiteheada, czy nie napiłby się kawy. Także Andy, półpamiętając, że uderzył Keitha wieczorem – i ćwierćpamiętając, że uderzył go bardzo mocno – zauważył z troską, że Keith, który nigdy nie wyglądał zbyt dziarsko, musi teraz być w prawdziwym dołku.

Wszystko to sprawiało, że Keith miał ochotę od nowa wybuchnąć płaczem. Zwykle uważał się za wielkiego szczęściarza, jeśli udało mu się wejść do pokoju, nie wywołując otwartych drwin; całkowite zignorowanie przez obecnych równało się wejściu iście cesarskiemu. Niemniej jednak najbardziej nawet zdawkowa oznaka troski lub zaniepokojenia zawsze budziła w nim tęsknotę do statusu, którego, jak wiedział, nigdy nie osiągnie. Przybrawszy wyraz twarzy, który był właściwie jego najmniej sympatycznym uśmiechem, wyjaśnił im, że kiepsko spał i że cierpi na

atak szczególnie uporczywej migreny.

(Giles przyglądał się uważnie mówiącemu. Jeśli chodziło o niego, to nigdy nie mógł zrozumieć tego całego zamieszania wokół małego Keitha. Zęby Whiteheada wyglądały mu na całkiem zdrowe).

– No więc co? – zapytała Celia, emanując wprost konkretnie i ogólnie adresowaną troską. – Śniadanie?

– Nie nazywaj tego tak – powiedział ostro Andy. – Mów po prostu „jedzenie”. Jedzenie. No dobra – dodał już łagodniej. – Można spróbować, czemu nie?

35. Zaburzenia poczucia czasu

Chociaż kuchnia w Appleseed była przestronnym, kwadratowym pomieszczeniem gospodarczym, nisko zawieszony strop i wiecznie tu obecne jaskrawe światło słoneczne sprawiały, że kiedy zebrano się w niej więcej niż pięć osób, wydawało się, że jest przygnębiająco ciasna i zatłoczona. Także teraz powstało takie wrażenie. Do kręcących się po kuchni lokatorów Appleseed – z których wszyscy oprócz Gilesa i Whiteheada zajęli się przygotowaniem soku pomarańczowego, kawy i cieniutkich tostów – dołączył Skip (w bardzo brudnych majtkach), Marvell (w brudnych majtkach), Roxeanne (w majtkach) i Lucy, ubrana, nasmarowana kremem, z zapuchniętymi oczkami, pokasłująca w gorącym słonecznym świetle. Pomiedzy płataniną nóg przechadzał się z wyprężonym ogonem Mandaryn.

– Chryste, spójrzcie na tyłek tego kota – powiedział Andy, wpatrując się krytycznym wzrokiem malarza w różowy odbyty widoczny pod podniesionym perskim ogonem. – Nie można by czegoś z tym zrobić? Już wiem. Kupię szary flamaster i pomaluję mu dupsko... O Boże, mój ŁEB!

Nikt nie myślał ani o tym, ani o niczym innym, kiedy kuchnię wypełniły nagle wyziewy narkotycznego kaca. Kac alkoholowy blokuje percepcję, ale kac narkotyczny odziera ją ze skóry, obnażając nerwy, więc kuchnia stała się miejscem swoistej hałaśliwej biesiady dla wyostrzonych zmysłów. Pomieszczenie zdawało się zmieniać kształt. Głosy rozsypywały się i rozpływały, zamieniając się w ciche mamrotanie. Dym z papierosów utworzył na wysokości ramion półkę, nad którą unosiły się w powietrzu jasne twarze niczym jakieś obłąkańcze maski. Włączali czajniki elektryczne, chrząkali, puszczaali wodę, czkali. Amerykanie otworzyli lodówkę, zaczęli dziobać brudnymi paznokciami nieświeżą pieczeń, drapali się, bekali, pierdzieli, odbijało im się, kiedy podnosili do ust butelki z resztkami wczorajszego alkoholu... *To masło jest jak zjełczały tłuszcz z kurczaka... Cukier jest najbezpieczniejszy... Moje oczy, oczy... Jajka! O kurwa... Przejście! Będę rzygał... Woda – zapobiec odwodnieniu... Przestań tak dyszeć... Hep, hep, hep... Rzygam! Rzygam! Co to... wymiary są całkiem popieprzone... Dziwnie mi gorąco, straszny żar... Nie stój tam, no NIE STÓJ tam!*

Potem przyszły zakłócenia poczucia czasu. Nastąpiło to raptownie, spadło jak olbrzymia i niewidzialna galaretowata masa spod sufitu, pogrążając kuchnię w grząskim bagnie ciszy morskiej i nadając czasowi owadzią szybkość, to znów rozciągając go, z całym jego odrętwieniem i brakiem ciągłości, bezwładnością i automatyzmem, utraconą przeszłością i martwą przyszłością. Było tak, jakby wędrowali przez niekończący się, zatłoczony, cuchnący zgnilizną rynek po całym roku nieprzespanych nocy.

Teraz wszyscy poruszali się bez celu – po prostu się ruszali, stawiając rzeczy i odstawiając je, podnosząc i stawiając, podnosząc i głaszcząc kota, i licząc kufle, i łapczywie chwytając powietrze. Wydawało im się, że wszystko, co robią, było już wielokrotnie robione i zrobione, że wszystko, co pomyśleli, było już przemyślane i wymyślone i że nigdy się to nie skończy. Przepraszam, mówiła do każdego z nich po kolei panika. Nie

mieli ust, a musieli krzyczeć.

Quentin przecisnął się między nimi na drugi koniec kuchni i złapał Gilesa za ramię. Giles podniósł wzrok, najwyraźniej obojętny. Jego twarz pojaśniała, jakby wynurzyła się z cienia na światło dnia. Czas runął potokiem z korytarza. Kuchnia zatrzymała się i zaskoczyła z powrotem. Odwrócili się w stronę Gilesa.

– Myślę, że, myślę, że wszyscy potrzebujemy drinka.

Wylegli tłumnie na korytarz. Wydostali się na zewnątrz.

– Chryste! – powiedział Andy, kiedy szli do saloniku. – Co to, kurwa, było?

– Zaburzenia poczucia czasu – rzekł Quentin.

– Tak – potwierdził Marvell, ocierając twarz rogiem czerwonej kowbojskiej bandany. – Pieprzone zaburzenia poczucia czasu.

– Jezu, jeszcze nigdy mnie tak nie dupnęło. – Andy zatrzymał się i odwrócił do nich. – Wiecie, co? Według mnie to sprawa jedzenia. – Ruszył znów przed siebie. – Niech szlag trafi te sztuczki z żarciem. Nigdy więcej numerów z żarciem. Pieprzone żarcie.

36. Znow coś konkretnego

Pod sennym, ale skutecznym nadzorem Gilesa przystąpiono do przyrządzania koktajli z szampana.

– W końcu jest już praktycznie jedenasta – powiedział Andy.

Razem z Quentinem wyjęli z zamrażarki w łazience półtoralitrowe butelki Moët & Chandon rocznik 1979, Skip zaś przyniósł jeszcze większy zapas z garażu. Giles powierzył następnie Quentinowi swoje klucze i upoważnił go, żeby udał się na górę, wszedł do jego pokoju, zlokalizował

barek, dobrał się do jego zawartości i dobył stamtąd pięć, no, może z sześć litrów Napoleona. Tymczasem reszta porozchodziła się po sypialniach, a potem wszyscy zaczęli się gromadzić ponownie już nie tak roznegliżowani. W każdym razie Marvell i Skip mieli na sobie swoje dzinsowe komplety, Roxeanne zaś sięgającą pępka etolę i siatkowe body.

– Ale katuja, niech mnie... – entuzjasmował się Andy, gdy z gramofonu rozległy się dźwięki przypominające odgłosy pożaru w menażerii z chórem dziecięcym ze szkoły niedzielnej w tle.

Otworzyli na oścież okna. Quentin naszykował zestawy haszu i trochę podgrzewaczy. Skip obszedł pokój, ustawiając przed nimi wielkimi dłońmi piramidki amfetaminy. Marvell przyniósł z aneksu kuchennego środki antydepresyjne.

– Rzecz w tym, w zasadzie – odezwał się nagle Giles, który trzymał się w bezpiecznej odległości od czekającej baterii szampana – rzecz w tym, jak się już wielokrotnie przekonałem, że trzeba do tego dodać mnóstwo brandy. Jakies cztery, pięć razy więcej, niż dodają zwykle. Co najmniej pół na pół. Co najmniej. Jeśli ma się jakieś wątpliwości, trzeba to zrobić tak, żeby brandy wydawała się szampanem, a szampan brandy.

– Jasne – rzekł Andy. – Jasne.

Celia wzięła tabletkę od Skipa. Trzymając ją w dwóch palcach, powiedziała niepewnie:

– Nie wiem, kochanie... Czy nie powinniśmy troszeczkę przyhamować?

– Spokojnie, skarbie – zamruczał Villiers jak kot.

– Gorzej się już nie poczujemy – stwierdziła Diana, a Lucy przytaknęła jej niemrawo.

– Do diabła, przecież to tylko weekend – rzekł Marvell. – Pierdolić to.

– Keith! Podaj no tu alkohole! – ryknął Andy. – I to już! Po cholere nam dworski karzeł, skoro nie potrafi nawet... Chryste, to mi jednak bardziej pasuje. Wreszcie znów coś konkretnego.

– Chwileczkę! – Giles podniósł ręce do góry. – Chwileczkę. Uprzedźcie mnie, jak będziecie otwierać szampana, dobrze? Te korki tak strzelają, że

któryś może mnie trafić prosto w...

– Czy wszyscy... – zaczął Andy. – Słuchaj, Keith, idź i połóż się albo co, dobra? Wyglądasz tak, że aż przykro patrzeć. No dobra, czy wszyscy gotowi? To jedziemy z tym koksem!

W ciągu kwadransa wszystko wróciło do normy.

37. Rozmowy

Te rozmowy.

– Tak właśnie zrobili. W latach siedemdziesiątych. Tyle osiągnęli. Oddzielili emocje od seksu.

– Bzdura, Marvell – rzekł Quentin. – Pokazywali tylko, że można oddzielić te sprawy. Choć jak wynika z ostatnich analiz, nie mieli racji.

Marvell, szukając poparcia, spojrział na Roxeanne i Skipa, którzy siedząc na podłodze, głaskali się wzajemnie w roztargnieniu, po czym znów zwrócił się do Quentina:

– Spróbujmy na to spojrzeć z perspektywy historycznej. – Marvell dopił swój koktajl. – W Stanach wszystko dzieje się szybciej, więc być może dla was tutaj sytuacja nie jest jeszcze jasna. Zgoda, w Stanach była parę lat temu pewna reakcja na ideę Innej Drogi, ale...

– Zamknij się – powiedział Andy bezbarwnym głosem, nie adresując tej uwagi do nikogo konkretnego.

– ...ale to była właściwie reakcja na odpryski tej idei, nie na jej zasadniczą treść. Zaczęło się pokazywanie cip, pokazy pieprzenia, centra seksu, takie numery, jak ten z eksperymentalną prostytutką w LA. A w zeszłym roku poddano całą ideę, jej główne założenia, gruntownej rewizji. I nie mówię tylko o konwentach seksualnych i objazdowych burdelach. Wszędzie, gdzie tylko pójdziesz, widać, że to się dokonało. Ludzie się nie gorączkują. Nie ma co krzyczeć. Po prostu wiedzą swoje.

– Tak – rzekł Quentin. – I za kilka lat nastąpi kolejna reakcja i w rezultacie wrócimy do tego, co było.

– Po milionie lat negowania i ignorowania swoich potrzeb nie możesz, kurwa, oczekiwać, że zmiana dokona się w ciągu tygodnia. – Marvell roześmiał się. – U nas dzieciaki z pierwszej klasy podstawówki pierdolały się na potęgę. Nam się zdawało, że jesteśmy wielkie cwaniaki, jak sobie pociupciliśmy, mając dwanaście lat. A one, kurwa, obciążają sobie laski w niemowlęcych kojcach. Nie, to się już stało, to jest rzecz dokonana, coś, co nie przeminie i nie zmieni się w nic innego.

Andy ocknął się nagle.

– Uważam, że to obrzydliwe – powiedział. – To ci małe skurwysyny! Ja nie pierdoliłem do trzynastego roku życia!

– Jest jedna ważniejsza kwestia – podjął Villiers. – Kiedy te małe, rozpustne brzdące znajdą czas, żeby dorosnąć? Kiedy sfera doznań związanych z seksem będzie miała czas się rozwinąć? Kiedy ich psychika zdąży oswoić się z uczuciami frustracji, pragnień, radości, zaskoczenia...

– O Jezu, Quentin – odparł Marvell. – Co ty, próbujesz znów zaszczeplić ludziom seksualne lęki, czy jak? Wiesz, jak brzmi to, co mówisz? Jak jakiś pieprzony D.H. Lawrence! „Seksualne doznania” – a pierdolić je! Seks to czysta fizjologia, jak jedzenie i sranie. Tak: jak sranie. Po prostu czynność organizmu.

Wspaniałe oblicze Quentina przybrało wyraz znużonej stanowczości.

– Jak sądzę, w moim wypadku seks nie jest czymś, co moje ciało może robić za mnie. Ani, jak przypuszczam, w wypadku Celi. Nie uznaję takich pośpiesznych i pozbawionych uczuć aktów – i dzięki Bogu. Jak myślisz, dlaczego się pobraliśmy?

Marvell zerknął nieśmiało na Quentina.

– Daj spokój, Quent. Daj spokój. – Puścił do niego oczko. – To przecież była jedna z twoich sztuczek?

– Nie, to było zawarcie małżeństwa. I pobraliśmy się po to, żeby w naszym seksie pozostały emocje.

– Chryste, chyba przesadziłeś, Quent, naprawdę. Ale tak czy inaczej, niczego nie zmienisz. Nie ma mowy. Ikonografia związana z pożądaniem jest już zbyt rozprzestrzeniona, wszechobecna. Za każdym razem, kiedy... kiedy pieprzysz Celię, a zaczynasz myśleć o kimś innym, o jakiejś modelce albo aktorce filmowej, którą widzisz na każdym plakacie i w każdym piśmie, gdziekolwiek rzucisz okiem – Marvell strzelił palcami – uświadamiasz sobie, że to, co mówię, to prawda. Wiesz to.

– Zapominasz o jednym, Marvell – rzekł Quentin. – Otóż tak się składa, że Celię i mnie łączy miłość.

– Uuu! – stęknęła Roxeanne.

Skip wy dobył z siebie przeciągły gwizd.

– Wiesz co, Quentin? – powiedział Marvell z poważną miną. – Czasami potrafisz być naprawdę wkurwiający. Już mi się zdawało, że uda mi się przejść przez życie i nie usłyszeć więcej tego pieprzonego słowa. I oto ty, mój przyjaciel, wyskakujesz z czymś takim i... Jeszcze dwa lata temu nie... – Marvell podniósł wzrok. Ostrzegawczy błysk pojawił się w zielonych oczach Quentina. Marvell szybko opuścił głowę.

– Jasne – rzekł Andy.

– Zgadzasz się z tym, Andy? – zapytała Roxeanne.

– Jasne. Choć nie ze wszystkim. Ale słowo „miłość” już nic nie znaczy. To hipisowska gadka. Miłość jest skończona. Miłość się spierdoliła.

– O tak, dokładnie.

– Nie w moim wypadku – powiedział Quentin stanowczo; dłoń Celii powędrowała ukradkiem ku jego ręce. – Wiem, czym jest miłość, wiem, kiedy jestem zakochany, i wiem, że właśnie teraz jestem zakochany. Czy to jasne?

Marvell zwiesił głowę.

– Dziecinne gaworzenie – mruknął. – Wytarte, martwe frazesy.

Obecni w pokoju przesiadali się co chwilę, następowały przetasowania, niektórzy zaczęli pojedynczo opuszczać towarzystwo. Skip usiłował, bez powodzenia zresztą, wywołać jakieś odruchy konwersacyjnego ożywienia u przysypiającego Gilesa. Andy mówił coś do Lucy, siedząc na niepościelonej otomanie, która służyła jej za łóżko. Diana pozostawała w związku z tym sama; siedziała w klubowym fotelu, zastanawiając się, z kim mogłaby się przespać. Jednak Quentin pochłonięty był lekturą krytycznego tekstu o poezji Rimbauda, a Giles, jedyny oprócz Quentina mężczyzna, do którego mogłaby ewentualnie wystartować, powędrował gdzieś daleko pod okno. Celia siedziała z książką z obrazkami na kolanach na jednym z ogromnych pufów w niszy większego saloniku. Rozmieszczenie poszczególnych osób nie uszło uwagi Marvella. Poszukał wzrokiem Roxeanne. Wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

Giles przebywał właściwie w dwóch miejscach naraz: we wnęce okiennej i w świecie swych myśli. Była to jedna z jego najulubieńszych nisz, wygodnych, wymoszczonych poduszkami, przytulnych. Uwielbiał tu siedzieć zwłaszcza wtedy, gdy tak jak teraz słońce dosięgało go swymi ciepłymi promieniami, pieszcząc włosy i ramiona. Czasami tracił kontakt z rzeczywistością i odpływał na krótko, by powrócić po chwili cichym westchnieniem wdzięczności.

– Hej! Jeszcze jeden koktajl, Giles? – To był głos Roxeanne.

– Nie, ja... w zasadzie to dżin – wymamrotał.

– Okej. Mogę koło ciebie usiąść, Giles?

– Nie, ja, w zasadzie...

Po części z konieczności, bo ławeczka we wnęce okiennej miała typowe dla takich ławeczek rozmiary, Roxeanne siadła tuż przy Gilesie, tak blisko, że odniósł wrażenie, jakby zupełnie nie znał dotąd pojęcia bliskości. Z pewnością jeszcze nigdy w życiu nie był tak blisko nikogo, pomyślał. Roxeanne przede wszystkim bardzo silnie pachniała – zidentyfikował ten zapach mgliście i z oporami jako mieszankę woni

świeżego potu i równie świeżych waginalnych soków. Jakby na potwierdzenie swoich wrażeń, dostrzegł jej kędzierzawe rude włosy, wystające spod odsłoniętych pach i spod majtek w okolicach krocza. Uwięzione w przezroczystym body piersi tuliły się do siebie i kipiały. Giles przełknął głośno ślinę.

– Przyjemnie spędziłeś noc?

– O kurcze. No więc, ja... to nie było...

– Nie słyszę, co mówisz, Giles.

Czy to ona siedzi mi na kolanach, czy ja jej? Zaborcza fizyczność Roxeanne sprawiała, że byli oddzieleni jak płaszczem od innych, których głosy zlewały się w jeden odległy, bezładny jazgot.

– Owszem, nieźle się bawiłem – powiedział i natychmiast się poprawił: – Właściwie nie liczyłem na to, że będzie fajnie.

– Jak to, nie liczyłeś, Giles?

Miała oczy półprzymknięte, a jej głos, choć mocny i trzeźwy, zdawał się balansować na granicy zaniku. Jej usta i bielejące niczym w grocie pełnej skarbów zęby znajdowały się o cal od zaciśniętej kreski jego ust.

– Mam masę zmartwień. Same drobiazgi – wykrztusił z trudem.

– Ach, to na to chciałeś prochy, Giles? Czym się martwić? Czym się tu w ogóle martwić? Czemu ty się tak wciąż trapisz?

Twarz Roxeanne lśniła, jej ciało było nieznośnie, dławiąco bliskie. Woń jej ciała, sama w sobie całkiem przyjemna, była zniewalająco intensywna. Teraz nie przypominała Gilesowi niczego.

– Czy chcesz się ze mną pieprzyć, Giles?

– No wiesz... Nie przepadam specjalnie za...

Oblizując wilgotnym językiem wargi, powiodła ręką w górę po jego napiętym udzie.

– Więc mogę ci obciągnąć, Giles?

– Za tym też właściwie nie przepadam.

– Chcesz iść ze mną na chwilkę na górę, Giles? – Jej zawodzący głos dochodził skądś z daleka. – Na króciutko, tak, żebym cię mogła

pocałować. Widzisz mój język? – Wysunęła język, który wyglądał jak kawałek świeżego mięsa, i zawinęła go do góry, zwilżając sobie koniuszek nosa. – Żeby cię pocałować, pocałować, przycisnąć go mocno do twoich zębów...

Giles usiadł gwałtownie i beknął jej prosto w twarz.

– Nie! – powiedział.

Wyraz twarzy Roxeanne pozostał niezmienny. Leniwie, lunatycznie nachyliła się do jego ucha i powiedziała głosem tak samo łagodnym i pieścizotliwym jak przedtem:

– Ugryź się w dupę. Ty mały, wstrętny kutasie.

– Może jeszcze jeden koktajl, Celia? – To był głos Marvella.

– Nie, naprawdę dziękuję. Po dwóch poczułabym się dziwnie.

– Okej. Mogę tu usiąść, Celia?

– Proszę bardzo.

– O, co ty tu masz?

– Książkę z obrazkami.

– No nie!

– Ups! Przesunę się trochę.

Celię cechowało coś, co określa się jako dwoistość charakteru – jej uległość przybierała często postać dziewczęcej prostoty, a brak wyobraźni przeradzał się w pełną zadziwienia naiwność – i to właśnie ten jej infantylizm ujawniał się teraz. Chociaż niewspółmierność tych dwóch stron jej osobowości była znaczna, a czasem przybierała postać wręcz groteskową, Celia wydawała się nieświadoma owego dysonansu i poruszała się pomiędzy tymi dwoma biegunami swobodnie, jak dziecko zmieniające zabawki. Marvell wyczuł, w jakim jest nastroju, i przez pięć minut rozmawiali półgłosem o przygodach Olly’ego Marynarza, Zająca Harry’ego, Prosiaka Gwizdka, małego Stanleya, Szczura Reginalda i Kozła Trapa. Potem Marvell wytarł pocętkowany żółtymi plamkami krwawy rubin wiszący mu z nosa i powiedział:

– Widzisz Gilesa? Wygląda na to, że świetnie się rozumieją z Rox.

Celia podniosła wzrok.

– Tak... Rox zna się, cholera, na rzeczy.

Celia nie odpowiedziała.

– Wie, jak osiągnąć cel – podpowiada jej to ciało, jej zmysły. Wie, jak je zaprząć, żeby dla niej pracowały. Posługuje się zmysłami jak... jak malarz kolorami, kiedy chce namalować piękny obraz. Albo tak jak ty, Celio, kiedy układasz puzzle albo ubierasz lalkę. Wie, do czego jest pędzel, co dają poszczególne kolory, jak kształtują powierzchnię obrazu. Tak właśnie traktuje swoje zmysły – jako narzędzia, dzięki którym uzyskuje coś radosnego i cudownego. Chciałabyś w taki sposób wyrażać swoje ciało, Celio? Widzisz, jak sobie radzi z Gilesem? Wiesz, co chciałaby z nim zrobić?

Celia potrząsnęła opuszczoną głową.

– Nie? A wiesz, co ja chciałbym zrobić z tobą?

Marvell ujął policzek Celi żylastą prawą dłonią. Zaczął jej coś szeptać do ucha leniwie sączącym się głosem. Oczy Celi strzelały na boki pod mrugającymi powiekami.

Wstała i powiedziała spokojnie, stając się na powrót kobietą:

– I pomyśleć, że mój mąż ma takich znajomych jak ty.

Marvell wybuchnął pijackim śmiechem, gdy potykając się, ruszyła w stronę drzwi.

Quentin wśliznął się do pokoju. Celia siedziała na łóżku. Uklęknął przed nią.

– Najdroższa, najdroższa, no już, już... – przemawiał do niej czule.

– Och, kochanie, ja nie chcę, żeby oni tu byli.

– Mój biedny króliczek. Cóż on takiego, na litość boską, powiedział?

– Nawet nie mogę ci tego powtórzyć. Powiedział... Nie, nie powtórzę.

Coś na kształt ulgi pojawiło się w oczach Quentina.

– Och, pewnie jakaś bzdura związana z seksem. Kochanie, musisz...

Oni tacy po prostu są.

Celia nie poddawała się.

– Ja nie chcę tu widzieć takich ludzi. Nie chcę. Każ im się stąd wynosić.

Dlaczego nie każesz im się wynieść?

Ujął ją za rękę.

– Jutro. Wyjadą jutro.

– Za późno.

– No, nie denerwuj się.

Spojrzała na niego i pociągnęła nosem.

– Jutro? Załatwisz to jutro? Przysięgasz?

– Przysięgam – przysiękł Quentin.

39. Wymyślne figury

– Ile razy, do jasnej cholery, mam pani powtarzać, pani Tuckle, że nie słodzę herbaty.

– Bardzo przepraszam, sir, ja zaraz...

– Niech się pani nie trudzi. – Whitehead oparł ciężki, napęczniały od wody pantofel na najbliższym pufie. – Poza tym pewnie już wyżłopaliście cały dzin, który wam przyniosłem – powiedział, patrząc na nienapoczętą butelkę stojącą na kredensie.

– Nie, sir. Nawet nie...

– Widzę. Tak sobie pomyślałem, że może się trochę napiję. Oczywiście nie macie żadnego toniku ani lodu, co?

– Niestety nie mamy prądu...

– Chryste, niechże pani wobec tego doleje trochę wody.

– Tak, sir, naturalnie. Nie zapomni pan podziękować w naszym imieniu panu Coldstreamowi?

– Mówiłem już, że nie zapomnę – powiedział Keith. – Jeśli będę

pamiętał.

– Dziękuję, sir. Przepraszam, że zapytam, sir...

Keith machnął niecierpliwie ręką.

– Przepraszam, że pytam, sir... ale kto przyjechał do państwa na weekend?

Whitehead wyciągnął rękę po szklaneczkę z dżinem, którą pani Tuckle zonglowała ostrożnie na wysokości jego twarzy.

– Muszę już iść. No cóż, zaprosiłem czworo przyjaciół. Lucy Littlejohn, moją starą... starą przyjaciółkę z czasów, kiedy mieszkałem w Londynie. I trójkę Amerykanów, których poznałem, podróżując w zeszłym roku po Stanach.

– Rozumiem, sir. To bardzo ciekawe. A proszę mi powiedzieć, sir, jaki był cel pańskiej podróży do Ameryki? Czy pojechał pan tam załatwiać jakieś konkretne sprawy, czy dla czystej przyjemności?

Keith sęczył leniwie dżin.

– Nie pani zasrany interes – powiedział.

Whitehead wracał przez trawnik do domu; tym razem nie czuł się tak pewnie jak zwykle po wizycie u Tuckle'ów. Zmiana w ich sposobie bycia budziła w nim odrazę. Zbrzydził go nie tyle ton, jakim z nim rozmawiali, ile monotonia i toporność jego własnych odzywek. No cóż, trzeba będzie wymyślić jakieś inne sposoby dokuczenia staruchom, to wszystko.

Spoglądając spod przymrużonych powiek na wykuszowe okna na tyłach probostwa, mały Keith ustalił, że cała aktywność mieszkańców skupia się nadal w saloniku. Na czworaka przepełznął pod zmurszałą studnią, odczekał chwilę, a potem wśliznął się szybko do garażu.

Przecisnął się przez drzwi, z trudem zamknął je za sobą i skamieniał. Spod cienkiego brązowego koca na jego pryczy wystawała twarz dziewczyny. Keith rozpoznał ją od razu: twarz należała do Miss See-See della Gore, cudownej modelki, która pozowała, rozkraczona, na rozkładówce jego najnowszego nabytku, pisemka dla koneserów

„Wymyślne Figury”. Co ona tam robi? Wyglądało to dziwnie niepokojąco. Na poduszce spoczywała pomniejszona twarz z kolorowego jaskrawego zdjęcia; reszta znikwała w łóżku, które wzdymało się, jakby koc okrywał jakieś prawdziwe amorficzne ciało. Keith podszedł do pryczy. Oczy dziewczyny wpatrywały się w niego z wściekłością. Keith odchylił na kilka cali rąbek koca, odkrywając ułożone jak rozgwieżdżone ciało See-See. Potem ściągnął cały koc. Rozłożone nogi modelki zdawały się w symbolicznym geście obejmować resztki jego pornograficznej biblioteki, podartej na strzępy i zbrukanej czymś, co wyglądało na spermę, i innymi trudnymi do zidentyfikowania płynami.

Nerwowymi, ale zdecydowanymi ruchami Keith zebrał te resztki w wielką stertę. Odwrócił się, żeby iść po worek do garażu. Nie zauważył przypiętego pinezkami do drzwi prowizorycznego plakatu, na którym widniał napis JOHNNY. Zachodził w głowę, jak ktoś mógł tak niepostrzeżenie zniszczyć zdjęcia. Zaczął płakać. W życiu Keitha Whiteheada coś kończyło się nieodwracalnie.

XL Whitehead

Whiteheadowie mieli co najmniej kilka tytułów do tego, by uznać ich za najtęższą żyjącą rodzinę. Wystarczyło przejść się po Parky Street w Wimbledonie, żeby zobaczyć, jak zajmują miejsca w morrisie, szykując się do cotygodniowego wypadu do Brighton.

„Zabierz swoje tłuste dupsko”. „Czyja to okropna gira?” „Czy to twój półdupek, Keith, czy Aggie?” „Bez względu na to, czyj to kałdun, zabierać go stąd!” „To nie ręka tatusia, ty głupia dziwo, tylko moja noga!”

– To na nic – mówi w końcu Whitehead-senior, kładąc swoje wielkie łapska na kierownicy. – Morris nie da sobie z wami rady. Od dzisiaj będziecie jeździć po kolei i zawsze jedno zostanie w domu.

I rzeczywiście, kiedy wszyscy Whiteheadowie wciskają się niczym pasta do zębów do morrisa, nadwozie opada o dwa cale, opony siadają, a gdy sam Frank wpycha się za kierownicę, samochód wygląda tak, jakby osunął się w błagalnym geście na klęczki.

– Flora, zamknij te pieprzone drzwi – mówi Frank do żony.

– Nie mogę, Frank. Nie wciągnęłam jeszcze nogi.

Tłum zebrał się na chodniku. Sąsiedzi przyglądają się bezczelnie z łokciami opartymi na umytych do połowy samochodach. Wzdłuż całej opadającej tarasami ulicy rozsuwają się zasłony w oknach.

– O Jezu – wzdycha Whitehead-senior – wszyscy się na nas gapią. Keith! Pomóż matce z tą nogą.

Keith wychyla się do przodu i z wysiłkiem próbuje wciągnąć udo matki do samochodu, a tymczasem Frank wychyla się na bok i jedną ręką ciągnie za uchwyt drzwi, wbijając jednocześnie drugą w biodro pani

Whitehead. Aggie, siostra Keiha, siedzi i płacze ze wstydu na tylnym siedzeniu; widzi, jak jej rodzina zbija się w jedną pulsującą kulę mięsa.

– No, jeszcze troszeczkę!

– Nie! – wrzeszczy Flora. – Jeszcze kawałek ręki!

– Mam ją – dyszy Keith.

Drzwi zamykają się bezgłośnie i samochód z czterema kłótliwymi wieprzami rusza wreszcie z miejsca wśród szyderczych okrzyków tłumu.

– Zdejmij zad z drążka zmiany biegów, kobieto – rozkazuje Frank, kiedy zatrzymują się na światłach. – Jak mam jechać, skoro wisisz dupą na drążku? Keith! Może byś się tak przesunął, ty tłusty sukinsynu! Siedzisz na prawym tylnym kole. Czuję, jak cały samochód przechyla się w prawo.

– Ach, zamknij się, stary pierdzielu! Jak mogę się przesunąć, kiedy Aggie zawala całe tylne siedzenie? To pod tobą siada samochód, ty stary, gruby durniu!

– Tak się składa, że ostatnio zrzuciłem kilkanaście funtów. I nie ma żadnego uzasadnienia, żebyś ty był taki ciężki – masz tylko ciut więcej niż cztery stopy.

– Och, zamknij się ty stary, tłusty pedale. Ty stary tłusty piździelcu.

– Keith – upomina go matka – nie mów tak do ojca.

– Och, zamknij się. Ty stara, tłusta jędzo. Ty gruba, stara raszplo.

– Keith – odzywa się Aggie.

– Och, stul pysk.

– To się musi skończyć – mówi pani Whitehead, kiedy samochód, dygocząc, pruje po szosie w mgiełce upału. – Głodówka dla wszystkich przez cały przyszły tydzień. Dla ciebie też, Keith. Cały przyszły tydzień. Głodówka. Tak dalej być nie może.

Godzinę później siedzą w milczeniu przy stole nadmorskiej restauracyjki, a ich podobne do zwierzęcych łap ręce grzebią w górze śmietany, dżemu i kremu. Gorąca, słodka herbata ścieka im po brodach.

Czwórka Whiteheadów waży łącznie tysiąc dwieście sześćdziesiąt funtów i przewyższa ciężarem przeciętną drużynę rugby. Jest to plemię o obłądnie aktywnych gruczołach, a ich dom to zbałwaniony jak wzburzone morze karykaturalny pejzaż głębokich sof, podobnych do hamaków łóżek i powykrzywianych foteli. Snują się po nim, warczą na siebie i obrzucają się przekleństwami, starając się z wysiłkiem utrzymać zdeformowane nadczynnością gruczołów ciała na powierzchni.

Whitehead-senior na przykład jest wprost fantastycznie grubym osobnikiem, ważącym prawie pięćset funtów. Kiedy toczy się ulicą, machając na wszystkie strony swoimi wielkimi łapskami, zmiata idące do szkoły dzieciaki, kiedy wsiada do autobusu, obrywa się pod nim pomost, windy jęczą, dygoczą i stają raptownie, kiedy naciska guzik GÓRA, i wałęsają się z łoskotem w dół, bez względu na to, czy w swej głupocie naciska guzik DÓŁ czy nie. Krzesła rozlatują się pod nim, ledwie muśnięte łokciem stoły koziołkują, legary trzeszczą i pękają, deski podłogi ścierają się na proszek. Problem Franka z wagą zagraża także jego pozycji kucharza w kafejce na dworcu autobusowym; nachyli się przed kuchnią i już strąca zadem rondle z półki na przeciwległej ścianie, obróci się od zlewu i zmiata brzuchem wszystko ze stołu. Bochenki chleba, kartony margaryny, nawet półtusze znikają w mięsistym, sfałdowanym worze jego żołądka (stary Whitehead znany był też z tego, że starczyło, by szef wyszedł do ubikacji, a on potrafił wymieść do czysta wszystko, co nadawało się do zjedzenia). Kiedy stało się zupełnie niemożliwe, żeby wszedł do kuchni i nie zahaczył automatycznie – niejako z definicji – o gorącą płytę kuchenną, ruszt, piekarnik czy toster, poproszono go o spakowanie manatków. Frank był zresztą beznadziejny jako kucharz: nie potrafił nawet usmażyć jajecznicy.

Aby zrekompensować sobie uszczuplone dochody, pan Whitehead postanowił rozbudować podupadającą rodzinną cukierenkę. Zmuszając swoją żonę do pozowania osiemnaście godzin na dobę w Hornsey w Wimbledonie i w Baron's Court Art Polytechnics, uciulał dość pieniędzy, żeby móc po całkowitym opróżnieniu salonu zainstalować

w nim kilka lśniących, stalowych pieców, laminowany kontuar i szyld z napisem BAR WHITEHEADA, RYBA Z FRYTKAMI NA WYNOS. Interes prosperował nieźle, więc ostatecznie dział cukierniczy uległ stopniowo likwidacji.

Ów punkt zwrotny był także momentem przełomowym w życiu małego Keitha.

Dobrze pamiętał tę radykalną zmianę. Kiedy codziennie wracał ze szkoły do domu, purpurowy na twarzy, mający cztery stopy wzrostu gruby kloc w mundurku szóstoklasisty, odmawiał opryskliwie batonika, którym go częstowano, warczał na ojca, a potem przebierał się w swój biały kombinezon (nienawidził tego, bo wyglądał w nim jeszcze bardziej koszmarnie niż w szkolnym mundurku). W nabrzmiałej wrogością ciszy razem z ojcem obsługiwał dzieci z pobliskiej podstawówki – było ich o tej porze więcej niż zazwyczaj, bo końcówkę towaru sprzedawali przed samym zamknięciem po niższej cenie. Mniej więcej kwadrans po piątej pulchne palce Franka zaciskały się na batonie Mars albo na kawałku rachatłukum. Keith oczekiwał kilka sekund, a potem wyjmował parę miętowych batonów z oszklonej gabloty. Wtedy Frank nieco zwawiej niż zwykle sięgał po torebkę landrynek, a Keith po pudełko kukulek. Potem Frank wbijał kciuk w karton truflki czekoladowych i jedną po drugiej pakował je do ust. Keithowi aż szumiało w głowie od musującego sorbetu cytrynowego. Na wargach pana Whiteheada pojawiały się słodkie, karmelowe banieczki, zęby jego syna sklejały krówki-mordoklejki i owocowe ciągutki. Frank jednym zręcznym ruchem zrzuca z tacy na kontuar porcje aromatyzowanej bitej śmietany i chłepcze ją jak pies. Czekoladki Toblerone znikają niczym wagony uciekającego pociągu w tunelu gardła małego Keitha. Zanim zegar wybije wpół do szóstej, zaczyna się bezładny, rozgrywający się w zwolnionym tempie wyścig aligatorów do położonego na piętrze klozetu-vomitorium. O siódmej z rozdziawionymi, umazanymi ustami, dysząc głośno, leżą pod rynnami do zsypywania frytek.

W ciągu tygodnia od chwili uruchomienia interesu rodzina osiągnęła łączną wagę powyżej tysiąca czterystu funtów.

Niedługo później Keith na jakiś czas zwariował.

Nie wyglądało na to, by cokolwiek przyśpieszyło ów atak. W jednej chwili wyszedłszy z Biblioteki Literatury Współczesnej przy Milton Avenue na północno-zachodnim krańcu Londynu (NW 20), dreptał sobie jak gdyby nigdy nic ulicą, a już w następnej zmierzał drobnymi krokami do Instytutu Blishnera w Potters Bar w zupełnie innym rejonie miasta (NW 36). Między tymi momentami poczuł raptowny przypływ grozy i konfuzji, tak konkretny, jakby była to reakcja chemiczna, jakiś gwałtowny przypływ adrenaliny. Zatelefonował do domu i wsiadł do autobusu.

Trudno powiedzieć, żeby tydzień poprzedzający atak choroby był całkowicie wolny od wydarzeń. Po pierwsze Keith rozpoczął studia w londyńskim Wolfson College – i te kilka pierwszych dni otwierało całą nową epokę ostracyzmu, upokorzeń i odrazy do samego siebie. Ale Keith liczył się z tym i ogólnie biorąc, był nawet mile zaskoczony serdecznością, z jaką przyjęli go niektórzy studenci. Niezależnie od wszystkiego dodatkowo w poniedziałek postraszył go facet regulujący ruch, jakiś staruch w metrze i zamiatacz w miejscowym pubie. Keith w ogóle ich nie prowokował i przyjął ich pogróżki oraz ponure zapowiedzi ze stosowną pokorą, tłumacząc się i przepraszając. We wtorek, bez żadnego wyraźnego powodu, nie chcieli go obsłużyć w kafejce, a potem chłopcy w parku obrzucili go kamieniami. Nazajutrz przyczał się w swoim pokoju i przez cały dzień pił litrami rozpuszczalną kawę. W czwartek cała obsługa stoiska u Woolwortha wpadła w histerię, kiedy próbował kupić grzebień, a gdy chciał wsiąść do prawie pustego autobusu, konduktor z pokerową twarzą zagroził mu drogę. Potem zdarł z tablicy ogłoszeń w akademiku kartkę z napisem KEITH WHITEHEAD TO POTWÓR Z FILMU GROZY. Jego opiekun z uczelni zasugerował mu, aby – z przyczyn osobistych,

których, jak twierdził, na razie nie mógł wyjawić – zmienił kierunek studiów, ojciec zaś zadzwonił, że w imieniu całej rodziny prosi, żeby Keith nigdy się już z nimi nie kontaktował. Ot, taki sobie, można by powiedzieć przeciętny tydzień. Ale w piątek Keithowi odbiło.

Przez godzinę siedział w oświetlonym jarzeniówkami hallu Instytutu. Skracał sobie czas oczekiwania, przyglądając się swoim dłoniom, i starał się jednocześnie z całych sił nie patrzeć w niekończący się żółty korytarz, po którym snuli się i skradali wzdłuż ścian obłąkani, a widmowi pielęgniarze przemykali obok nich z napełnionymi strzykawkami.

– Whitehead? Tędy proszę.

– Jak się pan czuje? – zapytał lekarz.

– Czuję smutek i strach.

Lekarz splótł palce i pochylił się ku niemu nad biurkiem.

– I od jak dawna, powiada pan, tak się pan czuje?

Keith spojrział na zegarek.

– Od godziny i dwudziestu minut.

Lekarz, cedzący słowa Cejlończyk, zaczął go wypytywać o bliskich i o przeszłość, próbując bez wyobraźni, ale cierpliwie ustalić, czy występują tu jakieś urazy, blokady, zahamowania i tak dalej, ale chociaż Keith odpowiadał na wszystkie pytania lekarza z posępną otwartością, niczego nie zatajając, szybko stało się jasne, że jego życie było całkiem pozbawione emocjonalnych incydentów, które mogłyby być stymulatorem choroby.

– Niech pan posłucha – powiedział Keith po pewnym czasie. – Może pan sobie darować te dociekania. Ja wiem, w czym tkwi problem. To całkiem proste.

– No dobrze, więc co to jest? – zapytał zniecierpliwiony lekarz.

– Nie, tego panu nie powiem. Jeszcze pan pomyśli, że jestem paranoikiem.

– Nie pomyślę.

– Pomyśli pan.

– Nie pomyślę.

Lekarz przyjął już od rana dwudziestu jeden studentów. Sześciu uskarżało się na impotencję, pięciu na brak jakiegokolwiek życia seksualnego, czterech na nocne moczenie, trzech na omamy pamięci, czyli tak zwane fałszywe wspomnienia, dwóch na bezsenność i jeden na ataki niepohamowanej senności. Przepisał wszystkim, oprócz uskarżającego się na senność, któremu kazał iść w diabły, ten sam antydepresyjny lek.

– No więc dobrze – rzekł Keith. – Jak już powiedziałem, to całkiem proste. Nikt mnie nie lubi, a ściśle mówiąc, większość ludzi, nie wyłączając mojej rodziny, nie cierpi mnie instynktownie. Nie jestem zbyt dobry w pracy, nigdy nie miałem dziewczyny ani żadnego przyjaciela, mam bardzo ubogą wyobraźnię, nic mnie nie bawi, jestem gruby, biedny, łysy, mam twarz całą w pryszczach, zatwardzenie, cuchnący pot i oddech, małego fiuta i wzrost krasnoludka. Oto, dlaczego zwariowałem. Czy to dostatecznie jasne?

– Tak – odparł lekarz.

W życiu każdego człowieka jest jaśniejszy okres i tygodniowy pobyt Keitha w Instytucie należał do takich właśnie okresów. Uczucie paniki i dezorientacji ustąpiło bardzo szybko i pozostał tylko cichy, oskarżycielski głosik, który mamrotał coś niewyraźnie w okolicach karku. Keith odkrył też, że w tej wyłączonej z aktywnego życia społeczności jego poczucie izolacji może być czymś pozytywnym. Stopniowo zaczął myśleć bardziej chłodno i dociekliwie o własnych ułomnościach. Dowiedział się, jaka powinna być przeciętna waga mężczyzny mającego pięć stóp wzrostu, przekopał się przez czasopisma w czytelnicy, z zadowoleniem odnotowując wszelkie przypadki deformacji i defektów bardziej dotkliwych niż jego własne. Lektura artykułu w Księdze Rekordów Guinnessa, w dziale „Ciało ludzkie”, przekonała go, jak w gruncie rzeczy błahe są jego problemy. Z czasem poczucie, że wolałby nie żyć, poczucie, które nosił w sobie od szóstego czy siódmego roku życia, zaczęło z wolna słabnąć.

Z każdym przemijającym dniem mały Keith czerpał z wdzięcznością coraz więcej pociechy i otuchy z obserwacji towarzyszy niedoli, postarzałych chuliganów, ziewających i pociągających nosami przed świetlicowym telewizorem, grubych czterdziestoletnich bachorów, nafaszerowanych bezpiecznie lekami antydepresyjnymi, bełkoczących wiedźm, które leżały bezkształtne jak worki ze śmieciami wzdłuż korytarzy, znerwicowanych dziewcząt, które niczym płochliwe wróble obsiadały trawniki. Bez troski, bo napakowany barbituranami, Keith wędrował po szpitalnym terenie, a jego twarz rozciągała się od czasu do czasu w szyderczym uśmiechu lub rozjaśniała się z dreszczykiem satysfakcji, kiedy mijali go szarpani różnymi tikami koledzy. Podśledzał, jak ktoś kiedyś mówił, że ludzie w Instytucie popadają w jeszcze większy obłąd, bo „nie ma tu żadnego układu odniesienia”. Ale Keith nie chciał się odnosić do niczego; czuł tylko nienawiść i pogardę dla otaczających go mutantów, a jeśli kiedykolwiek miał ochotę przypomnieć sobie swoje „prawdziwe” życie, gapił się po prostu na wysokie mury Instytutu, wyobrażał sobie drogę, która prowadzi do Londynu, i słuchał, przyjemnie zdystansowany, warkotu autobusów i stukotu obcasów na ulicy. Ten jeden miesiąc dokonał cudów, jeśli chodzi o jego pewność siebie. Do licha, poznał nawet dziewczynę!

Życie seksualne Whiteheada?

Osiemnastoletni Keith z dwudziestoma pięcioma funtami w kieszeni swoich najbardziej obcisłych spodni kroczył pewnego sierpniowego wieczoru zatłoczonymi ulicami Soho, przy wtórze szyderczych okrzyków: „Masz dziś wychodne, kurduplu?”, „Czy nie pora lulać, synku?” i „Mam nadzieję, że jest większy niż ty sam, malutki?”, kiedy nachmurzony Murzyn dał mu znak, żeby zszedł do kawiarenki w podziemiach. Już w środku Murzyn rozpostarł ramiona, żeby przedstawić Keitha trzem syrenom, które przycupnęły na stołkach barowych wokół brudnego automatu z gorącymi napojami.

– Ho, ho – powiedziała blondyna w środku. – No to chodźmy, dryblasie. Ile masz?

– Piętnaście – odparł Keith.

Dziwka odwróciła się do Murzyna.

– Słuchaj no, panie Boogie Woogie, za kogo ty nas, kurwa, uważasz? Przyrowadzasz tu ten karłowaty cud natury z cholernymi piętnastoma...

– Przepraszam, Mary... – zaczął Murzyn łamiącym się głosem.

– Z jakiej racji mam znosić coś takiego, Lester? Dlaczego, Lester, no powiedz mi, proszę?

– Daj spokój, Mary – powiedział błagalnie Murzyn. – Ja nie...

– Dwadzieścia pięć – odezwał się niepewnie Keith.

Zapadło milczenie.

– A czego byś mianowicie chciał, Sonny Jim?

– Czego? Och, po prostu popieprzyć.

– Tak? Żadnych numerów ekstra?

– Żadnych, słowo daję.

Mary skinęła głową dziewczynie po swojej prawej ręce; ta cmoknęła głośno.

Pół godziny później Keith stał oszołomiony na stacji metra przy Piccadilly. Melissa wzięła od niego pieniądze, zaprowadziła go do cuchnącej klatki, rozebrała się, położyła na łóżku i leżała tam jak kawał gipsu, podczas gdy Keith wiercił się na niej i podrygiwał, próbując osiągnąć erekcję. Potem Melissa wyciągnęła kartonowe pudło pełne stymulatorów, elektrycznych „wyzwalaczy” i innych sprytnych gadżetów i z westchnieniem zaczęła uruchamiać te wszystkie wibratory, futrzane rękawice i cążki.

– Ej, ty, dostałeś już swoje dwadzieścia minut – zauważyła w końcu.

– O Boże – jęknął Keith. – Słuchaj, a nie mogłabyś po prostu spróbować ręką?

– Dajże spokój, synku, mówiłeś, że nie chcesz nic ekstra.

– A cóż w tym takiego ekstra? Chyba nic nie może być mniej ekstra.

– Spadaj. Spięprzaj stąd. Spierdalaj, ty mały, obleśny pedale.

Keith zażądał zwrotu pieniędzy. Melissa odmówiła. Keith zażądał zwrotu połowy forsy. Melissa odmówiła. Keith błagał, żeby dała mu choć na metro. Melissa poradziła mu, żeby spadał, zanim skopie go tak, że mu łeb odpadnie. Whitehead spadł.

Z Lizzie było zgoła inaczej. Kiedy Keith po raz pierwszy zobaczył Lizzie Bardwell w kafejce Instytutu, początkowo sądził, że jest niewidoma. Miała na nosie ciemne okulary, cały czas wyciągała ręce przed siebie, a do jej stolika musiało ją eskortować dwóch pielęgniarzy. Keith przyjrzał się jej uważnie, kiedy jadła. Lizzie miała szczupłą, asymetryczną sylwetkę, rzadkie włosy marchewkowego koloru i trójkątną, usianą piegami twarz – ale było w niej coś, co się Keithowi podobało. Pobudzony do działania przez połknięte wcześniej Valium, a poza tym przekonany, że w Instytucie nikt za cholere nie wie, co się dookoła dzieje, i że te wszystkie pieprzniete cipy nawet nie zauważą, jeśli zostanie odprawiony, Keith zbliżył się niedbałym krokiem do stolika, przy którym Lizzie jadła swoją kaszkę mannę, popijając ją zsiadłym mlekiem.

– Cześć – powiedział. – Mam na imię Keith. Mogę się przysiąc i pogadać?

Lucy przesunęła się o kilka cali na ławce i Whitehead szybciotko usiadł obok niej.

– Ja jestem Lizzie Bardwell. Dlaczego się tu znalazłeś?

– A co, cholera, mam tu darmowy wikt, darmowe spanie i prochy też za darmo. Wypoczynek. A ty?

Lizzie mówiła szybko, wysokim, podniesionym głosem:

– Zawsze miałam takiego jakby zeza i wariowałam na tym punkcie. I wygląda to tak, jakbym była niewidoma, bo oczy rozchodzą mi się na boki i patrzą prosto do środka mojej głowy. – Przyłożyła palce wskazujące do obu skroni. – Jak u jakiegoś wieloryba – dodała i wybuchnęła śmiechem, bardzo donośnym.

Keith też się roześmiał, znacznie głośniej.

Dziewczyna marzeń Whiteheada. Przez cały następny tydzień Keith był szarmancki i pełen rewerencji. Paradował z Lizzie po całym Instytucie, odprowadzając ją na zabiegi, towarzysząc jej przy posiłkach, czekając na nią przed kabinami szokowymi, wysłuchując niewiarygodnie nudnych autoanaliz i tylko od czasu do czasu osuwając się po cichutku na klęczki, żeby zajrzeć jej pod spódnicę lub zerknąć w dekolt, kiedy się z klęzek podnosił. Albo też strojąc miny i podnosząc palce w geście zwycięstwa, podczas gdy ona szczebiotała zagłębiona w sobie, ślepa na świat, który ją otaczał.

To, co najważniejsze, stało się w przeddzień wyjścia Whiteheada, wśród drzew na skraju frontowego trawnika.

– Chociaż ci z „Lunchu B” mieli więcej wrodzonego talentu niż ci z „Jeden razy dwa” – mówił Keith, obejmując ramieniem jej szczupłe ramiona – brakowało im profesjonalizmu.

– Naprawdę? – zapytała Lizzie. Keith dotknął jej w tej chwili po raz pierwszy.

– Tak mi się przynajmniej wydaje – odpowiedział, miętosząc wolną ręką to jedną, to drugą pierś Lizzie. – Ty tego nie wyczuwasz?

– Zawsze uważałam, że gitarzysta prowadzący „Lunchu”, Gary Tyler, jest zbyt „techniczny”, żeby mógł naprawdę odlecieć.

– To prawda – zgodził się Keith, wsuwając rozpaloną dłoń między jej uda. – Jest odłotowy tylko jako kompozytor. Jako wykonawca – zadarł jej sukienkę i zaczął się wciskać między uda – jest tak samo ograniczony jak cała reszta.

– Nawet na „Ciemnym tunelu”?

– Tam może nie tak bardzo, przyznaję – zgodził się znów Keith, ściągając jej zrolowane majtki przez buty – ale zgodzisz się chyba, że jego intuicji rzadko, jeśli w ogóle, towarzyszy – ciągnął, włączając na nią z wysiłkiem – coś, co można by nazwać poczuciem spełnienia. Na przykład...

Było to, jak pamiętał, pośpieszne – pośpieszne, wyzute z przyjemności i bardzo szalone.

Pięć dni później Keith popijał wodę w barze college'u, kiedy weszli tam Quentin, Andy, Diana i Giles.

– Nie ma miejsca.

– Tam, koło tego małego grubasa – powiedziała Diana.

– Co, koło tego karła? – zdziwił się Andy.

– Nie lubię karłów – mruknął Quentin, przyglądając się swoim sygnetom. – Działają na mnie przygnębiająco.

– Ja to załatwię – rzekł Andy.

Widząc, że zacierają w jego kierunku, Keith spojrzał w górę, zdjęty panicznym lękiem. Andy wysunął się do przodu, ścisnął nos kciukiem i palcem wskazującym i zapytał:

– Tu chyba nikt nie siedzi? Czy mi się tylko zdaje?

– Wysoce nieprawdopodobne, żeby tu ktoś był – powiedziała Diana i cała czwórka usadowiła się przy stoliku Keitha.

– Wyciągnij tę pieprzoną brandy, co? – rzekł Andy do Gilesa.

Keith siedział sparaliżowany strachem. Bał się wstać, bo wtedy zobaczyliby, jak mały jest naprawdę.

– Moja matka ma znowu atak – rzekł Giles, osłaniając usta dłonią – i musi iść do psychiatryka. W zasadzie rozpytuje o jakiś tam pobliski instytut w Potters Bar. Choć ja nie chcę, żeby tam poszła, bo wtedy będę ją musiał częściej odwiedzać.

– Chodzi o tę budę Blishnera? – zapytał Andy. – Znam, chodzę tam czasem po prochy.

– Powiedz mi coś o tym instytucie – rzekł Giles. – A tak w ogóle, gdzie to w zasadzie jest?

Nikt się najwyraźniej nie kwapił, żeby mu odpowiedzieć.

– Ja mogę panu powiedzieć – odezwał się Keith. – Mogę panu powiedzieć, jak pan chce.

– Naprawdę? – ucieszył się Giles. – Dzięki, to bardzo... to bardzo... Ma pan może jakieś pióro albo coś w tym rodzaju?

– Mam – powiedział Keith, wyjmując pióro.

– A skąd ty, kurwa, wiesz o tym instytucie? – wtrącił się Andy.

– Byłem tam w zeszłym miesiącu. Jako pacjent.

– O rany! Świr. Lepiej stąd wiejmy!

– Nie, byłem tam kiedyś, ale już jestem zdrowy.

– No dobra. A kto ty w ogóle jesteś? Jak się nazywasz? – zapytał Andy, całkiem już przyjaznym tonem.

– Keith.

– Jak?

– Keith.

– Keith, i co dalej, ty mały fiucie?

– Och, mam okropne nazwisko. Whitehead.

– Whitehead to wcale nie takie złe nazwisko – rzekł Giles. – Whitehead – powtórzył na próbę.

– Owszem, jest okropne, jak się je ma na twarzy^[2] – powiedział Whitehead.

Roześmiali się chóralnie.

– Hej – zawołał Andy – podoba mi się ten karzeł. Ten karzeł jest w porządku, wicie? Ten karzeł jest... całkiem okej.

41. Jego połyskliwe dziewczyny

Patrzył, jak ostatnia z jego połyskliwych dziewczyn zwija się w ogniu, unosi się tęsknie nad poruszonymi węgielkami, niknie w czarnym dymie, a potem zamienia się w zwęgloną, pomarszczoną kulkę. Pogrzebał w palenisku patykiem. Jego przyjaciółki były teraz martwe, wszystkie, co do jednej... i ta z delikatnie pożyłkowanymi piersiami i ta podobna do

kobiety, którą widywał czasami we wsi, ta w nieprawdopodobnie obcisłych majtkach, ta z głębokim, błagalnym spojrzeniem i ta, której usta najwyraźniej coś szeptały... Wszystkie były martwe i wiatr rozwiewał ich popioły. Jakże teraz będą moje noce? – pomyślał.

Dociekanie, kto mu to zrobił, nie interesowało Whiteheada zupełnie. Z kamienną twarzą zdjął afisz z napisem *Johnny* i spalił go z całą resztą, nie zaprzatając sobie już głowy ustalaniem sprawcy. Zresztą niczego by to nie zmieniło. On sam był winien poniesionej straty. Spojrzał na oddalony o pół mili budynek Appleseed, widoczny za nylonową zasłoną słonecznego światła.

– Koniec z oglądactwem – powiedział do siebie, ruszając w długą, uciążliwą marszrutę przez pole.

– Otwierać, otwierać! – zawołał znużonym głosem, pukając do drzwi Tuckle'ów. – To ja, to Whitehead.

Uchyliła się listewka żaluzji, zgrzytnęły zasuwki. W drzwiach pojawił się pan Tuckle. Stanął w progu i stał tam nieruchomy jak głaz.

– Nastąp się pan, do cholery – powiedział Keith. – Chcę się napić dzinu, który wam przyniosłem. Jeśli, oczywiście, już go, cholera, nie...

Pan Tuckle nawet nie drgnął. Keith zamilkł. Był w pantoflach, więc teraz nawet pan Tuckle górował nad nim wzrostem.

– Co jest grane? – warknął Keith.

– Niech pan stąd idzie, panie Whitehead – odezwał się pan Tuckle. – Przykro mi, sir, ale doszliśmy do wniosku, że nie chcemy pana tu więcej widzieć. Proszę, niech pan sobie idzie, panie Whitehead.

Zapłakany Keith szedł przez trawnik, powłócząc nogami. Kiedy znalazł się w swoim pokoju, uklęknął i modlił się przez chwilę. Potem siadł na łóżku, pociągając hałaśliwie nosem. Kartka taniego kancelaryjnego papieru czekała na stoliku przy pryczy na pieszczotę jego serdelkowatych paluchów. „Droga Lucy”, zaczął. Kiedy pisał, jego wysokie buty

przyzywały go z kąta pokoju.

42. A co więcej...

– Ja tam przywróciłbym struktury feudalne – oznajmił Quentin.

– Jasne. – Andy pokiwał głową.

– Jasne? – zdziwiła się Roxeanne. – Chcecie powiedzieć, że nie jesteście rewolucjonistami? Marvell, do cholery, co my tu robimy z tymi facetami? Kim wy wobec tego, do kurwy nędzy, jesteście?

– Jesteśmy ekstatycznymi materialistami – powiedział Andy, czołgając się po podłodze i oglądając pod światło butelki po brandy. – Znaczy się, chapiemy, co się, kurwa, nawinie pod rękę. – Pociągnął potężny haust z przeoczonej butelki. – A co więcej, chapiemy to od ludzi, którzy i tak mają niewiele. Kapujesz?

Ach, te rozmowy!

– Quentin – rzekł Marvell – a gdybyś był w tym feudalnym społeczeństwie tym... no, jakże się oni, psiakrew, nazywają – no tak, chłopem pańszczyźnianym? Co, gdybyś był takim chłopem?

– Pełnia szczęścia – odparł Quentin. – Nie chwytasz sedna sprawy. Zhierarchizowane społeczeństwo jest oparte na sprzężeniu zwrotnym. Warstwy wyższe czerpią satysfakcję z władzy, protekcji, odpowiedzialności, wydawania rozkazów, niższe z uległości, poczucia bezpieczeństwa, braku odpowiedzialności, podporządkowania. To quasi-rytualne zasady określające rolę jednostki.

– No a co, jeśli masz głupiego pana i sprytnego poddanego?

– Wtedy poddany ma przerypane! – wyrwał się Andy.

– Otóż to – zgodził się skwapliwie Villiers.

– Wy chyba żartujecie, ludzie – powiedziała Roxeanne z przejęciem. – A co ty myślisz, Giles? Hej, Giles!

Giles spojrział na nią i uśmiechnął się blado.

– Nie pytaj go – rzekł Andy. – On też do nich należy – to praktycznie milioner.

– A ty, Keith?

Buty uwierały Keitha tak, że ledwie oddychał, nie mówiąc już o wykrztuszeniu choćby jednego słowa.

– Nie pytaj go – rzekł Andy. – To zero. Po prostu wrak.

Roxeanne potrząsnęła głową.

– Ale przecież nie można się cofać. Nie ma możliwości. Jest na to za późno. Możesz tylko zetrzeć wszystko, zmieść z powierzchni ziemi i potem zacząć od nowa, przeobrazić wszystko.

– W którym to przypadku – powiedział Quentin śpiewnie – społeczeństwo feudalne szybko ukształtuje się od nowa. Taka rewolucja wygląda mi na ciężką harówkę. Po co tak się wysilać?

– Nie będzie tak strasznie ciężko, jeśli wszystko zetrzesz w proch. Kulturę, książki, domy, wszystko, co było dotąd, wszelkie instytucje, wszystkie *foci*...

– Wszystkie co? – zapytał Andy.

– *Foci*.

– Pierdol się – mruknął Andy, wzruszając ramionami.

– Wszelkie *foci* ludzkiej pamięci. Wymazać wszystko. Radykalnie. Wtedy moglibyśmy naprawdę zacząć od nowa.

Przez cały ranek znieczulone uszy Gilesa wyławiały tylko i wchłaniały jakieś osobliwe, oderwane słowa lub frazy – mostek... ząb czasu... koronkowa robota... plombowiec... wiercił się... Przy ostatnich słowach Roxeanne poczuł jednak, że nie może dłużej milczeć. Wyprostował się i powiedział:

– Ale co się stanie... co się stanie z nowoczesną...

Zanim zdążył wykrztusić „stomatologią”, wszedł mu w słowo Andy:

– Co tu jest grane? Hej! No co jest grane – zabrakło gorzały! Słuchajcie, o co tu biega?

W końcu Giles wyciągnął klucze od barku.

– Chryste, Giles – powiedział Andy – co to za numery? Ciagniesz z nas druta, czy jak?

– Dla mnie dzin, w zasadzie – rzekł Giles.

Kiedy Andy wyszedł pośpiesznie z pokoju, Roxeanne zwróciła się do Quentina. Jej głos był dziwnie słaby i płaczliwy.

– Która godzina? – zapytała z udręką.

– Ile jeszcze zostało dnia? – zawtórowała jej Lucy.

Quentin spojrział na zegarek, jak gospodarz, który czuje się winny niezadowolenia gości. Zegarek nie chodził.

– Niewiele – powiedział Quentin. – Niewiele.

Pijący dawno już osiągnęli fazę, którą można było z całą odpowiedzialnością określić jako stan skrajnego upojenia. Nawet stosunkowo wstrzemięźliwa Celia spożyła ponad litr mocno zaprawionego brandy koktajlu z szampana. A jednak mieszkańcy Appleseed robili wrażenie bardzo twardych zawodników. Wszystkim obniżyło się znacznie ciśnienie i temperatura, dzięki czemu różne narkotyki miały czas, by włączyć się w spowolniony proces metabolizmu. Whitehead na przykład czuł, że jego tułów jest workiem meksykańskich skaczących fasolek, Diana i Celia były przekonane, że znalazły się na krawędzi poważnej hormonalnej katastrofy, Marvell bekał z niezwykłą siłą i bez skrępowania, Lucy zaś miała wrażenie, że jest czymś duchem. W ich organizmach rozszalały się wewnątrzkomórkowe i hormonalne burze.

Marvell wlepił wzrok w zegarek.

– Och-kej – powiedział. – Wszystko w porządku? Powinniśmy lada chwila przejść na drugą stronę. Pospacerujmy sobie tylko troszkę i róbmy to, na co mamy ochotę. Może jeszcze trochę koktajlu?

Powietrze w pokoju zafalowało. Zaczęli się wysypywać na korytarz.

43. Okrutne ciało

Przez cały ranek Andy i Skip rozprawiali o meczu badmintona. Zauważywszy, że Skip ma usta białe i spierzchnięte na skutek odwodnienia, Andy perfidnie wyzwał go na pojedynek, który miałyby się rozegrać bezzwłocznie.

– No więc nie jest to żadna pieprzona amerykańska gra – instruował Skipa zwięźle, wyciągając siatkę i słupki ze skrzyni w hallu. – Nie próbuj kopać ani główkować, ani latać w kółko z lotką po boisku – żadnych takich głupot. Po prostu – machnął rakieta – walisz tym, posyłasz lotkę nad siatką i to wszystko. Okej? I uważaj, bracie, bo jestem w tym kurewsko dobry.

Diana poszła na górę, żeby obserwować mecz z okna sypialni. Zrobiła to po części dlatego, że czuła się zbyt kiepsko, by móc znieść czyjekolwiek towarzystwo, po części zaś dlatego, że mimo zamętu, jaki panował w jej uczuciach do Andy’ego, przyglądanie mu się, kiedy biega po boisku, nieświadomy, że ona na niego patrzy, sprawiało jej nadal wielką przyjemność. Zapaliła papierosa i oparła się łokciami o drewniany parapet. Gra się zaczęła.

Andy szybko zdobył pięć pierwszych punktów dzięki na przemian czystym i nieczystym zagranom, dopisywaniu Skipowi karnych punktów za „techniczne” wykroczenia, stosowaniu zmyłek przy serwach i modyfikowaniu co chwilę zasad gry według własnego uznania. Skip jednak szybko wciągnął się do gry i co więcej, okazał się nieustępliwy, jeśli chodziło o najbardziej wredne triki stosowane przez Andy’ego przy obliczaniu punktacji. Przy stanie 6:6 Andy nie był już bynajmniej wzorem opanowania i kiedy mały Keith wytoczył się z domu, by podziwiać grę, Andy zaproponował mu ponownie, żeby spierdalał, zamierzając się na wystraszonego Whiteheada rakieta.

Obserwującej mecz Dianie zarówno Andy, jak Skip wydawali się tak

samo mocni i niewprawni, podobnie dynamiczni i nieskoordynowani. Rozebrany do pasa Andy wyglądał nieco bardziej efektownie z fruującą grzywą gęstych włosów i lśniącymi od potu opalonymi plecami i ramionami. Poza tym po każdym udanym zagranu wołał: „Taaa!” i buczał szyderczo, kiedy Skip wymusił na nim zagranie nieudane. Przy całej swojej rzucającej się w oczy tężyznie Andy wyglądał na siedemnaście lat. Skip, w okularach, w podkoszulku i szortach koloru khaki, był znacznie bardziej opanowany, grał z zaciśniętymi ustami, jego ciało zaś miało w porównaniu z ciałem Andy’ego jakąś metaliczną twardość i połysk i poruszało się tak, jakby manipulowały nim naprężone sznurki – była w nim jakaś nieprzyjemna ostrość, chłód i okrucieństwo.

– Johnny – powiedziała Diana.

Po długiej, hałaśliwej rozgrywce, w której przewagę uzyskiwał na zmianę to jeden, to drugi gracz, Andy złamał raketę na kolanie i pomaszerował w stronę domu, odprowadzany niewyrażającym żadnych uczuć spojrzeniem Skipa. Diana patrzyła, jak głowa Andy’ego, podskakując, znika z pola widzenia. Uśmiechnęła się złośliwie i spojrzała znów na środek trawnika, gdzie jej wzrok spotkał się ze wzrokiem Amerykanina.

44. Wojny i cały ten szajs

– Trudno mi uwierzyć w te naiwne brednie – rzekł Marvell. – Kim ty jesteś, jakimś pierdolonym dzieckiem-kwiatem, czy jak?

Giles nie odpowiedział.

– Słuchaj – rzekł Andy. – Słuchaj – powtórzył, naprężając ramiona, tak jakby zamierzał podnieść jakiś ogromny ciężar. – Człowiek zawsze stosował przemoc. Dopiero od kilku lat uświadamiamy sobie, że mógłby tego nie robić, a jednak mamy pieprzone wojny i cały ten szajs, Wietnam

i tak dalej. Agresja jest wrodzona, jest sposobem odczuwania własnej jaźni, potwierdza vitalność, wyraża życie z całą jego twórczą energią. Bo zachowanie agresywne jest aktem twórczym.

Giles zmarszczył brwi.

– No ale jeśli podejdziesz na ulicy do jakiejś biednej staruszki i walniesz ją pięścią prosto w...

– O Jezu, co to za hipis! – jęknął Andy. – Coś ty wymyślił za kretyński przykład! To nie agresja, a raczej znęcanie się nad słabszym.

Giles zmarszczył się jeszcze bardziej.

– Ale czy to, czego ty chcesz, nie jest przypadkiem... anarchią? Chodzi mi o to, co stanie się z prawem, policją, strażakami i dentys...

– Zgoda, i to wszystko jest potrzebne – rzekł Andy, zaplatając ręce na brzuchu. – Ale nie powiesz chyba, że gdybym wziął cię teraz na dwór i spuścił ci wpierdol, poleciałbyś do wsi na policję, co? – Andy wychylił się ostrzegawczo do przodu.

Giles przełknął ślinę.

– Nie, na pewno nie, Andy.

– No więc, sam widzisz...

Ach te rozmowy.

– Ej ty... Trip, Flap, czy jak ci tam, kurwa...

– Skip – powiedział Skip.

– Skip. Jasne. Lubisz się bić, dopierdalać zwierzętom, rozpieprzać różne rzeczy i w ogóle, no nie?

– Jasne. Człowiek lepiej się czuje.

– Jasne. Czy ja się mylę, Marvell?

– Nie, nie mylisz się – odparł Marvell.

– Jasne. Jasne, kurwa, jak słońce. – Andy wyprostował się i zwrócił się wyniośle do Gilesa: – Widzisz?

Giles był człowiekiem udręczonym. To, co mówił Andy, potwierdzało jak gdyby jego okazjonalne lęki dotyczące tego domu, irracjonalne poczucie zagrożenia, jakie dopadało go w rzadkich momentach trzeźwości. Nie

wiedział, co go właściwie przeraża: pojawiające się znienacka cienie na schodach, puste wnęki, z których dobiegał szmer prowadzonych półgłosem rozmów, wrażenie, że wszyscy w tym domu są tak naprawdę martwi, związane z tym miejscem poczucie zawieszenia, tymczasowości. Giles pamiętał grozę, jaka go ogarnęła, gdy pewnej nocy podsłuchał naćpanego Andy'ego monologującego o tym, jak to zaszlachtuje państwa Tuckle... „Potem wezmę ten wielki pieprzony rzeźnicki topór – mamrotał Andy do siebie – i wepchnę jej te wszystkie mrówki i inne paskudztwo do cipy. I wyrwę jej zęby obcęgi. I zaszyję jej usta. «Błagania nic nie pomogą, panie Tuckle. Niech pan łaskawie siądzie, sir, a ja tymczasem wybiorę odpowiednie haki do mięsa»”. Dreszcz grozy, dreszcz grozy, dreszcz grozy. Giles wycofał się cichaczem do pokoju i nie wychodził stamtąd przez pięć dni.

– Andy – powiedział – jeśli będziesz mnie chciał uderzyć, nie bij mnie, proszę, w twarz. Dobrze? Wszędzie, tylko nie w twarz. Zapłacę ci, żebyś nie...

Andy pochylił się ku niemu i zmierzwił mu włosy.

– Nie martw się, cykorze – rzekł. – Jeszcze nie twoja kolej.

– Dziękuję, Andy. – Giles podniósł się, żeby wyjść.

– Hej, Andy!

– Tak? Czego chcesz, Rip?

– Skip – poprawił go Skip.

– Jasne – powiedział Andy.

– No więc, czemu to nie chciałeś, żebym kopnął tę jałówkę?

– Jaką jałówkę?

– Tę wczorajszą jałówkę.

– Ach, tę krowę! Bo... bo była kompletnie spierdolona i miała odwagę nas zaatakować, więc powinno się ją traktować z respektem.

– Chciałem jej wpierdolić jeszcze bardziej.

– No a ja nie chciałem, żebyś to zrobił, kapujesz?

– Chciałem ją zabić.

Andy zmierzył Skipa spojrzeniem.

– No tak, można się tego było spodziewać po facecie, którego tatuś zaciukał mamusię.

– Że co?

– Można się było tego spodziewać po facecie, którego ojciec zabił matkę

– powtórzył Andy tym samym tonem.

Wszystko zmieniło się tak nagle jak w filmie po cięciu. Andy leżał na wznak na dywanie, a Skip siedział mu okrakiem na piersi, zaciskając pobielale w stawach palce na jego gardle.

– Au! Zabierzcie go...

Szczęśliwie w mniejszym saloniku Quentin, który dumał nad jakimś tekstem Rousseau, usłyszał odgłosy walki, wbiegł do salonu, ściągnął razem z Marvellem Skipa z rzucającego się jak ryba Andy'ego i pchnął go na sofę.

– Słyszeliście, co powiedział! Słyszeliście! – wrzeszczał Skip, a tymczasem Marvell pobiegł do kuchennej wnęki. Po chwili wrócił, szykując pośpiesznie strzykawkę.

– Chryste – powiedział. Wbił igłę w ramię rzucającego się Skipa. – Kurwa, Andy...

– Słyszeliście, co powiedział – jęczał Skip, a łzy tryskały mu spod zamkniętych powiek. – Słyszeliście...

– Lepiej dam mu też coś, żeby zapomniał – wycedził Marvell przez zaciśnięte zęby.

Po chwili świadomość Skipa wyparowała i uleciała z pokoju.

– Co się, na Boga, stało? – zapytał Quentin.

Marvell wyjaśniał mu, a tymczasem Andy pozbierał się z podłogi. Stwierdziwszy z wyraźną ulgą, że poza Marvellem i Quentinem nie ma w pokoju nikogo, z ponurą miną otrzepał się z kurzu.

– Jeszcze tylko nam, kurwa, brakuje, żeby znalazł list – powiedział Marvell.

– List?

– No ten od jego pieprzonego ojca. Jest w naszym pokoju. Mówiłem wam o nim. Jak go teraz zobaczy, to dostanie kompletnego pierdolca.

– Ach tak, rzeczywiście. Lepiej daj ten list mnie – rzekł Quentin. – U mnie będzie bezpieczny. Jak będziecie wyjeżdżać, oddam mu go. Jakież to fascynujące. Słuchaj, powiedz mi...

Kiedy tak konferowali, Andy podszedł do sofy i stanąwszy do nich plecami, położył dłoń na czole Skipa, jakby mierzył mu temperaturę.

– Mam nadzieję, że nic mu nie jest – mruknął. Głos mu lekko zadrżał, bo kiedy to mówił, uszczypnął jednocześnie leżącego z całej siły w pokiereszowane ucho. – Wyjdzie z tego – powiedział, wycierając zakrwawiony paznokieć w koszulę Skipa. – Wydaje mi się, że z tego wyjdzie.

45. Billet-doux

Tymczasem mały Keith szlochał głośno w zacisznym azylu korytarza na tyłach domu. Potraktowany tak fatalnie, czując, że jego nogi eksplodują, wrócił do swej klatki, gdzie za pomocą szczypiec, dłuta i małego młotka ściągnął rozpalone buty z nóg. Teraz siedział oparty plecami o ścianę, a z jego piersi wydobywał się stłumiony, przeciągły jęk bólu. Czarna krew spływała mu po goleniach.

Obok Whiteheada leżał na podłodze list z seksualną propozycją, *billet-doux*, który Keith wysmażył, aby oczarować Lucy Littlejohn. Podniósł go i przeczytał jeszcze raz uważnie – i bez zakłopotania. List nie miał ostatecznie żadnej z wad typowych dla tego rodzaju epistoł. Nie był zbyt namiętny, przerafinowany, kwiecisty ani przegadany. Przeciwnie, był to prozaiczny – pod względem stylu niemal urzędowy – opis jego obecnej sytuacji, z dodatkową klauzulą, w której Keith informował, że popełni

samobójstwo, jeśli ona, Lucy, nie ulży jego doli, idąc z nim do łóżka. List zaczynał się od słów „Droga Lucy”, a kończył formułką „Szczerze oddany”.

„...kwota dziewiętnastu funtów i siedemdziesięciu pensów. Jest rzeczą absolutnie konieczną – czytał Keith na głos – żebyś powiadomiła mnie o swej decyzji w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin. Dziękuję. Szczerze oddany, Keith (Whitehead)”.

– To ją ruszy – powiedział do siebie, podnosząc się niezdarnie z ziemi. – O tak, te nawiasy muszą na nią podziałać. – Uklęknął przy łóżku i złożył ręce, jakby szykował się do jakiejś nieformalnej modlitwy. – Tylko pewność siebie działa na te dzisiejsze dziewczyny – powiedział płaczliwie przez zatkany nos.

– Błagam cię, Boże – ciągnął – oszczędź mi tego wszystkiego. To nie w porządku zwałać tyle na jednego człowieka – na kogokolwiek, nie mówię tylko o sobie. Wciąż nie mogę uwierzyć, że jednak to się naprawdę zważyło akurat na mnie. Myślę, że tylko dzięki temu jeszcze jakoś funkcjonuję. Och, wspaniale, fantastycznie. Dlaczego nie dadzą mi wreszcie spokoju, chciałbym to wiedzieć. – Keith rozejrzał się dokoła. – Nie mam już siły. – Spojrzał na swoje stopy; nawet jego szokował ten widok. – Ja się rozpadam. Ja już nie mogę. I kto mi to wszystko robi? Kto?

No cóż, żal nam cię oczywiście, Keith, ale niestety tak już po prostu musi być. Nie ma w tym nic osobistego – zrozum, proszę – to wszystko tylko na potrzeby tej konkretnej powieści. Właściwie sprawy przybiorą jeszcze znacznie gorszy obrót, tak że zatęsknisz do Instytutu, a nawet do domu przy Parky Street w Wimbledonie i rodziny, której tak nienawidzisz. Sprawy zaszły już zdecydowanie za daleko, żebyśmy się za tobą u kogoś mogli wstawić. Musisz to znieść. W końcu wszystko będzie dobrze. A teraz idź i połóż się na swojej pryczy.

Keith leżał na wznak na swej pryczy – płasko, jak masło rozlane na

gorącej grzance, a jego ciało zatapiało się rozkosznie w fałdach koca i kołdry. Kiedy usłyszał dochodzące z zewnątrz kobiece głosy, przelało się bliżej ściany. Na stoliku, obok blaszanego pudełka z tytoniem, leżała pognieciona brązowa koperta. Zawierała ponaglenie od Komisji do Badań nad Zaawansowaną Dietą. Whitehead wyciągnął pismo i wsunął do koperty swój *billet-doux*.

– Ach, pierdolić to – powiedział, przekreślając swoje imię i nazwisko i wpisując zamiast niego Lucy (Littlejohn).

46. Ciemne szyby

Rozejrzawszy się dokoła, Giles stwierdził, że jest w swojej sypialni. Odkrycie to sprawiło mu nawet pewną przyjemność. Podszedł wolnym krokiem do lodówki. Zaczął nucić pod nosem. Wyjął z oszronionego zamrażalnika wysoką szklankę dzinu i whisky Southern Comfort, drinka, z którym jeszcze nie eksperymentował, a właściwie o którym dotąd nie słyszał. Pogwizdywał nawet cichutko. Cienie zaczęły wylazić z kątów.

Pociągnął łyk ze szklanki i podniósł ją, żeby obejrzeć trunek pod światło.

– Hej! To całkiem... – Pociągnął znów i znów podniósł szklankę. – To całkiem... niezłe. – Jeszcze jeden łycek.

Przechodząc przez pokój, przypomniał sobie o swoim codziennym liście do pani Coldstream. Zatrzymał się raptownie i kolana ugięły się pod nim. Jego twarz zastygła w delirycznym osłupieniu.

Co miał jej napisać, co mogło się dziś zdarzyć, co mogło się jeszcze zmienić, co można było zrobić, żeby zdarzyło się coś nowego, co można było jej jeszcze napisać?

– Kochana Mamo – powiedział. – Wychodząc, o mało nie spadłem ze schodów. Cudem udało mi się nie spaść. Kochana Mamo, Luigi nie był

pewien, którzy jechać z powrotem, i musieliśmy zapytać jakiegoś przechodnia. Na szczęście wiedział! Kochana Mamo, wszyscy już wstali, kiedy wróciłem, i była najwyższa pora! Kochana Mamo, piłem przez cały dzień. Dlaczego? Kochana Mamo, ja tu umieram, i to błyskawicznie. Kochany Zębie, jestem dźnięciem, koronką, wiertłem.

Usiadł przy biurku. Nieśpiesznie ułożył w określonym porządku słoik z ołówkami 15B, blok korespondencyjny z papierem formatu A-4, niecierpliwą szklankę. Piętnaście minut później skończył list pełen tak typowo synowskich ozdobników, jak podły nastrój, apatia, całkowity brak zrozumienia lub współczucia ze strony innych, podszyte sarkazmem deklaracje gorących uczuć, eksplozje sztucznego rozbawienia i jałowe roztkliwianie się nad sobą. I to wszystko rozciągnięte jak pismo jakiegoś olbrzyma na jedenastu rzadko zapisanych stronach. Giles wcisnął ów zwój do koperty, zadowolony ze swego dzieła. Za oknami popołudnie wycofywało się w stronę wzgórz, sprawiając, że światło rozjarzyło się w ciemnych szybach jakiegoś podwodnego spichrza na odległej farmie.

Rozejrzawszy się dokoła, Giles stwierdził, że jest w swojej łazience. Odkrycie to nie sprawiło mu specjalnej przyjemności. Onieśmielał go biały porcelit i twarda stal. Gapił się sennie w lustro, nie widząc przecinającego je na ukos, wykonanego kremem do golenia napisu.

– Uzdrów mnie. Uzdrów mnie – wyszeptał.

W końcu spostrzegł słowo *Johnny*. A potem zobaczył rzecz straszną: replikę swoich zmiażdżonych ust, usmarowanych czyimiś smarkami, śliną i krwią. Giles zemdłał i zatoczywszy się w bok, runął na gruby dywan.

47. Coś w miarę trwałego

– Myślę, że z czasem można się przyzwycząić do wszystkiego – powiedziała Lucy i spłynęła niczym przelewający się jedwabny szal na trawnik. – Ale wolałabym się poczuć lepiej już teraz.

– Ja też – rzekła Diana. – Czuję się koszmarne.

– Masz piękną bluzkę, Lucy – zauważyła Celia. – Czy to tajski jedwab?

– Aha. Kupiłam ją w La Soeur.

– O Boże! – zdumiała się Diana. – Skąd miałaś tyle pieniędzy?

– Z kurewstwa.

– Z kurewstwa – powtórzyła jak echo Roxeanne. – Kurwiłam się kiedyś na Stripie. Obciągałam fleta. Faceci byli naprawdę wniebowzięci, bo nie brałam forsy.

– Dlaczego? – zapytała Lucy.

– Miałam dość swojej.

– Jacy to byli mężczyźni? – zapytała Celia.

– No wiesz, po prostu mężczyźni. Zdaje się, że to był element jakiegoś eksperymentu Marvella.

– To ciekawe – powiedziała Diana. – Dlaczego to robiłaś?

– Dla zabawy.

Celia zmarszczyła brwi.

– Myślę, że byłoby mi bardzo trudno robić to z kimś, kogo przynajmniej trochę nie lubię. – Nagle rozchmurzyła się. – Wiecie, że chyba nigdy nie przespałam się z kimś, do kogo nie czułam sympatii? – skłamała.

– Ja też nie – skłamała Diana.

– W moim zawodzie musisz to robić – powiedziała Lucy. – Wymagają tego od ciebie faceci, którzy przeważnie ci się nie podobają. Dla zabawy? To koszmar. Czasem leżę na wznak, liczę kropki na tapecie i myślę o... pieczeni wieprzowej albo o czymś innym, a jakiś mały żółtek wiję się na mnie jak robak i wtedy uświadamiam sobie, że to jest piekło. Bo to jest piekło. Człowiek myśli, że właściwie to tylko inny kolor włosów, oczu, inne palce u nóg. A jednak się przejmuję. To cholerna robota. Dobrze, że mam takie miękkie serce. No, ale zawsze to lepsze, niż być maszynistką.

– To prawda. I nie sądzę, żeby była jakaś zasadnicza różnica – rzekła Diana. – Przypuśćmy, że jakiś facet zaprasza cię na kolację za czterdzieści funtów i tak dalej. Czujesz się jak ostatnia idiotka, jeśli nie skorzystasz. To logiczne. Większość ludzi nienawidzi tego, co robi. A robi to przez całe życie. To logiczne, że płacą ci za to, co lubią robić, mimo że w ostatecznym rozrachunku jest to byle jakie pieprzenie. A z tym protobiotycznym świństwem nie może się przydarzyć nic specjalnie złego.

– Nic specjalnie złego – powtórzyła Lucy. – Człowiek chciałby czegoś więcej, niż żeby mu się nie przydarzyło nic specjalnie złego.

– Nie jest to takie trudne – odezwała się Celia łagodnie. – Ja już przez to przeszłam i czasem mi się zdawało, że nigdy nie będę mogła tego powtórzyć. A jednak można to zrobić.

– Nie znam nikogo, kto mógłby to zrobić po raz drugi – rzekła Lucy – a już ja nie mogłabym za cholere.

Ach, te rozmowy.

– Tak samo jest ze mną – powiedziała Diana. – Gdyby tylko kobiety odczuwały znużenie seksem... Ale one najwyraźniej odbierają to inaczej niż mężczyźni. I nie możesz pozostawać za wszelką cenę z kimś, kto cię nie pragnie.

– Kto cię nie co? – zapytała Roxeanne, marszcząc brwi i podnosząc ręce w dziwnym, jakby błagalnym geście, żeby napiąć mięśnie biustu. – Jeszcze chwila, a powiesz, że kobiety są z natury monogamiczne.

– No, ja jestem – powiedziała Celia.

– Wybacz mi, Celia – rzekła Roxeanne – ale wydaje mi się, że to ty masz prawdziwy problem. Ta cała heca ze ślubem i tak dalej. I pomyśl o bachorach, pomyśl o...

– Nie o to mi chodziło. Chciałam, żeby to było coś poważnego i w miarę trwałego.

– Mnie chodziło o to samo – rzekła Lucy.

Diana patrzyła na trawnik. Poczowała lekki żal, ale szybko otrząsnęła się z przygnębienia. Kiedy znów odwróciła głowę, Lucy uśmiechała się do

niej. Diana odwzajemniła uśmiech.

– Pieprzył mnie gruby, pieprzył mnie chudy – mówiła Lucy, zamykając za sobą drzwi toalety – pieprzył mnie łyсы, pieprzył mnie rudy. Pieprzył mnie...

Whitehead zaklinował się na pierwszym stopniu schodów. Jedną ręką trzymał się za poręcz, w drugiej dzierzył brązową kopertę.

– O, cześć, Keith. Co ty tu robisz?

– Lucy, napisałem list do ciebie – rzekł Keith.

– Cudnie.

– Może przeczytasz?

– Okej.

Kiedy czytała, mały Keith przyglądał się jej bacznie. Przebiegła szybko list oczami i z jej ust wyrwało się mimowolne, zduszone parsknięcie. Potem spoważniała i jeszcze raz przeczytała uważnie list.

– No i? – zapytał Keith.

Lucy podeszła do niego. Ujęła jedną z jego prawie bezpalcych dłoni.

– Nie? Nic z tego? – zapytał matowym głosem.

Potrząsnęła głową.

– Jesteś przynajmniej szczerą. A tak nawiasem mówiąc, zapytam z czystej ciekawości: czemu nie? Nie mam dość forsy, czy chodzi o to, że to ja?

Lucy pochyliła się ku niemu.

– Powiem tylko tobie – szepnęła. – Heroina. Od roku. Ja umieram.

– Ale przecież twoje... Nie masz żadnych... – Keith wpatrywał się w jej nagie ramię.

– Tu nie mam, ale mój tyłek wygląda jak sito.

Keith poczuł do niej głęboką wdzięczność, że właśnie jemu się zwierzyła.

– Dlaczego to robisz? Nie możesz już odstawić?

– Nie. Więc jak sam widzisz, z seksem koniec. Już po seksie. To jedna

z dobrych stron brania.

– Ach, pieprzyć to – powiedział Keith. – Już i tak mi nie staje.

Roześmiali się oboje.

– To właśnie miałam na myśli. Wszystkie te sprawy... – Lucy wykonała nieokreślony gest – to dla mnie za wiele. Popatrz na nas: możesz nas sobie wyobrazić starych?

Keith rozważał problem przez kilka sekund.

– Ani rusz – powiedział w końcu.

– W żaden sposób – zgodziła się z nim Lucy.

48. Ostatnio

Dotarłszy do końca podjazdu, Diana odwróciła głowę, żeby upewnić się, czy Andy idzie za nią. Usłyszała, jak trzasnęły drzwi frontowe, i zobaczyła go, biegnącego truchcikiem. Spojrzała ponad nim na budynek probostwa. Martwa faktura bielonych ścian odbijała się jeszcze wyraźniej na tle popołudniowego, burzowego nieba.

– Dobra, dobra – powiedział Andy.

W ciągu paru ostatnich tygodni tak rzadko zostawali sami, że czuli się trochę nieswojo, idąc teraz razem po rozgrzanym asfalcie. Diana szła ze zwieszoną głową i z rękami założonymi na piersi. Andy'ego męczyła nieznośna jasność umysłu. Podczas meczu badmintona wypocił koktajle, a hasz, który bezustannie palił, podziałał na jego zmaltretowany organizm jak dawka tlenu. Mijały minuty. Aby uprzedzić – albo choć trochę odwlec – nudne uwagi Diany, rzekł nagle:

– Ci Amerykanie mnie dołują. Jak tylko nadarzy się okazja, spuszczę któremuś manto. Mówię całkiem poważnie.

– Tak jak poważnie wypieprzyłeś Roxeanne?

Aż przystanął zaskoczony. Zapomniał już, że Diana wie o całej sprawie.

Postanowił zignorować jej uwagę.

– A zwłaszcza temu wysokiemu skurwysynowi, temu, co ma takie kretyńskie imię. Rap. Taa. Słuchaj, mogę się założyć, że to oni podrzucili ci tę kartkę, tę na łóżku. Nie uważasz? Gdybym im to mógł udowodnić, urządziłbym im bal! Co o tym myślisz?

Wyprowadził bez większego zapału kilka ciosów w powietrze. Diana szła dalej.

– Kurwa, Diana, mówiłaś, że chcesz pogadać.

– Przepraszam. Zaczekaj tu chwilę, Andy. To nie potrwa długo.

Andy przystanął przed sklepem, burcząc coś pod nosem. Zakazano mu tu wstępu po tym, jak przed dwoma miesiącami upadł pijany na wielką piramidę puszek z fasolką, a potem spoliczkował starszego pana, zastępcę kierownika, i pogonił go dookoła sklepu, bo... bo... Andy nie mógł sobie przypomnieć, za co właściwie uderzył faceta. Zlustrował wzrokiem ulicę, wypatrując miejscowych włóczęgów – a zwłaszcza Godfrey'a de Tauntona, beznogiego żebraka, który ostatnio podpadł mieszkańcom Appleseed (i dostał potężne lanie od Adorna), kiedy znaleźli go, śpiącego, w komórce na węgiel.

– De Taunton – mruknął Andy – Lepiej się tu dziś nie pokazuj. – Popatrzył w drugą stronę, osłaniając oczy dłonią. – Tyle ci powiem.

Diana wynurzyła się z minimarketu. Andy zauważył z nowym przypływem niechęci i znużenia, że wciąż jest zgarbiona i zatroskana. Ruszyli w powrotną drogę. Szli, powłócząc nogami, ociężałym krokiem, jaki pojawia się zawsze, kiedy już padną pewne słowa. Andy miał ochotę puścić się biegiem, fiknąć kozła, skakać w górę, wpaść do pubu, wrzeszczeć.

– Możemy tu na chwileczkę usiąść, kochanie? – zapytała Diana, wskazując ruchem głowy na drewnianą ławkę cofniętą o kilka jardów od drogi i ukrytą częściowo za zasłoną liści wiązu usychającego na piaszczystym poboczu. Ławka, jak teraz zauważyli, pokryta była gęstym deseniem miłosnych graffiti autorstwa miejscowych wyrostków... Billy

pdoli Jane, Susan pli Emily, Tom pierdoli Cynthię, Chris p Petera. Andy skrzywił się z niesmakiem, spostrzegłszy o wiele głębszy i jednocześnie zatarty napis Peter ko Anne.

– Wspomnienia, co? – zapytała Diana.

– Jakie wspomnienia? Żadne wspomnienia.

– Nie wiem. Chryste, jak długo ty wycinałeś takie rzeczy na ławkach?

Andy wzruszył ramionami.

– Nigdy nie wycinałem.

– No więc jak długo jeszcze będą cię denerwować takie rzeczy? Że też masz czas o tym myśleć.

Andy znów wzruszył ramionami. Wyjął z kieszeni swój wielki scyzoryk o niezliczonych ostrzach i zaczął bezmyślnie zestrugiwać napis Peter ko Anne.

– Nigdy nie miałem na to czasu. Wydaje mi się, że zawsze byłem taki, jak jestem teraz, zawsze żyłem tak jak teraz. Takie przynajmniej mam wrażenie.

– Nie zależy ci już na mnie, kochanie, prawda?

Andy nie odwracał się do niej. Na początku lubił, kiedy mówiła mu „kochanie”. Zauważył, że ostatnio to słowo przyprawia go o dreszcz, jakby go przerażało. Zawahał się, a potem poczuł, że ogarnia go jakaś tępa determinacja. Zaczął głębiej wbijać scyzoryk.

– Trochę mi zależy. Nie tak bardzo. Nie wiem. A tobie?

– Też nie wiem. Coś do ciebie czuję. Coś nieokreślonego. Nigdy nie byłam z nikim tak długo jak z tobą.

– To tak jak ja.

– Chcesz o wszystkim zapomnieć?

Wzruszył ramionami.

– To zależy od ciebie.

– Nie, to nie zależy ode mnie.

Znów wzruszył ramionami.

– Nie mam nic przeciwko temu, żeby to ciągnąć dalej. I patrzeć, co

będzie.

– O Boże, i nic więcej? Co się stanie z nami wszystkimi?

– Poddaj się biegowi spraw – powiedział Andy, nie mogąc uwierzyć własnemu szczęściu. Jeszcze nigdy nie widział Diany tak zdeprymowanej i pozbawionej agresji, tak niepewnej.

– Między Quentinem i Celią jest coś więcej.

– No tak... Daj mi eee... – Pstryknął palcami. – No, tego, kurwa, papierosa. O Jezus. Quentin i Celia – rzecz w tym, że czasem ludzie ciągną tak długo, aż są zbyt spierdoleni, żeby coś zmieniać. I nie mogą znieść samotności. I ogarnia ich melancholia uliczna albo mają napady fałszywych wspomnień. Kiedy to się staje, człowiek trzyma się kurczowo tego, z kim akurat jest. Nie wydaje mi się, żeby miało znaczenie, kim jest ten ktoś.

– Już mnie nie pieprzysz. Nawet mnie nie bijesz.

Andy naparł mocniej na nóż.

– No właśnie to mam na myśli, kiedy mówię o zmęczeniu. Człowiek ma dość cipiek.

– Tu chodzi o moją cipkę.

– Bez urazy, Diana. To po prostu cipki i tyle. W ogóle ostatnio nie chce mi się pieprzyć. Mam to już za sobą. – Odłupał ostatni wiór i wyprostował się. – Może umrzemy razem. Wszystko zaczyna zwalniać w moim życiu. Za daleko się już zapędziłem.

– Chcę czegoś więcej.

– Więcej numerków?

– Nie, po prostu czegoś więcej. Niewiele więcej, ale jednak.

Wzruszył ramionami.

Diana rzuciła niedopałek na ziemię. Choć zbierało jej się na płacz, głos miała dźwięczny, zdecydowany. Spojrzała na pozacierane napisy.

– Nie uważasz, że popełniliśmy kiedyś, dawno temu błąd i dlatego kończymy w ten sposób? Że coś potoczyło się nie tak i dlatego jesteśmy teraz jak martwi... kochanie?

Andy wstał z ławki.

– Może wrócimy?

– Wrócimy? Ach, do domu? Pewnie. Jasne.

49. Obłądne miejsce

Andy powrócił akurat w porę, żeby przerwać dyskusję o biseksualistach. Marvell wypytywał właśnie Whiteheada o jego skłonności, ale mały Keith zamilkł nagle, kiedy zobaczył Andy'ego kroczącego zamasyście przez trawnik.

– Cały ten camp i uniseks to jeden wielki szajs – powiedział Andy. – Gadka-szmatka. Wszystko to pamiętam z czasów, kiedy byłem dzieckiem. Jeden wielki blef – oszustwo wymyślone przez pedałów. Wkurwia mnie to.

Marvell parsknął śmiechem.

– Czy możesz uczciwie powiedzieć, że jesteś heteroseksualistą?

– Są dwa rodzaje biseksualności – powiedział Quentin. – Homoseksualiści i paskudni heteroseksualiści.

– No dobra, ja jestem pieprzonym heteroseksualistą – rzekł Andy.

– Andy, czy uświadamiasz sobie, że mówiąc to, ograniczasz swoje relacje z ludźmi do zaledwie połowy ludzkiej rasy?

– Trujesz. To hipisowski kit, chłopie.

– Naprawdę chcesz się tak ograniczać?

– Tak, chcę – odparł Andy.

– Nie pamiętasz już, co mówiłeś o Konceptualistach? Pomyśl o tym, Andy. Zgadzamy się przecież, że w seksie nie ma już dziś erotyzmu? Że seks jest czysto cielesny – konceptualny – związany tylko z pewną geometrią i fizycznymi doznaniem?

– Taa.

– I że „inny” seks jest raczej kwestią wyboru niż popędu.

– Aha.

– I że zboczenie jest uzasadnione – nie, wręcz pożądane – przez środowisko kształtowane teraz wyłącznie przez mężczyzn, całkowicie wyprane z biologii?

– Tak jest.

– To dlaczego negujesz to, zapisując się do bloku jednej płci? – zakończył Marvell.

– Po prostu nie cierpię zboków – powiedział w zamyśleniu Andy.

Marvell wysmarkał krwawego gluta na trawnik, otarł nos wierzchem dłoni i zaniósł się pijackim śmiechem.

– Słyszałeś o barze „Ciało” w Santa Barbara? Nie? Obłędne, kurwa, miejsce! Kelnerzy i kelnerki są nadzy, niech mnie szlag, a pierdolenie jest wliczone do rachunku. A wiecie, jakie tam są numery? Możesz zamówić cipolód do drinka. Naprawdę. Ma nie tylko zapach cipy, ale prawdziwy sok w środku. Mają też... mają mleczny koktajl z kobiecego mleka, sucharki w kształcie szparki i lizaki w kształcie kutasów... I jeszcze lody o dupowym smaku. Obłęd. – Marvell znów smarknął krwią na trawę. Wytarł nos grzbietem dłoni i zaniósł się pijackim śmiechem.

– Nie „dupowym” tylko „dupnym” – poprawił go Andy, przewracając się na brzuch. – „Dupnym”.

Ach, te rozmowy.

Marvell kiwał się w drzwiach kuchni.

– Okej – powiedział, zamykając je za sobą bezszelestnie, i podszedł do Skipa, który stał przy kuchence. Wręczył mu jakiś mały przedmiot. U ich stóp Mandaryn mruczał chrapliwie, wżerając się w górę karmy wsypanej do wielkiej miski.

– Dobra – rzekł Marvell. – Wsyp mu to do tej pieprzonej michy. Wsyp mu, kurwa, wszystko.

Skip przykucnął, chichocząc.

- Żre?
- On... Jasne – odparł Skip.
- Pierdolone kocury. Możesz go skopać, potem dać mu żreć, a on wciąż cię uważa za jakiegoś pieprzonego boga. No nie?
- Aha.
- No dobra. Chodźmy. Obejrzyjmy premierowy pokaz.
- Czyj to był kot, Marv? Wiesz, czyj on był?
- Zostaw drzwi otwarte. Tak, żeby mógł wyjść. Chyba Celi. Tak, to był chyba kot Celi.

^[2] Ang. *blackheads* oznacza węgry (przyp. tłum.).

L Celia

Kiedy Celia Evanston miała siedemnaście lat, jej macocha, lady Aramintha Leitch, wciągnęła ją do pokrytej freskami alkowy swego rzymskiego apartamentu i wręczyła swej pasierbicy kluczyk do nowego jaguara, obdarowując ją jednocześnie mieszkaniem przy Cheyne Walk w Chelsea i dziesięcioma tysiącami funtów rocznej pensji, pod warunkiem że Celia nie będzie się przystawiać do instruktora jazdy na nartach wodnych, którego lady Leitch aktualnie poiła alkoholem na zalanym słońcem patio. Celia, z rękami w kieszeniach dzinsów, patrzyła, mrugając, w przesadnie opaloną twarz macochy.

– A skąd ci przyszło do głowy, że on mi się podoba?

– Kochanie, rzecz w tym, że Giovanni i ja chcielibyśmy być trochę sami.

– A dlaczego sądzisz, że ja mu się podobam?

– Bóg jeden wie, jak naprawdę jest, ale ja myślę, że właśnie tak. – Lady Leitch wetknęła papierosa pod górną wargę; kiwał się tam i tańczył, kiedy macocha zaczęła wypytywać Celię, dlaczego nie zrobi czegoś ze swoją cerą, postawą, a przede wszystkim z włosami. – I dlaczego jesteś taka gruba?

– Dużo jem. I o co tyle krzyku z tym Giovannim, skoro jestem taka wstrętna?

– Masz szesnaście lat. Nie chodzi o to, czy on chce, ale o to, że wie, że mógłby.

– A co z tobą?

– No nie. Tego już za wiele. Wynoś się. Sio. Sio. Sio!

Przez dwa lata Celia obracała się w kręgach młodych londyńskich dekadentów, wydawała przyjęcia dla gówniarzy w atłasowych pumpach i dziwek w neonowych stanikach, jadała w Tastes i Casa Ari u boku kutasów z przypudrowanymi włosami i zdzir w trzyczęściowych prążkowanych kostiumikach, chodziła do Sereny i do Poor uwieszona u ramion sukinsynów w trzewikach na podwyższonym obcasie lub w towarzystwie różnych fląder w ażurowych rajstopach. Wstawiała o jedenastej, ekshumowała alfonsiaka, jeśli takowy zaległ w jej łóżku, ubierała się ze starannością dziewczyny świadomej, że nie jest nadzwyczaj urodziwa, a potem do wpół do pierwszej spijała kolejne krwawe Mary z grubymi fryzjerami i zdegenerowanymi antykwariuszami w dyskretnie oświetlonych restauracjach Chelsea, a potem jadła lunch w wybranym lokalu w towarzystwie fotografów-tandeciarzy, modelek, których zasób leksykalny nie przekraczał stu słów, głupawymi podstarzałymi projektantami mody i wrednymi menedżerami zespołów rockowych. Po południu krążyła po Fulham Road, wypatrując nieletnich, straganów ulicznych i kafejek, chłopców z prywatnych szkół w pierwszych aksamitnych garniturkach, prostaków z przedmieść z nastroszonymi piórami, początkujących pedałów w przezroczystych ciuszkach. Zjadała kolację w restauracji parkowej albo nad rzeką, z podobnym zestawem kombinatorów, durniów i kurew, a potem zanurzała się w ciężkim, bezdźwięcznym, kojarzącym się z kryptą przepychu starannie wybranego night-clubu, gdzie cyniczni nieznajomi wymieniali stare modelki na młode, a cwane prostytutki, załatwiając się, zachowywały kilkucalowy dystans między sedesem a swoim ciałem. Koka do trzeciej, seks do czwartej.

Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo było to wszystko obce jej uległej i podatnej na wstrząsy naturze, dopóki nie wtargnął nagle w jej życie Quentin. Nie miała innego życiowego drogowskazu oprócz pieniędzy; rodzaj egzystencji, jaką prowadziła, narzucały i podtrzymywały pieniądze, określały i identyfikowały pieniądze. Jej życie wiązało się

ściśle z potencjałem pieniądza.

Celia nie wiedziała, że jej macocha jest w Londynie, dopóki lady Aramintha nie zatelefonowała z Connaught. Przyleciała z Rzymu, aby sfinalizować rozwód: przed miesiącem przyłapała Giovanniego w łóżku z hotelowym boyem i wkręciła mu w przerażoną twarz potłuczoną butelkę po fancie. Nosiła teraz nazwisko Gormez. Lady Aramintha Gormez.

– Może zjesz ze mną lunch, kochanie – brzmiały jej pierwsze słowa, zupełnie jakby Celia jadła z nią kolację nie dalej jak wczoraj.

Celia przyjęła zaproszenie i odstawiła telefon na szafkę nocną. Potem zapatrzyła się na galerię strojów w szafie po przeciwnej stronie pokoju, zastanawiając się, co włożyć i czy macocha bardzo się zmieniła w ciągu dwóch lat.

– Już nigdy nie wrócę do Rzymu. I mam po dziurki w nosie Barcelony – oświadczyła lady Gormez, nawiązując do garsoniery w Barcelonie. – Po prostu nie mogę ścierpieć tych małych, wrzaskliwych makaroniarzy. Myślimy z Franzem o Szwajcarii. Muszę przyznać, kochanie – powiedziała do swojego grejpfruta – że bardzo korzystnie się zmieniłaś. – Podniosła wzrok. – Nie jesteś już taka gruba jak kiedyś... masz lepszą cerę, a włosy masz naprawdę lśniące. Życie w Londynie musi ci służyć.

Celia odwróciła głowę. Pomyślała, że chyba nie chce więcej widzieć swojej macochy.

A teraz rzut oka na życie seksualne Celi.

Na dzień przed tym, jak poznała Quentina, Celia wydała kameralne przyjęcie w swoim mieszkaniu przy Cheyne Walk: goście to dwie aktorki (bliskie przyjaciółki), przystojny dekorator wnętrz i lumpowaty, przemykający boczkami gitarzysta basowy popularnego zespołu, grającego w stylu retro. A zatem Celia prostuje się niezgrabnie wśród poduszek, odmawia przyjęcia skręta od dekoratora, ujmuje gitarzystę za rękę i mówi:

– Pójdziemy na chwilkę do mojego pokoju?

Jeff wstaje i potykając się, idzie za nią.

Jest jasne, że Celia nie ma nic pod sukienką, więc stary Jeff po prostu kładzie ją na łóżko i zadziera jej sukienkę, trąc swoim ciałem o jej ciało. Ich wargi sprzęgają się w pienistym pocałunku. Potem, z łokciami sterczącymi ostro w górę, Celia spycha głowę Jeffa na piersi, na brzuch, aż w końcu jego twarz utyka między udami. To właśnie Celia najbardziej lubi.

Mija pięć minut.

Na dole dekorator wewnątrz podskakuje nagle jak kot, który usłyszał dalekie miauknięcie w mroku nocy. Jeff schodzi chwiejnym krokiem po schodach, wycierając usta rękawem dżinsowej bluzy.

– Chryste, co ja tu robię? – Staje na środku pokoju i chowa twarz w dłoniach. – Dlaczego pozwalasz, człowieku, żebym to robił, żebym chlapał minetę takiej dziewczynie. Musiało mi naprawdę... naprawdę odbić.

– Hej, co się stało, facet? – pyta aktorka.

– Nie wiem, kurwa. Na zdrowie!

Aktorka podnosi kieliszek z brandy.

– Jezu, chodźmy stąd.

– Możemy iść do mnie – proponuje aktorka.

– Racja – mówi dekorator.

Zesztywniała, z wciąż rozłożonymi nogami, z Mandarynem wężącym między udami, Celia słyszy, jak zatraskują się drzwi.

– Rozmieniasz się na drobne, kochanie – powiedział jej ojczym, kiedy rano przedstawiła mu minimalnie ocenzurowaną wersję tego, co się stało. Jechał właśnie do stałej kochanki, która mieszkała przy Embankment Gardens, i wpadł na tequilę oraz po odrobinę współczucia. – Może nie powinnaś się aż tak rozdrabniać. To tylko sugestia.

– Co masz na myśli?

– No bo jeśli zostawisz każdemu po cząsteczce siebie, możesz pewnego dnia stwierdzić, że niewiele ci zostało. Rozumiesz?

– A więc ty musiałeś się zużyć już bardzo dawno temu – zauważyła Celia.

Zaśmiał się z trudem, zmaltretowany kaczem.

– Nie, źle mnie zrozumiałaś, kochanie. Zawsze uważałem, że pieprzenie było darem niebios dla nas, starych, a jest przekleństwem dla was, młodych, którzy stawiają na pierwszym miejscu ideę. Cudowna sprawa, cholera! Wszyscy nagle chcą to robić i nie mają żadnego poczucia winy! To było dla nas coś naprawdę nowego. – Zaniósł się okropnym kaszlem.

– No tak – powiedziała Celia.

– Nasza seksualna natura została ukształtowana, więc nigdy nie mogło nam się przydarzyć nic gorszego niż nuda. Chyba dlatego pozwoliliśmy to robić wam. Żeby wyzwolić siebie. Ale wy, kochanie, wy, niby to wyzwoleni... Wydawało wam się tylko, że jesteście wolni. A nie byliście. – Sięgnął po papierośnicę. – No, muszę pędzić. Suki czeka. Pozdrów serdecznie tę starą wiedźmę, jeśli się jeszcze na nią natkniesz. Z kim ona teraz kombinuje, z dziewięcioletnimi Indonezyjkami? Pa, pa, kochanie. Uważaj na siebie.

Tego popołudnia Celia nie zamierzała polować, ale w chwili, gdy zobaczyła Quentina, od razu wiedziała, że musi go mieć. Gdy szedł tanecznym krokiem przez Beauchamp Place, a wietrzyk igrał z miękkimi pasemkami jego włosów, cały ruch uliczny zdawał się zamierać, nieruchomiało wręcz samo powietrze. Jeśli będzie to konieczne, pomyślała, da mu po prostu czek *in blanco*, rezygnując z bardziej subtelnych ostatecznych środków, jak obdarowanie na początek magnetofonem, jedwabnym szlafrokiem, plikiem dziesięciofuntowych banknotów ułożonych w wachlarz na stoliku w hallu.

Och, żeby tylko nie był pedałem, modliła się w duchu, upychając zakupy w jaguarze i opierając się niedbale na jego srebrzystym zadzie.

– Hello – powiedziała, kiedy ją mijał. – Czy nie spotkaliśmy się

w Ormondess?

Przystanął i uśmiechnął się lekko.

– Spotykam mnóstwo ludzi w Ormondess – odparł – ale myślę, że nie należy pani do tych wybrańców.

– Och, jaka szkoda – powiedziała Celia.

– O tak. Wielka szkoda – zgodził się Quentin.

Chciała jak najprędzej pognać do domu i z miejsca go uwieść. Tymczasem to on przejął inicjatywę, dzięki czemu przeżyła kilka najbardziej podniecających i zmysłowych godzin w życiu: zaprosił ją na przechadzkę. Poszli przez Kensington Gardens wzdłuż stawu Serpentine do Speaker's Corner i z powrotem przez Hyde Park. Dla Celi było to rozkoszne, kokainowe popołudnie; płynęła u jego boku, wibrowała, słuchając jego dźwięcznego, swobodnego głosu, chłonąc jego zjawiskową urodę. O szóstej Quentin odrzucił propozycję zawarcia znajomości z Mandarynem i Bellinim w jej mieszkaniu przy Cheyne Walk, cmoknął ją zdawkowo w czoło i umówił się na lunch następnego dnia. Aby jakoś opanować seksualne podniecenie, Celia popiła ostro u Thora. Quentin przeczuwał, że będzie mógł ją bez trudu wykorzystać. I zrobił to. Zdażyła dopić drugi kieliszek zielonego Chartreuse, gdy zjawił się, wyciągnął ją z Thora i wziął z nią ślub.

– Tak – powiedziała Celia.

51. Po prostu odwalił kiteę

– Patrz! – zawołała. – To mój przyjaciel, Mandaryn.

Celia odwróciła się i uśmiechnęła się do męża, patrząc mu w zielone oczy. Spojrzały na nią nieprzytomnie.

– Czyż on nie jest w świetnym nastroju?

Najwyraźniej był. Mandaryn wybiegł w podskokach z kuchni.

Zawirował. Sierść na ogonie zjeżyła mu się, a ciało wyprężyło w łuk. Sycząc, wyskoczył w powietrze. Rozpłaszczył się na ziemi, jakby przywarował, żeby coś upolować. Potem, jakby pobudzony nagłym impulsem, zrobił rundę wokół pokoju, obiegł sofy, krzesła, wszystkie kąty. Poturlał korek od szampana po dywanie. Przewrócił się na grzbiet i przez chwilę niemrawo przebierał łapami w powietrzu. Zaczął gonić własny ogon. Przypadł do ziemi i zahaczył pazurami listwę przy ścianie. Wykonał serię płynnych, drobnych podskoków. Niezwykle ostrożnie obwąchał podłogę. Zamknął ślepia. Ruszył ku podobnej do łona, miękkiej wypukłości poduszki. Zwinął się w kłębek i...

– Zwinął się w kłębek i wtedy olśniło nas wszystkich, że nie żyje – wyjaśniła Roxeanne.

Andy uklęknął nad ciałem Mandaryna. Podniósł jego koci łeb – pomarszczone powieki, odgięte do tyłu wilcze uszy. Kiedy go puścił, opadł od razu bezwładnie.

– Po prostu mu odjechało – rzekł Marvell.

– Aha.

Andy przeszedł przez pokój i ujął drżącą Celię za ramię. Quentin, który trzymał ją w objęciach, dał mu oczami znak, żeby nic nie mówił.

– Był bardzo stary – powiedział.

– Tak.

Andy wrócił po raz ostatni do zwłok Mandaryna.

– Kochałem tego kota – rzekł niepewnie. – Naprawdę.

– Po prostu odwalił kitę – skomentował Marvell.

– Tak – powiedział Andy z głębokim westchnieniem. – Ale Chryste, jak ja mam, kurwa, dość tego pierdolonego, zasranego weekendu!

– Dobry wieczór panu. Co podać? Wspaniały dziś mieliśmy dzień, nieprawdaż?

Andy rzucił dwa funtowe banknoty na bar.

– Brandy – powiedział. – Dwie podwójne.

– Służę panu. Hine, proszę pana? Czy może woli pan spróbować martella?

– Dobra.

– Trzy- czy czterogwiazdkowy, proszę pana?

– Wisi mi to.

Po paru sekundach stanęły przed nim dwa kieliszki brandy. Przełał zawartość jednego do drugiego i wypił wszystko jednym haustem. Rzucił dwa funtowe banknoty na bar.

– Jeszcze raz to samo.

– Służę szanownemu panu.

Barman napełnił ponownie oba kieliszki. Wzdychając teatralnie, Andy znów przełał koniak do jednego.

– Barman – powiedział, ruszając z kieliszkiem w stronę okna – strasznie upierdliwy sukinsyn z ciebie.

Andy czuł się fatalnie. Sprawa Mandaryna była tu, jak przypuszczał, całkiem przypadkowym i mniej istotnym czynnikiem, bo wobec tego kota odczuwał zawsze jedynie lekką irytację. Nie, to było co innego – chodziło o fałszywe wspomnienia. Przeżył ich atak po południu i to po raz drugi w tym tygodniu. Przez piętnaście minut leżał na łóżku, myśląc o swoim ojcu – siwowłosym mężczyźnie o wyglądzie dobrze prosperującego lekarza, kompetentnym i powściągliwym, z czarującym, bezbronnym uśmiechem – dopóki nie uświadomił sobie, że nigdy nie miał ojca. Po prostu go nie miał. Ale i to nie było przyczyną jego przygnębienia, bo nie potrafił sobie w pełni uświadomić tego braku. Wspomnienie przyszło, jak zwykle zresztą, nie w oparach fantastycznych rojeń, ale z całą konkretną dojmującą wyrazistością, z jaką czasem powraca przeszłość. Tyle że było to fałszywe wspomnienie. Nie należało do niego. Ach, te obrazy! Były

zupełnie jak zabląkane wspomnienia kogoś innego, zdjęcia z czyjejs przeszłości. Ogarnął go bezbrzeżny smutek. Poczł się jak ktoś niepełnowartościowy.

– Czuję się jak niepełnowartościowy – mruknał. – Fałszywe wspomnienia. Cholerne fałszywe wspomnienia.

– Słucham pana? Nie dosłyszałem. Czy mam nalać szanownemu panu? Andy machnął ręką.

– Ach, zamknij się. Po prostu się, kurwa, zamknij.

Andy zignorował zaproszenie Skipa, by przyłączył się do towarzystwa siedzącego w saloniku, przygotował sobie skręta przy kuchennym stole i z wiatrówką przerzuconą przez ramię poszedł go wypalić do ogrodu. Usiadł na trawie pod drzewem. Był wczesny wieczór i w szumiącym powietrzu roiło się od gołębi.

Skręć się żarzył, Andy leżał i myślał o wakacjach sprzed kilku lat, kiedy pojechał zdezelowanym landroverem do Włoch. Był wtedy beznadziejnie zakochany w przyjaciółce swojej siostry, małej, wiotkiej Żydóweczce imieniem Anna, z którą spotkał się tylko dwukrotnie i którą pocałował tylko raz. Pisał do niej codziennie z młodzieńczą żarliwością, zasypując ją coraz bardziej ekstrawaganckimi obietnicami, dopóki nie...

Andy otworzył oczy. Korony drzew rozświergotały się głosami ptactwa.

– Jak długo...?

Andy usiadł. Nigdy nie miał siostry, nigdy nie był we Włoszech i nigdy nie kochał się w Żydówce Annie. Znów fałszywe wspomnienia. Ścisnął oburącz skronie i zaczerpnął tchu.

– Znów te fałszywe wspomnienia – powiedział na głos. – Te pieprzone fałszywe wspomnienia... Co za kurewstwo.

– Andy? To ja.

Andy otworzył oczy. Giles chwiał się nad nim niepewnie.

– A, cześć, mały.

– Ty też płakałeś – rzekł Giles, dostrzegłszy świeże ślady łez na policzkach Andy’ego.

– Aha.

– Co się w zasadzie stało?

– Fałszywe wspomnienia.

– Och, ja tego w ogóle nie znam. Ja mam napady melancholii ulicznej, nawet jeśli w pobliżu nie ma żadnych ulic.

– To ciągle powraca.

– Aha. To zabawne z tymi prochami, no nie? – rzekł Giles. – Wciąż mi powtarzają, że to wynik uszkodzenia mózgu i tak dalej. A to wcale nie to. To jest po prostu melancholia. Smutek. – Giles pociągnął nosem. – Marvell przysłał mnie po ciebie. Chce, żebyśmy wzięli trochę więcej. Myślisz, że powinniśmy to zrobić?

– To prochy mnie w to wpędziły – wymamrotał Andy – i prochy mnie z tego wyciągną.

– A przy okazji, Andy: czy jeden z tych Amerykanów ma na imię Johnny?

Andy potrząsnął niezdecydowanie głową.

– Tak mi się właśnie wydawało, że nie. Andy, a co ty tu w zasadzie robisz? – Giles spojrzał w górę na białe gołębice siedzące na gałęziach. – Zabijasz ptaki?

– Nie. Ja... One nie...

– Mogę sobie raz kropnąć?

Andy apatycznie położył dłoń na wiatrówce.

– Co ja... ty po prostu... to nie będzie... naciśnij... i to...

Podmuch wyzwolonego sprężonego powietrza wstrząsnął koroną drzewa i ptaki wzbiły się w niebo. Biały gołąb runął na ziemię. Spadał, wirując jak wiatrak.

Andy patrzył w niebo przez trzepoczące, spłoszone liście.

– Giles! Ty głupi sukinsynu! To gołąb! Gołąb!

Zataczając się, Giles odskoczył od rannego ptaka.

– Dobij go, Andy – zawołał płaczliwym głosem. – Dobij go.

53. Lędźwiowy transfer

W Appleseed zapłonęły pierwsze światła. Wszyscy ciągnęli bezszelestnie ze swych kątów do salonu, zjednoczeni wspólnym celem. Wraz z końcem dnia i nastaniem nocy ich niedomagania i lęki zdawały się ulegać raptownej neutralizacji, rozpływać w zmieniającym się powietrzu. Wkrótce okna pociemnieją, a wtedy nie pozostanie już nic oprócz Appleseed i ich samych.

– Ośrodkowy układ nerwowy jest zakodowaną skalą czasu – zaczął Marvell – i każda temporalna kolizja neuronów, każda strefa rdzeniowa wyznacza jednostki neuronowego czasu. Im głębiej wchodzi się w ośrodkowy układ nerwowy – przez tyłomózgowie, rdzeń, aż do tak zwanej nitki końcowej – tym bardziej rośnie i tym większej koncentracji ulega aktywność genów i wtedy schodzimy do neuronowej galerii swej własnej przeszłości, jakby cała nasza metabiologiczna osobowość przesuwała się przed nami w serii nieruchomych obrazów. Kiedy narkotyk wchodzi do owodniowego korytarza, zaczyna przyśpieszać ową podróż przez rdzeniowy i archeopsychiczny czas, rzutując na ekran naszej świadomości zmieniające się pejzaże z minionego czasu, przy czym każdy z tych pejzaży jest odbiciem odrębnego, wyraźnego obszaru emocjonalnego. Kiedy zostaną pobudzone mechanizmy wyzwajające w naszej cytoplazmie, człowiek wchodzi stopniowo w całkowicie nową strefę neuronowej psyche. I to jesteś prawdziwy ty. Totalne biopsychiczne przywołanie przeszłości. Tak zwany lędźwiowy transfer. Podchodźcie tu, proszę, po kolei.

Tak, była siódma i całun nadciągającej burzy wisiał nad różnymi ogrodami probostwa. Tak aktywne wcześniej powietrze teraz było ciężkie, przelewało się niczym woda przez dach. Ciemność napływała z daleka i zmierzch, zbliżając się ku wzgórzom, przeczesywał je swymi czarnymi reflektorami.

Użalmy się nad tymi martwymi dziećmi. Już teraz, zanim się zacznie. Nie mogły wiedzieć, co zostawiły za sobą ani co je czekało. Przeszłość? Nie miały żadnej. Jak u dzieci po długiej, całodziennej wędrówce, ich losy układały się w pstrokaty zlepek przepadłych poranków, straconych popołudni i prawdopodobnych dni wczorajszych.

54. Zbyt dobre, żeby marnować

– Keith! – zawołał Andy, rzucając kasetę na środek pokoju. – Połóż się i wsadź to do magnetowidu. Ty głupi palancie, nie tym końcem! Chryste. Jak mówił Marvell, ile to potrwa? Godzinę? Roxeanne, Diana, przynieście mi brandy, dobrze? Ja tu po prostu wykorkuję.

– To powinno być naprawdę ostre – powiedziała Roxeanne podekscytowana. – Zdobyliśmy tę kasetę w Nowym Jorku tuż przed wyjazdem, nie zdążyliśmy jeszcze wszystkiego obejrzeć.

– Niespecjalnie ostre – oznajmił beznamiętnym głosem Skip. – Ze świniami i taki tam szajs.

– Jest powszechnie znaną prawdą – zauważył Villiers – że filmy o seksie nużą. Jeśli nie są seksy, są seksy. Co jest bardziej nudne?

– Dobrze powiedziane – rzekł Marvell.

– Jeszcze nigdy nie widziałem takiego filmu – szepnął Giles znad swego kieliszka.

– Keith, czy ty... czy ty, kurwa, wreszcie stamtąd wyleziesz?

Żeby włożyć kasetę, Whitehead musiał wczołgać się pod dolną półkę

regalu. Miał jednak tak krótkie ręce, że nie mógł dosięgnąć kieszeni magnetowidu. Andy zaczął go kopać po wierzgających nogach, potem nastąpił mu na łydkę.

– Daj mi to. – Wyszarpnął Keithowi wtyczkę z ręki i uklęknął na dywanie. Pociągnął łyk brandy. – Jesteś, kurwa, za gruby.

W końcu wsunął kasetę do kieszeni, włączył magnetowid i usiadł, poprawiając spodnie w kroku i tocząc groźnym wzrokiem po całym pokoju.

– No dobra – powiedział. – Jeśli się nie spuszcze, ktoś za to zapłaci.

Dwadzieścia minut później wszystkich obecnych ścięła z nóg śmiertelna nuda.

Na ekranie rozgrywały się rozmaite niewiarygodne ohydztwa. Jakiś wieprz rzeczywiście posiadał młodą damę, potem nastąpił stosunek dwunastoletniego chłopca z przedstawicielem małego stada. Konsumowano w dużych ilościach ekskrementy (– Och, nieszczęśni! – zakrzyknął Quentin), ludzie kąpali się w strugach moczu, wreszcie pokazano autentyczną śmierć w trakcie stosunku: dość leciwa aktorka została uduszona pętlą przyczepioną do podnoszących się fallusów. Dodatkiem był szokujący bestiariusz – pokazane na ogromnych zbliżeniach rozwarte sromy, rabarbarowe penisy i bezlitośnie rżnięte zady.

– Pierdol się, Marvell – powiedział Andy. – Pierdol się. Nie chciałoby mi się ruszyć dupy, żeby robić takie gówniane numery, nie mówiąc już o oglądaniu tego paskudztwa. Nie wiem, kurwa, czemu tu jeszcze siedzę. Naprawdę, kurwa, nie wiem.

– Dlaczego nie puścicie czegoś naprawdę seksy? – zapytała Lucy. – Na przykład *Dumbo*?

– O co wam chodzi? – zdziwił się Skip. – To jest całkiem niezłe.

– Zmień tę kasetę. Nie lubię takich... – powiedział Giles zduszonym głosem. Ukrywał twarz w poduszce od pierwszych sekund filmu, kiedy

jedna z aktorek wyjęła sztuczną szczękę, żeby obciągnąć kulawemu Murzynowi.

Marvell poruszył się nerwowo w swoim fotelu. Widać było, że chłód, z jakim mieszkańcy Appleseed przyjęli film, sprawił mu wielką przykrość.

– Hej, Skip, wrzuć tę kasetę, którą dał nam Archie. Tę nową. – Odwrócił się do Quentina, a tymczasem Skip rozpierzył kasetę. – Tak, rozumiem. Ale ta jest inna. Robiła to jakaś kanadyjska ekipa speców od seksu. To powinno być coś nowego.

– Czy może być jeszcze coś nowego w tej dziedzinie? – rzekł z westchnieniem Quentin, zakładając nogę na nogę i krzyżując ręce na piersi.

Zaczynało się od ujęcia typowego saloniku w typowym domu na przedmieściu. Na wprost kamery stała niska sofa. Pomiedzy sofą i szarą, gładką ścianą w głębi nie widać było żadnych innych mebli. Po chwili z dwóch stron weszło jednocześnie dwoje ludzi, młody mężczyzna i kobieta, i usiadło obok siebie na sofie. On miał na sobie czarny, konfekcyjny garnitur i białą koszulę, ona kostium i białą bluzkę. Wyglądali nawet sympatycznie, ale niczym się nie wyróżniali. Po wyraźnie zainscenizowanej pauzie mężczyzna objął kobietę. Odwróciła się do niego z wyraźną rezerwą. Pocałowali się. Mężczyzna przysunął się bliżej, próbując nawiązać intymny kontakt, ale kobieta nie tyle reagowała, ile dawała mu bierne przyzwolenie, przyciskając ręce z otwartymi dłońmi do boków. Kiedy po upływie pół minuty zaczął ją całować w szyję i w ucho, coś zamigotało niewyraźnie w jej na pół przymkniętych oczach. Dotknął jej policzka lewą dłonią, potem ręka ześliznęła się po ramieniu w dół, zatrzymując się przy górnym guziku bluzki. Dziewczyna odsunęła rękę, ale mężczyzna uparcie podejmował akcję, ona zaś reagowała coraz mniej zdecydowanie. Potem dłoń mężczyzny zsunęła się powoli, z wahaniem, na jej pierś. Ich pocałunki stały się bardziej namiętne.

– Pieprzyć to. Ten Archie to chyba...

– Przymknij się – rzekł Andy, uciszając Marvella ruchem ręki. – Cicho bądź.

Tymczasem dwa górne guziki bluzki dziewczyny zostały brutalnie odpięte i mężczyzna, udając całkowity brak zainteresowania, przeniósł uwagę na jej uda. Długim prawym ramieniem otoczył jej szyję i w dalszym ciągu atakował jej biust, lewa zaś ręka niby to od niechcienia gładziła obcisłą czarną spódnicę. Dziewczyna zaczęła się bronić przed nowym zagrożeniem. Odkoczył kolejny guzik.

– O Jezu! – wyszeptał Andy. – Ona ma stanik!

Niezdecydowany opór dziewczyny skoncentrował się tymczasem całkowicie na dolnych rejonach ciała, pozostawiwszy odsłonięty w jednej czwartej, falujący biust na łup natrętnym dłoniom mężczyzny. Zwiększając tempo pocałunków, usiłował bez powodzenia wsunąć przegub lewej ręki między jej zaciśnięte kolana. Zmieniając taktykę, mężczyzna sięgnął lewą dłonią do piersi dziewczyny i jednocześnie próbował rozewrzeć jej uda łokciem. Spódniczka podjechała kilka cali w górę.

– Pończochy – powiedział zafascynowany Andy. – A niech to szlag!

Czy to z powodu podniecenia, czy wzburzenia, ruchy aktorów stały się nienaturalne i pełne agresji. Ukrywszy twarz na piersiach dziewczyny, mężczyzna włączył teraz do akcji wyprostowaną lewą nogę, którą usiłował wcisnąć między jej uda. Dziewczyna poddała się w końcu. Teraz mężczyzna zaczął na nią włączyć, przywierając ustami i obiema dłońmi do piersi, gdy tymczasem przedramionami i torseem zadzierał jej spódnicę. Przez chwilę można było sądzić, że dziewczyna ulegnie całkiem i położy się pod naporem, ale wtedy zaczęła się wyślizgiwać spod mężczyzny. Spódniczka podjechała wysoko, odsłaniając pończochy, biały pas do pończoch i obcisłe różowe majteczki. Palce mężczyzny zacisnęły się na ciasno opiętym wzgórku.

– Tak jest! – ryknął Andy.

Nagle dziewczyna zerwała się na równe nogi, z całej siły uderzyła

mężczyznę w twarz i wybiegła z kadru. Zbliżenie twarzy, na której malowała się żądza, rozplynęło się w nieostrości.

Giles zastygł w bezruchu z kieliszkiem przy rozchylonych wargach. Krew napłynęła do twarzy Whiteheadowi, likwidując chwilowo jej matowy, trupi połysk. Quentin i Celia przywarli do siebie, Diana i Lucy rozglądały się, speszone i zdezorientowane.

– Ona... ona... – Andy wiercił się nerwowo w fotelu – Ona mu nie dała... Nie dała mu w końcu dupy – zaskrzeczał.

Tylko Amerykanie nie zdradzali żadnych emocji. Przez chwilę naradzali się półgłosem, po czym Roxeanne powiedziała:

– Jeśli to... Słuchajcie – podniosła głos, żeby przekrzyczeć chaotyczną wrzawę. – Słuchajcie. Jeśli coś takiego was bierze, to może się sami teraz zabawimy?

– ...uderzyła go, tylko dlatego, że chciał...

– ...przesadzili z tym stanikiem... z tymi pieprzonymi pończochami...

Roxeanne spojrzała groźnie na Marvella, który rozłożył ręce i powiedział:

– Quent. Hej, Quentin! Posłuchaj, my... Rzecz w tym, że Roxeanne jest cholernie wkurzona, bo nic się tu nie dzieje.

Quentin zmarszczył swe przepyszne brwi.

– A co by się, mianowicie, miało dziać?

– Czy nikt tu nie lubi się pieprzyć? – zapytała Roxeanne.

Andy wstał niezdarnie i spojrzał oszołomiony na swoje krocze.

– ...mój drąg. Nie wierzę własnym oczom.

– Hej, Andy – zawołał Marvell – dlaczego nie dasz hasła?

– No właśnie – rzekła Roxeanne – teraz, kiedy ci stanął.

– He? – Andy podniósł wzrok. – Nie, nie, pieprzyć to. Obsłuż się sama. – Zataczając się, ruszył w stronę drzwi. – Idę wytrześć kapucyna. Nie można zmarnować takiej okazji. Ju-hu, mój zaganiacz! – zapał i wypadł z pokoju.

– Zaczynam rozumieć, co z wami jest, ludzie – rzekła Roxeanne. –

Jesteście tak spierdoleni, że nie możecie nawet... No i co ja mam robić? Niech się ktoś ruszy. Ktokolwiek. Zaczniemy działać. Róbmy coś.

Spojrzała na Quentina, na Gilesa, na Celię, na Dianę, na Lucy i znów na Quentina.

– Ktokolwiek. No jazda. Róbmy coś!

– Może ze mną? – zapytał Whitehead.

55. Nie bądź obrzydliwy

Do końca życia miał Keith zapamiętać tę boską komedię, to powolne wstępowanie w tempie andante na wyżyny pokoju na poddaszu. Jedną część jego mózgu była oczywiście skupiona na bezpośrednim otoczeniu. Wyjście z saloniku na przykład – z jaką niesamowitą swobodą się odbyło! Roxeanne po prostu odwróciła się do niego – potem uśmiechnęła się – i wyszła spokojnie z pokoju. Przedzierając się przez gąszcz własnego zakłopotania, Whitehead ruszył za nią i nie wywołało to ani śmiechów, ani protestów, ani spontanicznej ingerencji ze strony kogokolwiek z obecnych w pokoju. Kiedy piął się po stopniach przykrytych wytartym chodnikiem, druga połowa jego jaźni – wcale nie mniej kontrolowana przez samoświadomość – dygotała w radosnym i trwożnym zarazem napięciu. Jeszcze jeden stopień. Obserwując mocne nogi Roxeanne stępujące przed nim, czuł, że bez względu na to, co się właściwie przed chwilą zdarzyło, jak żalosna i groteskowa okazała się cała scena, on, Keith, zyskał coś autentycznie cennego i trwałego. Kolejny stopień. Mógł pchnąć swoje życie na jakieś nowe, nie tak groteskowe jak dotychczas tory, mógł dokonać wypadu w stronę czegoś jeszcze niewyartykułowanego, mógł przewyciężyć ograniczenia szpetnego ciała,

mógł dotknąć delikatnej, gładkiej skóry. Kolejny stopień. Złe przeczucie nawiedziło go przelotnie, kiedy mijali pokój Andy'ego, w którym skrzypiała podłoga. Jeszcze jeden krok. Bezpieczny. Na ostatniej kondygnacji poczuł przypływ szczerej wdzięczności; chciał przystanąć, wziąć ją w ramiona, połączyć się z nią w długim, omdlewającym pocałunku, a potem wrócić bez słowa do tamtych. Kolejny stopień.

Ale tu sprawy nabrały gwałtownego przyspieszenia.

Ona wchodzi szybko do pokoju, odwraca się, zdejmuje bluzkę, ściąga mu dzinsy, jest bez majtek, ujmuje swoje piersi swoimi rękami. Na łóżko. „Chodź tu”. On idzie, on klęka, jej usta na jego wargach. Ona popycha go na łóżko, okracza, klęcząc na wysokości jego ramion, chwytą go za ucho, przyciska do swojego wzniesienia łonowego. Ona zsuwa się niżej, dosiada go. Ona odpina jego koszulę, potem spodnie. On siada raptownie, zdejmuje buty, ona liże jego plecy, potem zagłębienie pod pachą. On kładzie się, ona dosiada go znowu, ciągnie go za włosy, przesuwa się wyżej, siada na jego twarzy. Ona robi pełny obrót, nachyla się. Bierze jego genitalia do ust i wwierca się swoim kroczeniem w jego twarz. Ona upuszcza kropelkę moczu. Ona przesuwa się do przodu, żeby polizać jego uda. Ona bierze i wsadza palec aż po nasadę w jego odbył. On trochę popuszcza. Ona wbija paznokcie w jego biodra, przeciąga piersiami po jego udach, nadzieje się na jego penis. Jego głowa odchyła się do tyłu, z jego gardła wydobywa się przeciągły, niemy krzyk.

Kiedy Andy zbiegał cichcem po schodach, z mroków korytarza wynurzył się Quentin. Razem weszli na palcach do kuchni.

– Jak ci poszło? Dobrze?

– Kurewsko dobrze. Wprost cudownie – rzekł Andy, otrzepując palce. – Nie wiem, czemu ludzie zawracają sobie głowę czymś innym, naprawdę. Dosłownie mnie skręciło.

– Zgadnij, co się dzieje.

– Chwileczkę. Skip rżnie panią Tuckle.
– Nie. Roxeanne pieprzy się z małym Keithem!
– Quentin – powiedział Andy – wezwij policję.
– Żeby aresztowali Keitha?
– Żeby aresztowali Roxeanne. Nie możemy tolerować zbrodniców w naszym domu. Z Keithem!

– Ale to prawda.
– Nie bądź obrzydliwy, bracie! Nie, żebym był zaszokowany. Tyle że nie uważam tego za szczególnie zabawny dowcip, to wszystko.

– Ale to prawda, Andy. Nikt inny nie chciał, więc mały Keith zgłosił się na ochotnika.

Andy odrzucił głowę do tyłu i zaniósł się posępnym nieopanowanym śmiechem.

– Keith! Ta pokraczna figura!
– Jeśli można nazwać figurą coś tak bezkształtnego.
– Mimo wszystko podziwiam tę Roxeanne. Naprawdę, bracie, musisz przyznać, że jest niesamowita. Ale w końcu co to za różnica? Człowiek przyzwyczajają się do najgorszego szajsu. – Andy wskazał podbródkiem na drzwi saloniku. – A tam co się dzieje?

– Prawdę mówiąc, nic nadzwyczajnego. Skip próbuje poderwać Lucy, która najwyraźniej próbuje poderwać, a przynajmniej pocieszyć Gilesa. Aha, i jeszcze Marvell próbuje poderwać Dianę... Choć właściwie nie powinienem ci o tym mówić. Robi to nawet z pewnym powodzeniem.

– Wisi mi to. Rozmawiałem dziś po południu z Dianą. Z nami koniec.
– Nie mów!
– Tak. Właśnie jej to, kurwa, powiedziałem. Bez obcyndalania.
– Jak to przyjęła?
– Kompletnie się załamała. To jasne. Ale, wiesz co, kurwa? Musiało w końcu do tego dojść.
– Przykro mi to słyszeć, Andy.
– Nie przejmuj się.

- A powiedz mi, jaki kolejny szatański numer szykujesz?
- Eee... – Andy zamierzał wrzucić lekceważąco ramionami, ale potem twarz mu się rozjaśniła i przybrała łobuzerski wyraz. – Ja...
- Czujesz to w kościach, prawda?
- Aha. Czuję...
- I nie da się tego w ogóle opisać, co?
- Ani rusz.

56. Zaczęło się dziwnie

Zaczęło się dziwnie. Nie gwałtownie, jak za dotknięciem różdżki czarnoksiężskiej, ale tak, jakby cały ten proces trwał od zawsze. Palisander na stole kuchennym zbladł i przybrał bladobrązowy, pastelowy odcień. Niebiesko-żółte płytki na suficie zmatowiały i zamazały się tak, że wzór stał się prawie niewidoczny. Nawet czysta biel ścian zrobiła się jakby bielsza, bardziej neutralna. Kolor zaczynał spęzać z całego domu.

Andy usiadł właśnie na sofie i nalał sobie solidną miarkę benedyktyna, kiedy do salonu weszła Roxeanne. Wychylił trunek i podszedł do niej pośpiesznie. Marvell i Skip zerwali się z miejsc.

- No i?
 - Co „no i”?
 - Stało się?
 - Co się miało stać?
- Andy’emu opadły ramiona.
- Okej, zapytałem grzecznie. Więc wypierdolił cię czy cię nie wypierdolił?
 - Nie wypierdolił. – Roxeanne skinęła głową Marvellowi i Skipowi.

Podeszli obaj do drzwi. Skip podwijał prawy rękaw. Marvell bawił się sprzączką od paska.

Andy obrócił się gwałtownie.

– Co się...

Machnąwszy Skipowi i Marvellowi ręką, żeby weszli do pokoju, Roxeanne powiedziała do Andy'ego:

– Nie stanął mu. I zwymiotował. On nie lubi dziewczyn.

– Jak już tam wejdziemy – mówił Skip do Marvella, kiedy wyszli z pokoju – nie opierdalaj się. Weź go za te jego pieprzone nogi i...

Andy wskazał niepewnie na zamknięte drzwi.

– Co się tam dzieje? – zapytał Roxeanne.

Roxeanne usiadła. Wyglądała na zdenerwowaną i wściekłą, ale głos miała spokojny, wręcz przyciszony.

– Mam pewną teorię na temat tego domu. Nie ma tu nikogo, kto by umiał porządnie pieprzyć. – Westchnęła. – Pytasz, Andy, co oni z nim robią? Marvell go po prostu wydyma, ale najpierw Skip wsadzi mu rękę w dupę, rozumiesz?

– Wsadzi mu... Chcesz powiedzieć, że...

Roxeanne umieściła prawą rękę w zagięciu lewej.

– Wydyma go ręką.

– Całą ręką? Wsadzi mu... prosto w...? – Andy przycisnął rękę do brzucha tak, że przedramię sięgało od kości biodrowej do splotu słonecznego. Patrzył w osłupieniu na Lucy i Dianę. – Ale tak nie da rady. On jest za mały. Ręka sięgnie mu do samego... przebije go na wylot.

Roxeanne sięgnęła po butelkę z alkoholem.

– Skip mi mówił, że tylko na początku jest ciasno, a potem robi się całkowity luz – powiedziała rzeczowo. – Wszystko... ustępuje, rozumiesz? Nie ma żadnych trwałych uszkodzeń. To zdumiewające, co ludzie potrafią dziś wymyślić.

Andy, mrugając, wpatrywał się w drzwi. Cieniutki jak brzęczenie komara pisk przebił się przez dobiegające z góry odgłosy gwałtownej

walki.

– A to mały, gruby skurwiel – powiedziała Roxeanne.

Marvell schylił się, żeby zasunąć zamek w bucie.

– Skurwysyn z tego Archiego – powiedział.

– No – potwierdził Skip, wciągając podkoszulek. – Co on kombinował?

– Nigdy więcej nie pójde do tego gównojada. Nie może mi wykręcać takich numerów i dobrze o tym wie. Ja go załatwię. Pora go wysłać na emeryturę.

– Może – mruknął Skip, zapinając pasek – może to miał być jakiś żart. Bo te inne filmy były okej.

– Może, kurwa. To był taki sam szajs jak cała reszta. To cholerny druciarz. Jak chcę popatrzeć na Shirley Temple, to idę do filmoteki.

Skip pochylił się nad walizką. Nagle wydał z siebie ryk przerażenia i wściekłości. Dreszcz wstrząsnął Marvellem. Potem przypomniał sobie, że list od ojca Skipa jest bezpiecznie schowany u Quentina.

– Co się stało?

– Ten skurwysyn... Chodź no tu, Mar. Spójrz, kurwa, na to.

Marvell przeszedł przez pokój, poprawiając kołnierzyk koszuli. Skip wskazał niemrawym gestem na walizkę. W gnieździe z ciasno upchanych ubrań leżała butelka żółtawego lakieru do paznokci. Połowa zawartości wyciekła.

– Na szczęście jest bezbarwny – zauważył Marvell.

– Ile razy jej, kurwa, mówiłem! Ile razy!

Marvell cmoknął głośno.

– Nie szarp jej o to akurat teraz. Znam Rox i wiem, kiedy jest naprawdę wnerwiona.

Skip odwrócił się.

– No i co? Masz jakiś pomysł, co dalej?

– Mam kilka. – Marvell przegrabił palcami włosy. – Kilka. Jak działa to, co ci dałem?

– Czuję strach. Lubię to.

– No dobra. Chodźmy.

W drugim końcu pokoju, pomiędzy łóżkiem i szafą leżała sterta koców, prześcieradeł i ubrań. W środku, jak nieforemny tłumok, tkwił Whitehead.

57. Stare lęki

Podczas dwudziestominutowej nieobecności Amerykanów w saloniku Celia przyłączyła się do podjętych przez męża i uwieńczonych powodzeniem prób przywrócenia spokoju. Kłótnia została zredukowana do wygłaszanych na stronie dziwnych uwag, rosnące wzburzenie Andy'ego do drobnicy banalnych przekleństw. Trzeba dodać, że nie tylko nadzwyczajne talenty dyplomatyczne Quentina złagodziły napięcie. Nastrój, jaki zapanował w pokoju, był nastrojem pogłębiającej się introspekcji, chłodnego solipsyzmu i to, co się rzeczywiście działo, przebiegało właściwie niezauważone.

Sama Celia czuła się wyśmienicie. W następujących po sobie brzemiennych w wydarzenia etapach doświadczała ponownie całej radości i poczucia bezpieczeństwa, jakie towarzyszyły ostatnim miesiącom obcowania z Quentinem – tym wręcz groteskowo pięknym Hamletem u jej boku. Przeżywała od nowa błogosławieństwo owego wielobarwnego, czulego i wspaniałego daru, jakim była jego miłość. Ale jednocześnie wiedziała, że to wszystko odchodzi, a ona, Celia, również się oddala – odrywa się od terażniejszości, którą osoba Quentina tak pięknie przyozdabiała – z poczuciem coraz większej izolacji, przygotowując się na ewentualność życia bez niego. Zdawało jej się, że dostrzegła coś kątem oka. Obróciła się, żeby na to spojrzeć, ale jej myśli podążyły tam, gdzie była... *gdzie usidliłam go z miejsca ale niewolniony postużyłam się*

Mandarynem żeby się zaprzyjaźnić powiedział jej grejpfrut co mogą pieniądze i ciała tych sukinsynów z kutasami gównem jeść tak dużo i być samą i ty jesteś Celia.

Odwróciła się do mężczyzny siedzącego obok niej na sofie; mógł to być ktokolwiek, stracił rysy Quentina Villiersa. Nawet gdy odwrócił się do niej, odpowiadając na jej pełne udręki spojrzenie uśmiechem, który dokładnie określał jej niespokojne myśli i lęki, nie mogła się powstrzymać, by nie zadrzeć.

Celia przeprosiła obecnych i poszła na górę do swego pokoju, oszołomiona, ale już nie przerażona. Wraz ze starymi lękami powróciła dawna siła. Zamknęła za sobą drzwi, upewniwszy się, że na górze zapanował już spokój. Solidna niezmiennosc tego, co znajome – jej makijażu, butów, książek, suszarki do włosów – jeszcze bardziej pomagała jej odzyskać równowagę ducha. Teraźniejszość była zatem w porządku, nawet jeśli na krótko ją opuściła. Czym były te strzępy zdań, które słyszała? Bo nie wytworem jej świadomości.

Celia wzdrygnęła się i spojrzała na niepościelone łóżko, a potem pochyliła się, by pocałować wonną poduszkę w miejscu, gdzie jeszcze niedawno spoczywała głowa jej męża. I wtedy spostrzegła karteczkę przypiętą do poduszki. Sądząc, że to jeden z aforyzmów lub miłosnych epigramatów Quentina, przyklękła na łóżku, żeby go przeczytać. Na kartce była niezdarnie narysowana strzałka, wskazująca pod koc, i napis: *Od Johnny'ego*. Celia, która i tak zamierzała pościelić łóżko, ściągnęła kołdrę i odkryła prześcieradło. Obląkańczy krzyk wyrwał się z jej zmartwiałych ust.

Keith obudził się z płytkiego, męczącego snu. Czując szorstkość koców i otaczającą go nieznośnie rozgrzaną, duszną ciemność, pomyślał w pierwszej chwili, że jest w swoim pokoju. Stwierdził, że twarz ma mokrą od łez i że cieknie mu z nosa, ale też często jego przebudzenia tak właśnie wyglądały. Kiedy objął się ciaśniej ramionami, zastanawiając się,

ile jeszcze czasu do poranka, nagle runęła nań ohydna fala pamięci.

Keith usiadł, odrzucając sztywne koce. Światło poraziło mu oczy – był nagi. Pustka, jaką czuł w brzuchu, kończyła się w piekącym, odrętwiałym zadku. Spojrzał w dół i zobaczył, że musiał niedawno mieć wytrysk. Znow zaczął płakać.

Zaczął kuśtykać po pokoju, zbierając porozrzucone części swojej garderoby. Jego pulchne, jakby niemowłęce i trupie zarazem ciało pokryło się w świetle rozkołysanej żarówki jakimiś niezdrowymi cętkami. Od czasu do czasu przewracał się albo przystawał i chwycił powietrze dławiony rozpaczą. Jego koszula z indyjskiej bawełny była rozdarta. Nity na siedzeniu spodni wyrwane, nogawki od wewnątrz, na wysokości ud, rozprute. Wciągnął na siebie te strzępy i wbił nogi w piekące buty. Przez chwilę zastanawiał się, co robić.

Jego pierwszym i jedynym instynktownym pragnieniem było schować się gdzieś.

– Schować się – powiedział na głos.

Nie użalał się nad sobą, nie bolał nad tym, co się stało, absolutnie. Czuł tylko wstyd. Największym jego pragnieniem było stać się niewidzialnym. Wybaczyłby im wszystko, tylko nie to, co mówili i jak na niego patrzyli.

Wiedział, dokąd iść. Mógł iść tylko tam. Otworzył drzwi i stanął napięty w progu w swoim podartym ubraniu. Potem z niepokojącą szybkością zbiegł po pograżonych w półmroku schodach.

58. Wszystko ogarnie szaleństwo

Andy zastanawiał się z przerwami, jak dziką zrobić awanturę, kiedy Marvell i Skip pojawią się ponownie, ale w miarę jak ich nieobecność się przedłużała, perspektywa zdrowej, widowiskowej burdy stawała się coraz bardziej abstrakcyjna. W jakiś przedziwnie łagodny sposób, czego był

tylko na pół świadomy, jego ciało zdawało się roztopiać, przeobrażając się w jakąś słabszą i mniej krzepką wersję jego samego. Wciąż wpatrywał się posepnie w Dianę i Lucy, rozmawiające na otomanie. Myślał o tym, jak przyjemnie aseksualnie wyglądają, jak są gadatliwe i jak miła jest to, co mówią. Właściwie chciałby iść i położyć się między nimi. Nie przeszkadzałyby im. Ten jeden raz w życiu chciał po prostu pozostać niezauważony.

Drzwi otworzyły się raptownie. Marvell i Skip weszli do pokoju.

Andy zrobił taki ruch, jakby zamierzał wstać.

– No dobra – powiedział. – Coście z nim zrobili, skurwysyny?

Skip skierował się wolnym krokiem do wnęki, Marvell zaś przeszedł wolnym krokiem przez salonik i przysiadł na oparciu fotela Roxeanne.

– Ej, wy, pieprzone pedały! – Andy’emu uderzyła krew do głowy. W pokoju zapadła nabrzmiała wyczekiwaniem cisza, ale nikt go nie słyszał. Andy wyprostował się. – Marvell – powiedział z wysiłkiem – ty mały, pierdolony...

– Hej – powiedział Marvell bez troski. – Co jest z Andym?

– Andy – zawołał Quentin z końca świata – co się z tobą dzieje?

– Ja...

Andy zsunął się z fotela. Leżąc na środku pokoju, przebierał nogami w powietrzu. Jego wzrok padł na oszklone drzwi do ogrodu; po chwili ruszył w odrętwieniu w ich stronę. Jego ręce sterczały na boki tak, jakby chciały mu pomóc albo go powstrzymać, ale poskromił je i przedarł się ku wielobarwnej nocy.

Jego umysł, niesamowicie pobudzony, pracował przebłyskami. Nie były to myśli. Nie myśli. Zdania w jego mózgu były gotowe, zanim zdążył je sam sformułować. Próbował krzyknąć po raz ostatni, ale jego świadomość ześlizgiwała się, ześlizgiwała się ku miejscu, gdzie był... *idź za mną i nie wściekaj się urodziłeś się akurat w porę jej dalekie oczy widzą dawnego Andy’ego z odrzuconym, zaniechanym seksem ale słychać wzburzoną wodę snu miasta z chorymi ćpunami poszukującymi ciepła w ciemności ziemi-*

postania z krzyczącą trawą i Andy.

Kilka minut później Andy podnosił się z trawnika. Chłodne łzy wyparowały z jego policzków. Wrócił. I do czego? Do nicości i trzepoczącego serca.

– Skurwysyny – powiedział. – Głuche, nieme, ślepe skurwysyny. – Zawrócił i zaczął iść w stronę domu.

– ...Andy...

Andy odwrócił się gwałtownie w stronę garażu. Głos był niesamowity, jak skowyt zwierzęcia albo rannego dziecka.

– Andy.

Wołanie dochodziło z odległości dwóch kroków. Andy spojrzał w dół – i nagle zobaczył go przez wąską szczelinę okienka jego klitki. Twarz Keitha oświetlała smuzka nikłego światła padającego z góry.

– Keith?

– Andy, zrobiłem to. Ja umieram.

Celia stała przed drzwiami saloniku. Dygotała z niemal teatralną gwałtownością.

– Quentin! – zawołała. – Quentin!

Drzwi otworzyły się raptownie.

– Kochanie?

Zdawało się, że osunie się w jego ramiona, ale nagle cofnęła się. Wyciągnął do niej rękę.

– Kochanie, moje kochanie. Już dobrze, już dobrze.

Wciąż się cofała.

– Chodź – powiedziała, kierując się ku schodom. – Musisz coś zobaczyć. Musisz się dowiedzieć. Wszyscy muszą się o tym dowiedzieć. Chodź.

– O czym, kochanie? Najdroższa, jesteś...

Zatrzymała się na półpiętrze i dała mu ręką znak, żeby zamilkł.

– Słuchaj. Tam jest... czyjs... w naszym łóżku jest czyjs kał. W naszym łóżku.

– Cóż za ohyda!

Celia zadrżała; przysunął się do niej.

– Nie. Najpierw posłuchaj. To nie jest ludzki kał. To są... jest w tym jeszcze coś innego... smród jest okropny – nie wiem, co to jest. Jakby coś żywego.

Ruszył za nią do pokoju. Celia podeszła do łóżka, odwróciła się do niego i podniosła wierzchnie prześcieradło. Z zasłoniętych dłonią ust Quentina wydobył się taki dźwięk, jakby miał zwymiotować.

– Jak sama esencja ludzkiej istoty – powiedział.

Ujęli prześcieradło za rogi, złożyli je na pół i jeszcze raz na pół i jeszcze raz.

– Chyba widzisz, kochanie – rzekła Celia – że wszystko się teraz zmieniło. Musimy coś zrobić. Jeśli czegoś nie zrobimy, nic nie będzie już miało żadnego znaczenia. Wszystko ogarnie szaleństwo, jeśli czegoś nie zrobimy. Kim będziemy, jeżeli teraz zejdziemy na dół i będziemy udawać, że nic się nie stało?

– Masz rację, naturalnie, kochanie.

– Musimy zejść i ustalić, co się tu dzieje.

– Tak.

Objęli się i uścisnęli. Potem Quentin podniósł złożone prześcieradło. Już mieli wyjść, kiedy z dołu dobiegł jakiś rumor. Potem w górę schodów pomknął ku nim pogodny głos Andy'ego:

– Hej, Quent! Zejdź no szybko, chłopie. Mały Keith umiera!

Rzuciwszy prześcieradło do kosza na brudną bieliznę, Quentin wybiegł z pokoju. Celia obserwowała go z kamienną twarzą. Wiedziała już, że przegrała.

To, że wiadomość o prawdopodobnej rychłej śmierci Whiteheada stała się dla mieszkańców Appleseed zastrzykiem zrebięcej werwy, nie było bynajmniej, jakby się mogło wydawać na pierwszy rzut oka, paradoksem. Po pierwsze zapowiadała ona to, co dr Marvell Buzhardt miał później nazwać „efektem ześlizgu”, występującym nieodmiennie w chwili, kiedy zaczynał działać retronarkotyk i gdy wywołujące zawrót głowy ześlizgiwanie się Appleseederów w otchłań ich lęków zostało cudownie rozświetlone przez bardziej wyraziste i spektakularne cierpienia umierającego chłopca, który siedział teraz jak na tronie w klubowym fotelu z całą złożoną z mężczyzn widownią zebraną wokół jego drobnej postaci w obszernym szlafroku. A czy sam Keith zamierzał psuć ich dobry nastrój? Absolutnie nie. Whitehead nigdy w życiu nie czuł się lepiej.

– Okej – powiedział Andy, zacierając ręce. – Ja to widzę tak: nie możemy dopuścić, żeby ten mały sukinsyn dostał konwulsji i wykitował. Jasne?

– Oczywiście nie możemy nikogo zawiadamiać – mruknął Villiers.

– Można by... moglibyśmy go zmusić, żeby się fest wyrzygał – zaproponował Skip.

– Aha – powiedział Marvell. – Wrzućmy go, kurwa, do wanny. Do wrzątku. Weźmy litr dzinu i zmusimy go, żeby to, kurwa, wypił.

– Ja tak kiedyś zrobiłem – rzekł Giles. – Czułem się po tym okropnie.

– Nie jestem przecież w ciąży – odezwał się Keith zirytowanym głosem, krzyżując ręce na piersi. – Żaden z was nawet mnie nie zapytał, co już wziąłem.

– No właśnie – powiedział Andy i parsknął śmiechem. – W tym rzecz. Okej, Keith, więc co połknąłeś?

– Osiemdziesiąt tabletek uspokajających, które mi dałeś wczoraj rano.

– Dałem... uspokajających...? Ale przecież nie działały.

– Owszem, działały. Nabrałem cię.

Andy opadł na fotel.

– Ja pierdolę – powiedział.

– Co to było, Andy? – zapytał Marvell tonem lekarza sądowego, sięgając po notes i długopis.

Jąkając się, Andy podał mu nazwę leku. Marvell słuchał, kiwając głową.

– Chłopcze – powiedział do Keitha – niewiele brakuje, żebyś się przejechał. Za jakieś dwadzieścia minut zachce ci się spać; jeśli zaśniesz, masz przejebane. Najlepiej usunąć z ciebie to paskudztwo. Jeśli się nam nie uda, musisz być cały czas na nogach. Do rana. Rox, przynieś mi brandy. Trzeba się napić. Bo my też musimy być na nogach.

– „Jest rzeczą absolutnie konieczną – czytała na głos Lucy – żebyś powiadomiła mnie o swej decyzji w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin. Dziękuję. Szczerze oddany, Keith (Whitehead)”.

– Rozumiecie teraz, o co mi chodzi? – zapytała Celia.

– Aha. To bardzo seksowne. Naprawdę zgrabnie powiedziane. Trudno to porównać z listem Johnny’ego do Diany, prawda, Celio? – Lucy sięgnęła po drugą kartkę. – A tak nawiasem mówiąc, co to jest „scrotum”?

– Miejsce pomiędzy cipą i dupą – wyjaśniła Diana.

– Aha.

– Słuchajcie – powiedziała Celia. – Keith był w domu wariatów; wiemy też, że był bardzo chory – to miało jakiś związek z żołądkiem, więc mógł...

– Wskazała na kosz z brudną bielizną. – A teraz to. On jest bez wątpienia w rozpaczliwym....

– Och, daj spokój, Celia – powiedziała Lucy jowialnie. – Nie bądź głupia! Gdyby Keith był Johnnym, nie zrobiłby... Keith po prostu nie zrobiłby czegoś takiego. Słowo daję. Biedny mały zasraniec przesiedział u mnie pół nocy, zastanawiając się, jak mnie pocałować na dobranoc. Może jest trochę rąbnięty, bo kto z nas nie jest, ale on by tego nie zrobił, na pewno.

Lucy szukała potwierdzenia u Diany. Siedziały w trójkę w pokoju Celii – Lucy i Celia na rozgrzebanym łóżku, Diana upozowana na stojącej obok

sofie. Wszystkie trzy popijały tequilę z dwulitrowej butelki, którą Lucy przyniosła przed chwilą z pozostawionego bez opieki alkoholowego archiwum Gilesa. Nowy kryzys dawał im, podobnie jak mężczyznom, jakiś punkt oparcia, coś, na czym mogły skupić rozproszone myśli; miały przynajmniej coś do roboty.

– Wiem, Diana uważa, że to Skip – powiedziała Celia. – Przez pewien czas myślałam, że to Marvell, ale nie mam pojęcia, jaki miałby...

– Ale kochanie, to musi być on – rzekła Lucy. – Gdyby się okazało, że to nie on, byłabym przerażona. – Pociągnęła łyżeczek tequili; odrobina ułała jej się z ust, kiedy je otworzyła, przypomniawszy sobie o jeszcze jednej sprawie. – Ten cały Johnny zrobił coś paskudnego Gilesowi dziś po południu. Giles nie powiedział mi co, ale był strasznie podminowany i w ogóle. Przyszedł i pytał mnie, który z Amerykańców ma na imię Johnny. Był bardzo zdumiony, kiedy mu powiedziałam, że żaden.

– Ale czy nie sądzicie – powiedziała Celia – że Keith... Chodzi mi o to, co oni z nim zrobili. I Roxeanne, i w ogóle.

– Celia! Sama powiedziałaś, że znalazłaś to w łóżku, kiedy Keith był na górze.

– Och, właściwie nie wiem. Po prostu chciałam coś wyjaśnić i zapomnieć o wszystkim. – Twarz Celi spochmurniała, oczy zaszyły mgiełką. Sięgnęła po papierową chusteczkę. – Czy to się nigdy nie skończy?

– Jeśli to był Keith, to już się skończyło. – Lucy podeszła do okna, zwabiona dochodzącymi z dołu dźwiękami. – Keith jest teraz wyłączony z akcji. Nie, to ktoś gorszy niż Keith. – Odwróciła się na pięcie, podeszła do okna i oparła się łokciami o parapet. Wymieniły spojrzenia z Celią; obie uświadomiły sobie jednocześnie, że Diana nie tylko wyłączyła się z rozmowy, że praktycznie nie ma jej w pokoju.

– Diana? – zapytały niemal chórem.

Diana próbowała coś powiedzieć, ale słowa uwięzły jej w gardle. Usiadła – nie, raczej ześlizgiwała się, ześlizgiwała się tam, gdzie była

...płakać znów i proszę czarną drogę kiedy smutne świetliki mrugają wśród rosy i śpiworów sztywny chłód nocnego zmęczenia codzienne znużenie i obrzydzenie z różowego odwrotu to jest krótkie i bez przyjemności być samotnym nie wiedząc dlaczego w alejach wiszących ogrodów pierwsze z wielu letnich miesięcy czas nienawidzi wszystkiego czas zastanowienia Diana.

Westchnęła głęboko i wysunęła hardo podbródek.

– Myślę, że to Andy – powiedziała.

LX Andy

Andy, pytany o wiek, może odpowiedzieć bardziej lub mniej machinalnie, że niech, kurwa, skona, jeśli wie.

– Chyba gdzieś około dwudziestu – odpowiada najchętniej, gestykulując miękko. – Plus minus rok.

Ma dwadzieścia cztery lata. Dziś są jego urodziny. Kiedy wylegiwał się na pobliskiej łące, kiedy liczył gasnące gwiazdy i wwiercał się nosem w krzyczącą trawę. A zatem dwadzieścia cztery lata wcześniej śniada dziewczyna ściągnęła mokre prześcieradło z twarzy i zapytała:

– Dziesięć paluszków u rączek? Dziesięć paluszków u nóżek?

– Myślę, że jest super – powiedział groźny hipis, wycierając rękawem brodę. – Myślę, że jest naprawdę super.

I był super. Jego matka wprowadziła się do komuny dwa tygodnie później i przez pierwsze lata swego życia Andy, polujący na pierś tropiciel ciepła, zdobywca zlekceważonych śpiworów, karmiony płatkami i zepsutymi owocami, raczkował po krainie materaców, jaką było ciemne, wysokie mieszkanie komunalne przy Earls Court. Był przybranym dzieckiem setki sierot, których matki wyrzekły się zaraz po urodzeniu, pieszczoszkami tuzina wędrownych gitarzystów rytmicznych, ulubieńcem całej masy prowincjonalnych dilerów, oczkiem w głowie tysiąca chorych ćpunów.

Nazywali go Andy, ze względu na nienaturalne rozmiary rąk. On sam przybrał nazwisko Adorno, od niemieckiego marksistowskiego filozofa, którego śmierć tak bardzo zasmuciła wszystkich w komunie latem 1972 roku, kiedy Andy był jeszcze dzieckiem. Andy Adorno – to było

najwspanialsze imię i nazwisko, jakie kiedykolwiek słyszał.

Podczas rutynowej lotnej kontroli funkcjonariuszy miejscowego urzędu sanitarno-epidemiologicznego istnienie młodego Adorna stało się wiadome władzom. Kroniki notują, że pan Derek Midwinter, inspektor, który zajął się Andym z urzędu, opisał swoje kontakty z chłopcem jako „jeden cholerny koszmar”. Inspektor proponował początkowo, by zabrać Andy’ego matce, przydzielić mu kuratora, zarejestrować go w Zespole Opieki nad Dziećmi i rozpocząć jego edukację. Skończyło się na tym, że Midwinter płacił Andy’emu pięć i pół funta tygodniowo, żeby ten dał mu spokój. (Chłopak stosował wobec wielu urzędników wymyślony przez siebie system „albo będzie cukierek, albo wytnę numerek”. System zawierał również elementy skomplikowanego szantażu seksualnego i brutalnej przemocy). Kiedy Andy poczuł, że jest gotowy – i kiedy był w najlepszym sztosie, jeśli chodzi o pieprzenie – udał się bez pośpiechu do ogólniaka w Holland Park i poprosił o widzenie z dyrektorką. Po pięciominutowej rozmowie gawędził już z dziewczynami na dziedzińcu szkolnym, a pobladła dyrektorka antydatowała jego podanie o przyjęcie do szkoły. Było jasne, że nie może studiować niczego innego, tylko współczesną prozę amerykańską, i że ta specjalizacja niekoniecznie będzie musiała znaleźć odbicie na świadectwie. Tego samego popołudnia Andy został przewodniczącym samorządu klasowego.

Jego ojczyzną był Earls Court.

Krainą, gdzie życie pulsuje całą dobę. O dziewiątej wielkie, dyszące autobusy wypluwały cztery tysiące przyjezdnych na zakurzone place. Oplecione rurami kanalizacyjnymi domy wyglądały jak koszary Legii Cudzoziemskiej, werandy rozbrzmiewały gwarem greckich nędzarzy i suchotniczych Turków. Mężczyźni w kamizelkach wyglądali przez nigdy nieotwierane okna. W nocy pół miliona młodych ludzi wysypywało się z pubów, paradowały brudne dziewczyny, brudni chłopcy krążyli po

obskurnym deptaku. Ciemność dyszała wonią curry dochodzącą z oświetlonych neonami tanich barów. Włóczędzy drzemali za budami, w których sprzedawano erotyczne pisemka. Umierający Pakistańczycy patrzyli łakomie na słabo oświetlone witryny sklepików. O piątej rano podszyta wiatrem cisza spadała na zmęczoną dzielnicę. Kartony po artykułach spożywczych i zmięte puste paczki po papierosach poniewierały się wśród skórek owoców i puszek po piwie. Kałuże i psie gówna pokrywał płaszcz odurzonych much. Koty wytrzeszczały oczy zza parkanów. Zmurszałe, rozsypujące się rudery opierały się o ciemne fasady sklepów jak widma ze snów śnionych przez miasto. Z daleka nadciągał poszept budzącego się do życia miasta, niczym nabrzmiała skargą muzyka niosąca się nad wzburzoną wodą.

W ciągu dnia i wczesnym wieczorem Andy nadzorował swoje zespoły dilerów, szukał możliwości zarobków na boku, kupował płyty, słuchał muzyki, oglądał filmy, kopał psy, gapił się w telewizor, czytał, pił, jadł, pieprzył. Wszędzie go było pełno; był postacią powszechnie znaną i szanowaną w tym zatłoczonym ludzkim pejzażu.

Późną nocą, tuż przed zapadnięciem ciszy, wspinał się po zardzewiałych schodkach przeciwpożarowych i penetrował dachy, zaglądał do świetlików, wylegiwał się w pokrytej sadzą trawie za stacją metra, huštał się, nucąc, na huśtawkach, wspinał się na drzewa rosnące na mrocznych placykach, wrzeszczał, a gdy brzask zaczynał płakać rosą, gnał jak ścigane zwierzę przez konające ulice.

Radykalnie skrócone résumé życia seksualnego Andy'ego.

Wcześniej wprowadzony w tajniki tego życia przestał zasypiać przy dziewczynach w wieku lat siedemnastu. Doznania, intensywne, deprymujące, nagłe, dziwne – były dlań rewelacją.

– A do tego to była fantastyczna dziewczyna – rozpamiętuje Andy.

Rozglądając się pewnego jesienno-wieczoru po klubie Life on Mars w poszukiwaniu partnerki do łóżka, upatrzył sobie pewną dziewczynę,

a potem w odpowiedniej chwili wystartował.

– Osiemnastka, długie blond włosy, Holenderka albo coś w tym rodzaju, miła buzia, dobra figura. Jak sobie przypominam, musiałem ją trochę opieprzyć. No i masz, nie pamiętam nawet jej imienia. Irma – czy coś takiego. Wilma. Nie. Norma. Nie. Mam na końcu języka...

Poprowadził ją do wyjścia i poszedł przodem po śmierdzących kapustą, wilgotnych schodach. Zholował ją do siebie, rzucił się na podwójny materac i poradził jej, żeby wyskoczyła z ciuszków i dołączyła do niego.

– No tak. Trochę pogadaliśmy i w ogóle. Wyciągnąłem butelkę szkockiej i tak dalej. Ona goła, ja goły, ona praktycznie siedzi mi na twarzy i, wyobraźcie sobie, zaczynamy przyjacielską pogawędkę. A potem, no, po prostu tak się jakoś... stało, że... Nie wydymałem jej.

Kłopoty ze wzwodem, Andy?

– Nieee. Wprost przeciwnie. Stał mi jak dzida – mogłem nim załatwić dwumetrowego bambusa. Mówię wam, kiedy poszedłem do łazienki, żeby spuścić z pęcherza trochę szkockiej, musiałem praktycznie stanąć na głowie, żeby trafić do kibla, a nie oblać sobie własnego pieprzonego nosa. Nie. To nie miało nic wspólnego ze wzwodem. Ale posłuchajcie. Wiedziałem, że stanie się coś okropnego, ale zdałem się na los. Pomyślałem, że tak trzeba, no nie? Chciałem być fair wobec niej. Tymczasem ona mało mnie już do tego czasu nie pożarła, a ja nie chciałem wypaść na jakiegoś zboka albo pieprzonego maniaka seksualnego, więc nie wypadało nachylić się nad nią i powiedzieć: „Przepraszam, mała, ale coś nie mam ochoty”. Pieprzyć to. Więc po prostu czekałem, co będzie. Chryste. To było... sam nie wiem, co to było. To było...

To była rezygnacja ze stosunku. Uczucie ogromnego, ale czysto teoretycznego znużenia, połączonego z przenikliwym, świdrującym złym przecuciem, rozdrażnieniem, któremu towarzyszyło jakieś kosmiczne obrzydzenie, irytacja połączona z apokaliptycznym lękiem. Jakie było w tym jej miejsce? Czym były te jej piersi, jej kostki, jej włosy – jej oczy?

Jaka była jej rola i do czego był w tym układzie on i jego ciało? Czuł się jak pionek w jakiejś potężnej, światowej organizacji, służebny element napędowy obcego organizmu.

Dziewczyna robiła teraz strasznie dużo hałasu. Chłopak przewrócił ją na plecy i klęknął między jej rozłożonymi nogami. Zamknęła oczy, gdy jego szerokie dłonie zaczęły gładzić i ugniatać jej ciało. Chłopak drgnął. Dziewczyna spojrzała i zobaczyła na jego twarzy wyraz niemal absurdalnego wstrętu. Osunął się niczym rażony gromem na szare prześcieradło, drżący i wstrząsany torsjami. Odsunęła się od niego, płacząc bezgłośnie.

Andy dostrzegł obok niej trzecie ciało na materacu: dobrze zbudowanego młodzieńca o oliwkowej skórze, w dżinsach z oderwanymi nogawkami i w białej koszuli. Chłopak opierał się na stercie nieobleczonej poduszek, na brzuchu postawił sobie dwie puszkę z piwem. Był to Andy sprzed wielu lat. Trzynastoletni, gibki i drapieżny, czeka, uśmiechając się w przyćmionym świetle, podczas gdy one pojawiają się po kolei i przyklękają na chwilę u jego boku. Melancholijna dziewczyna z nieobecny spojrzeniem, starsza kobieta z pełnymi, macierzyńskimi piersiami, jakiś jego rówieśnik o nieprawdopodobnie drobnych, chudych ramionach, podobne do czarownic hipiski, blondynki w czarnych skórach, małe tupeciary z ulicy, uczennice, wdowy, ekspedientki, rozwódki, kobiety przeprowadzające dzieci przez ulicę, konduktorki autobusów, policjantki, dziewczęta z Teheranu, Dorking, Massachusetts, Slough, Montego Bay, Earls Court Road, Meksy, żabojadki, Niemry, małolaty, bambuski, jedna taka, która pachniała gałką muszkatołową, ta, która nigdy nie zdejmowała bluzki, choć miała fantastyczne cyce, ta z dołu, ta, która ugryzła go w kutasa, ta z góry, ta w zaawansowanej i ta w ledwie widocznej ciąży, dwunastolatka, ta, co miała pięćdziesiąt siedem lat, ta, co lubiła, żeby ją bił, ta, która nie cierpiała, jak ją bił, wysoka Pakistanka, która nie miała włosów na cipce, mała Szkotka, która w ogóle nie miała włosów, ta, od której złapał cztery różne choroby weneryczne, ta, którą

obdarzył czterema (różnymi) chorobami wenerycznymi, ta fleciara z ustami od ucha do ucha, ta ślepa, ta, która wrzeszczała, aż dom się trząsał, ta łysa, ta z nogami do szyi, ta pieprzona grubaska, ta z piersiami jak balony, ta z wklęsłymi sutkami, ta, która nie chciała wziąć do buzi, ta z supertyłkiem, melancholijna dziewczyna z nieobecnyim spojrzeniem... wszystkie dziś zapomniane, teraz odżywają w pamięci zmieniającego się chłopca.

– Oczywiście nigdy nie wiadomo, kiedy ci się to przytrafi. Tak naprawdę, to miałem taką pieprzoną sytuację ze dwadzieścia razy. Może ze trzydzieści. Jak sobie wtedy radzić? Po prostu, kiedy czujesz, że się zaczyna, udawaj, że to sprawa prochów. Och, spójrz – oblewa mnie pot, jestem słaby jak mucha, serce mi wali jak jakiś pieprzony tam-tam i czuję się jak potwór Franka. Potem to przechodzi. Jeśli dobrze pójdzie, możesz nawet po dziesięciu minutach odwalić numerek.

Wiecie, czasem myślę, że urodziłem się w samą porę. To znaczy cholernie się cieszę, że nie jestem młodszy, że nie urodziłem się później. Niektórzy z tych, co ze mną mieszkali... czternasto-, piętnastolatki, też mieli kłopoty ze wzwodem i dręczyło ich to, co i nas dręczy: fałszywe wspomnienia i uliczna melancholia. Nocne zmęczenie i takie tam. Jasne. Ale te porażki seksualne przytrafiały im się bez przerwy. Kiedy mieli pieprzyć, aż dygotali na swoich wyrkach. Mówię wam, ciągnęli druta, zanim skończyli osiemnaście lat. Cieszę się, że się stamtąd wyrwałem, zanim zdążyło mnie to wciągnąć. Urodzony w porę, akurat wtedy, kiedy trzeba – nie wariowałem na tym punkcie, ale i tak zdrowo sobie popieprzyłem. To chyba dlatego zawsze głosuję na konserwatystów. Nie wiem, jak sobie poradzi następny miot, ci, którzy przyjdą po mnie. Cieszę się, że nie jestem jednym z nich i to wszystko. Jasne?

61. W powietrzu

Wypił osiem łyków Hine'a, wytarł usta i podał butelkę małemu Keithowi.

– Jak się czujesz, mały? – zapytał.

Marvell protestował, twierdząc, że brandy nie jest bynajmniej najpilniejszą potrzebą Keitha, a jednak bezwładny karzeł potrząsnął głową, a w każdym razie poruszył ledwie dostrzegalnie oczami. Wykonanie jakiegokolwiek ruchu sprawiało mu większą trudność niż zwykle, było niewiarygodnie skomplikowane i ciężkie, mimo to Keith był wciąż całkowicie *compos mentis*. W gruncie rzeczy gratulował sobie w duchu, że wybrał taki cywilizowany i przyjemny rodzaj śmierci. Zamknął powoli oczy – i jego ciało zniknęło! Nigdy w życiu nie czuł się taki lekki, taki wolny, choć tylko pozornie, od tego ociążałego, lepkiego, byle jakiego ciała, z całym jego niedołęstwem, potrzebami, z wydawanymi przez nie dźwiękami i wydzielanymi woniami. Zakończył właśnie gruntowne sprawdzanie kondycji swego ciała. Nic. W końcu umknął, uleciał w powietrze.

– Keith, wstawaj, do kurwy nędzy – powiedział Marvell. – Andy, postaw go na te jego pieprzone nogi.

Andy odstawił gwałtownie butelkę na stół.

– Sam go postaw na te jego pieprzone nogi.

Quentin przemknął przez pokój.

– Nie czas na gry i zabawy, Andy – rzekł, wbijając palce w poddające się, sflaczałe ciało Whiteheada.

– Okej – powiedział Marvell. – Rox, idź do kuchni. Znajdź trochę musztardy, pieprzu, zjełczałego masła, starego smalca, skisłego mleka – w ogóle jakichś zepsutych resztek – włóż to do pieprzonego miksera, a potem przynieś tutaj.

– A gdyby tak dodać te jajka na twardo, które podała nam Celia? – zasugerował flegmatycznie Skip.

– Świetnie. Powinny podzielać. Jak zjedzenie padliny, no nie? Mam trochę środków wymiotnych i przeczyszczających i innego takiego szajsu, ale od tego sama Wenus z Milo dostałaby sraczki, a my chcemy z tym małym delikatnie. – Marvell pochylił się i trzepnął małego Keitha w twarz. – Hm, myślę, że powinniśmy go wynieść na zewnątrz. Nie chcemy przecież, żeby zarzygał dywan.

Przy wydatnej pomocy zebranych Keith został wyprowadzony do ogrodu.

– Czy mogę usiąść? Proszę. Posadźcie mnie, proszę.

– Nie – powiedział krótko Marvell. – Oprzyj się o ścianę.

– Już wiem – rzekł nagle Andy. Podszedł do Keitha, ścisnął jego kulfoniasty nos palcami lewej ręki i wepchnął mu długi palec wskazujący prawej do rozdziawionych ust, sięgając do gardła.

Głośne beknięcie wyrwało się z ust Keitha – i z równą gwałtownością wyskoczył z nich palec Andy’ego.

– Auuu! Ten mały skurwysyn mnie ugryzł! – wrzasnął Adorno i natarł na zataczającego się Keitha.

Tylko nadzwyczajna szybkość interwencji Quentina i przytomność Skipa uratowały małego Keitha przed wcześniejszą utratą przytomności, którą i tak miał wkrótce stracić. Kasłał jeszcze paskudnie, kiedy pojawiła się Roxeanne i zbliżyła się do niego, balansując pełnym dzbankiem nad głowami zebranych.

Odkryciu Diany, że Johnny to mężczyzna, z którym ona, Diana, od pół roku dzieli łożę, towarzyszyła jasność umysłu i niezwykle spokój. Jej zdaniem potwierdzała te podejrzenia wyznawana przez Andy’ego filozofia przemocy; choć można było uznać jego wypowiedzi na ten temat za przechwałki narwanego faceta, jego oddanie tej formie aktywności było przynajmniej częściowo autentyczne. Powoływała się na mordercze zamiary Andy’ego wobec państwa Tuckle; nawet teraz, kiedy o tym mówiła, na warsztacie w garażu stały cztery prymitywne koktajle

Mołotowa, które Andy chciał wrzucić Tuckle'om przez komin. Diana dowodziła jego aberracji i dawała przykłady świadczących o głębokiej depresji zachowań z kilku ostatnich tygodni: Andy przyznał się, że miał dwukrotnie w ciągu jednego popołudnia atak fałszywych wspomnień. Wreszcie przypomniała, że także pornograficzna kolekcja Keitha została zniszczona, najprawdopodobniej przez Johnny'ego, tego samego dnia, kiedy inni dostali listy; to czyniło Andy'ego jedynym lokatorem Appleseed, który uszedł jego uwagi. I tak dalej.

Ale czy ktokolwiek jej teraz słuchał? Do salonu docierały z ogrodu odgłosy rwane jak dźwięki z megafonu na wietrznej ulicy i słowa Diany trafiały w próżnię, zdawały się roztapiać w bezbarwnym świetle pokoju. Celia i Lucy patrzyły szklanym wzrokiem i gdy tylko Diana zamilkła, poczuła, że ześlizguje się w tę samą co wcześniejsza, powolną i rozwodnioną retrospekcję. Potem jedna po drugiej wyszły z pokoju.

– Walnij nim o ścianę – rzekł Marvell, odbierając dzban z pianistą breją od Roxeanne. – Skip, trzymaj go mocno. Musi to wszystko wypić i nie będzie mu to, kurwa, smakowało. Przytrzymaj go za nos, Rox, i pilnuj, żeby miał usta otwarte.

Zdawało się, że gdy Whitehead dotknął wargami wstrętnej cieczy, całe jego ciało aż zasyczało z obrzydzenia. Owłosiony palec Skipa wbił się Keithowi głęboko w jabłko Adama, żeby regulować przepływ. Kiedy resztki zawartości dzbana wylały się na ramiona, piersi, szyję, nos i usta Keitha, obie jego nogi wystrzeliły w niebo. Quentin i Skip puścili go, ale on pozostał w tej samej pozycji, wyprostowany, jakby przyklejony do ściany.

Żadnej reakcji.

Przykucnąwszy w trawie o kilka kroków dalej, Andy spoglądał w ich stronę, ściskając ugryziony palec.

– Widzicie, mówiłem wam – powiedział. – Wiedziałem, że tak będzie. – Niepowstrzymywany przez nikogo doskoczył do Keitha, przyklęknął

u jego boku, zakręcił ramieniem jak bejsbolowym kijem i z rozmachem uderzył go w słoneczny splot. Zdawało się, że pięść wbiła się w jego brzuch aż po przegub, nim wyskoczyła z powrotem.

Gdyby Whitehead był postacią z komiksu (gdzie prawdopodobnie było jego właściwe miejsce), skłęsłby się po prostu do jednej trzeciej swej masy i uleciałby w powietrze. A tak runął w ułamku sekundy na ziemię, bo nogi nagle uciekły spod niego, jakby ściągnął je w pędzie lassem jakiś cwałujący kowboj.

– O kurwa, moja ręka! – wrzasnął Andy. – Ty mały...

– Spokojnie, Andrew – powiedział Quentin, powstrzymując bez problemu wojowniczego przyjaciela. – Spokojnie.

Minęło dwadzieścia minut, a oporny Whitehead nie reagował ani na to, że zmusili go do połknięcia potężnej porcji trawy, ani na ugniatanie nerek i walenie po nich, ani na zgniatanie jąder, ani na to, że wywijali nim w powietrzu, trzymając go za ręce, za nogi i za włosy.

Andy stanął nad zmaltretowanym ciałem Keitha.

– Wypierdolić go – zasugerował. – Taka jest moja propozycja.

– To absurd, Andy – rzekł Quentin. – Jeśli nie uda nam się wyprowadzić go z tego, będziemy musieli...

– Będziemy musieli wezwać lekarza. Albo policję – rzekła Celia, która pojawiła się w oszklonych drzwiach. Za nią, w bardziej przytłumionym świetle stały Lucy i Diana. – Może lepiej go stąd zabrać?

Andy podszedł i od niechcienia kopnął Keitha w żebra. Ciało przyjęło kopniaka z biernością worka na pół skamieniałego cementu.

– Widzicie? Biedny sukinsyn. Jest... jest kompletnie spierdolony.

– Słuchaj... – Marvell uklęknął na betonowej płycie obok Keitha. – Słuchaj, nie chcę tu mieć żadnych gliniarzy. – Zbadał tętno Keitha. – Najlepiej będzie, jeśli dam mu dużą porcję emetyków i środków przeczyszczających i zostawimy go tu na jakiś czas. Albo – Marvell podniósł głos – albo przenieśmy go na trawę, Cele, co? Chyba nie chcemy, żeby rozerwało go na samym środku patia, co?

Celia obróciła się na pięcie i zniknęła we wnętrzu domu.

– Kobotki – powiedział Marvell pobłażliwie, ujmując Keitha za przegub.
– Próbują się na coś przydać i... hej, Skip, pociągnij go za nogi, dobra? Wiem, że Rox wkurwiłaby się strasznie, gdyby się na nią wyrzygał... Tak, dobrze, rzuć go na trawnik. No i teraz, przyjacielu, mamy problem. Połóż go na plecach, a udławi się własnymi rzygowinami. Połóż go na brzuchu, a nie będzie się mógł porządnie wysrać. Nie wiem jak ty, ale ja dałbym mu Hine'a.

Po kilku minutach Keith stał przywiązany solidnie do wciąż jeszcze kwitnącej jabłoni; dwie brudne strzykawki wisiały u jego spasionych ramion.

62. Upiorny cykl

Następnie zaczęła się zmieniać perspektywa. Kiedy tylko znaleźli się z powrotem w domu, wszystkie kąty w Appleseed zaczęły pływać, zmieniać położenie, łączyć się i składać w jakieś nowe i obce konfiguracje. Wnętrze kuchni, widoczne przez otwarte drzwi, stało się zaledwie przesuniętym rombem światła. Schody, kręte i podobne do miechów harmonii, ginęły gdzieś w oddali. Hall kołysał się jak miotany falami domek dla lalek. Gdziekolwiek spojrzeli, ich wzrok atakowała szalona geometria wnętrza.

Giles leżał, dygocząc na łóżku, niczym podwodny stwór pławiący się we własnym pocie. Jego usta zamieniły się w ul, zęby płąsały jak tancerze. Kiedy je zaciskał, nie pasowały do siebie, nie pasowały w ogóle, turnie, stromizny, granie, szczyty, zgrzytały, trąc o siebie jak zardzewiałe tryby jakiejś wiekowej maszyny. Modlił się, żeby odleciały jak białe ptaki uciekające z przemokłego gniazda. Do tego czasu pozostanie zamknięty

na cztery spusty w głębi tego domu, tego pokoju, tych ust, tych ust, z ich ślazowymi zębami i dziąsłami o smaku słodkiego sherry.

Słyszał lodówkę, jak mruczy coś łagodnie do niego, ale wiedział, że nigdy do niej nie dotrze. Było tyle przeszkód po drodze, a zresztą jego myśli ześlizgiwały się tam, gdzie był *...przezroczystej skórze i poduszkom śmiertelnego łoża och kochanie proszę patrzyłem z lubością jak ziemia wzbiera krwią w upiornym cyklu całowała go żarłocznie gdy ponure sny zmieniające się światło słoneczne odbite od zakurzonego szkła i jego zęby stara matka stara matka i maleńki Giles.*

– NIE!

Zbierając resztki, okruchy sił, Giles zwłóknął się z łóżka i ruszył jak burza w stronę lodówki. Ręce dygotały mu tak, że musiał napełnić kieliszek dwukrotnie, zanim cokolwiek mogło utorować sobie wreszcie siłą drogę przez przełyk. Kiedy się to już stało, próbował zwrócić wypity trunek. Jeszcze nigdy (był tego absolutnie pewien) nie wprowadził do organizmu substancji tak toksycznej. Przytknął nos do butelki. To był, owszem, dzin – ale pachniał tak cierpko i obco, jak mocne lekarstwo podawane nadzwyczaj delikatnemu dziecku.

– Gul, gul, gul – powiedział Giles i dodał głosem, w którym słychać było panikę, bo nagle pojął: – Gu, gu, gu!

W jednej chwili został odcięty od drzwi. Za nim ciemność bębniła tysiącem matek.

Ten karzeł pozbawiony wszelkich przyjemności i bardzo szalony dziewczyna z marzeń nic życie wśród blichtru ma przerwę, dostatecznie daleko? groza i zamęt dla mającego cztery stopy pudła w komiksowym świecie przestodzonej herbaty płacząc z żalu za każdym... Skończyło się nagle.

Whitehead drgnął gwałtownie, uderzając boleśnie potylicą o zgrubienie sękatego pnia jabłoni. Żył i ocknął się – przez chwilę próbował nawet rozluźnić więzy. Oczywiście wszystko go strasznie bolało, ale był to raczej

efekt lania, jakie spuścili mu współmieszkańcy, niż działania barbituranów, które miały go zabić; te przynosiły mu teraz tylko ulgę, neutralizując i działanie antidotum, i efekt razów, jakie musiało przed chwilą znieść jego ciało. Mimo wszystko czuł się teraz o niebo lepiej niż, powiedzmy, każdego przeciętnego poranka, był w wyraźnie lepszej formie, zdrowszy, jakby mniej udręczony swoją fizycznością.

Co jednak tutaj robił? Nawet w najlepszych czasach głowa małego Keitha nie była tą częścią ciała, którą było mu najłatwiej manewrować, więc tylko z najwyższym trudem i kosztem bólu udało mu się uwolnić podbródek z ocierających go więzów i zerknąć kątem oka na fragment domu widoczny po lewej stronie. Wszystko pogrążone było w ciemnościach i niepokojącej ciszy. Dlaczego mu to zrobili? Czy był tu dla żartu, jako obiekt seksualny, czy jako manekin do ćwiczenia celności? Wyczuł, że coś, jakiś ciężki, metalowy przedmiot, trzepie go po ramieniu. Spojrzał z ukosa i zobaczył igłę wbitą w jego prawy „biceps”. Ocierając sobie boleśnie szyję, odwrócił głowę i zobaczył bliźniaczą strzykawkę dyndającą u lewego ramienia.

Potem poczuł, że jego ciało zaczyna odżywać. Miękka maszyna jego organizmu poruszyła się, zaskrzypiały dźwignie, stęknęły pompy, otworzyły się śluzy, zaszumiały rury. Keith wygiął się w łuk, usiłując zapanować nad sobą, gdy znów stał się hutniczym piecem, huczącą pożogą oszalałych gruczołów.

63. Antidotum

A kiedy zniknęły odległości, dom zamienił się w końcu w piekło. Z minuty na minutę atmosfera zmieniała się radykalnie, wrzała, ulatniała się, rozptywając się w nicość. Masy parnego powietrza przelewały się przez skurczone pokoje. Korytarze zwały się, nikiąc w całunach podmorskiej

mgły. Probostwo Appleseed było teraz piekłem, a jego mieszkańcy pełzali po nim z zapożyczonymi twarzami i unieważnionymi oczami. Wierzgali, rozpychali się w tym łonie, potem zwijali się na podłodze i wtedy wsysali ich gorący, wypełniony głuchymi odgłosami sen.

Skip natrafił na Andy'ego rozciągniętego na schodach twarzą do ziemi. Andy ścisnął w dłoni dużą czerwoną pigułkę, na wpół rozpuszczoną od potu. Skip wyjął mu ją z palców i przeczołgał się przez ciało Andy'ego.

Diana klęczała w szafie na piętrze. Szukała w stertach starych ubrań wczorajszych lalek.

Giles przykucnął pod kuchennym stołem. Gdyby usłyszał jakiś hałas, czmychnąłby za kuchenkę. Gdyby i stamtąd usłyszał jakiś hałas, umknąłby pod stół.

Lucy otworzyła oczy. Marvell sikał jej na nogi. Chciała coś powiedzieć, ale nie mogła wydobyć słowa.

Roxeanne leżała jak rozgwiezda na grubych poduszkach i onanizowała się delikatnie obłupanym cybuchem nargili.

Celia stała wyprostowana w fotelu. Deklamowała przez łyż strzępy zapomnianych wierszyków dla dzieci.

Quentin obudził się w pustym hallu. Trzymając głowę pomiędzy zaciśniętymi pięściami, podniósł się na klęczki. Kiedy otworzył oczy, wystawiając je na atak boleśnie rażącego światła, zmusił się całą siłą woli do skoncentrowania wzroku na jakichś szybko uciekających kształtach. Zatonął się w stronę najbliższej ściany i mocno przycisnął czoło do zimnego kamienia. Oddychając głęboko, starał się odzyskać panowanie nad swym ciałem i umysłem.

Znalazł Marvella w łazience, samego, chichoczącego cicho nad stosem brudnej bielizny.

Podniósł Marvella za włosy i cisnął nim z furją o drzwi.

Oczy Marvella patrzyły nań nieprzytomnie.

– Antidotum – powiedział dobitnie Quentin. – Odtrutka. Masz pięć minut. Zrób to, Marvell. Albo cię zabiję.

64. Podwieczorek, czyli zaczyna się od nowa

Dosyć? Czy mamy dosyć? Nic oczywiście łatwiejszego, jak dać Amerykanom trochę zjeść, nawet trochę pospać i kazać im zbierać manatki – co niby oznaczałoby pozbycie się Johnny’ego. A jeszcze przy okazji mogliby po drodze odstawić małego Keitha do szpitala. Byłby to pewien kłopot, ale ogólnie biorąc... no tak, przywrócenie spokoju w Appleseed wymagałoby odrobiny inwencji. Niestety jednak nie ma powrotu do spraw, które w pewnym sensie nie miały się nigdy zdarzyć, spraw, które zaczęły się zbyt dawno. Te sprawy toczą się ciągle. Nie są zakończone. Nie zaczęły się jeszcze.

Jest wpół do trzeciej i w kuchni Appleseed słychać rozbawiony gwar głodomorów zasiadających do podwieczorku. Sącząc schłodzonego Hocka i lekkie Mateus Rosé, spałaszowali furę tostów, kanapek z ogórkiem i rzeżuchą, sucharów z selerową solą i pastą z awokado. Celia jest wciąż przygnębiona z powodu Mandaryna (którego Quentin obiecał pochować z pompą jutro), ale poza tym nie ma czego za bardzo żałować, bo niewiele jest do wspomnienia. Jedynym pewnym wspomnieniem, jakie mają, jest uczucie niemal wibrującego strachu połączonego z czymś bardziej nadprzyrodzonym, kuksańcem głębszej pamięci, duchowym napięciem, które napełnia ich wszystkich uczuciem wyszukanej i subtelnej udręki. Czują się jak badacze głębin oceanu po jakiejś fascynującej i najeżonej niebezpieczeństwami podwodnej wyprawie albo, to może lepsze porównanie, jak bezpiecznie lądujący na Ziemi astronauta, którzy wśród

wiwatów tłumu uświadamiają sobie w duchu fakt, że poznali cały ból i tragizm odosobnienia w kosmosie.

Nagle Andy cisnął z trzaskiem swój talerz i zerwał się na równe nogi.

– Mały Keith! – powiedział. – Co z małym Keithem?

– O Boże – westchnęła Diana, kiedy mężczyźni wybiegli z kuchni. – Zaczyna się od nowa.

W ołowianym świetle padającym z garażu wydawało się, że z jabłoni wyrósł u podstawy drugi pień, krótka i guzowata odrośl.

Skip spojrział na Marvella.

– Jezus. Myślisz, że on jeszcze żyje?

– Andy?

– Nie pytaj mnie, mistrzu – odparł Andy. – Niech mnie, kurwa, szlag, jeśli podejść do tak śmierdzącego faceta.

Quentin schował nos w perfumowanej chusteczce.

– Drgnął – stwierdził Marvell, po czym dodał ciszej: – On chyba drgnął.

– Jak się dowiemy, czy żyje? – zapytał Quentin przez swą wonną chustkę.

Andy strzelił palcami.

– Mam! Wąż. Chodź, Quent, pomóż nam – powiedział rozradowany. – Zawsze mówiłem, że jak człowiek trochę pogłókuje, to znajdzie radę na wszystko.

Wąż używany w gospodarstwie Appleseed kupiono za radą Andy'ego z drugiej ręki, od faceta z miejskiej straży pożarnej w Catford, S.E.5. Chociaż w ogrodzie przydawał się średnio – nie tyle podlewał grządkę, w którą się celowało, ile ją pustoszył – Andy utrzymywał, że ten jedyny egzemplarz ciężkiego sprzętu, jaki posiadali, będzie przydatny w takich rutynowych domowych pracach, jak odpędzanie miejscowych włośczęgów, straszenie Tuckle'ów i tak dalej. (Andy zlekceważył całkowicie obiekcje, że sprężarka do wody będzie kosztować Gilesa dwa tysiące funtów – i Giles stanął po jego stronie). Wylot węża miał cztery cale średnicy.

Ustalono doświadczalnie, że strumieniem można powalić wieśniaka z odległości dwudziestu pięciu jardów.

Andy stanął teraz szeroko rozkraczony w odległości nieco mniejszej niż jedna trzecia tego dystansu od Keitha i zaparł się mocno nogami. Uniósł prawą rękę, lewa ścisnęła ciężki ryj węża. Potem przeciął dłonią powietrze.

– Już! – ryknął.

Kiedy pierwszy słup wody uderzył Keitha w twarz, jego złachmaniona, chwiejąca się sylwetka nabrała rozpoznawalnych kształtów, a gdy Andy zaczął manewrować węzem, poruszając nim w dół i w górę, wydawało się, że sflaczała postać tańczy, wyzwolona z więzów. Sześć minut później prawe ramię Andy'ego jeszcze raz przecięło powietrze.

– Okej! – zawołał. – Powinno wystarczyć.

Andy, Quentin, Skip i Marvell zbliżyli się ostrożnie, nieregularnym półkolem do drzewa.

Quentin i Marvell spojrzeli na siebie zdjęci nieudawaną grozą.

– Cholera. Może jednak powinienem trochę przyhamować z tym węzem – powiedział Andy, widząc, że świeża pomarańczowa krew cieknie z ust, nosa i oczu Keitha.

Marvell ujął Whiteheada za przegub, usiłując wyczuć nagle tętno.

– Jest! Słabe, ale jest!

– Choć z drugiej strony – ciągnął Andy – prawdopodobnie właśnie tego było mu trzeba. Dobrego kopa. I podziałało.

– Odetnij go, Skip – powiedział Marvell.

Kiedy Skip przeciął ostatni sznur, Keith runął jak kłoda w błoto powstałe w wyniku obfitego polewania węzem. Jeśli nie liczyć skórzanego paska, był właściwie nagi, bo silny strumień zdarł z niego szlafrok; to, co zostało, przylegało do jego białej skóry w postaci wąskich strzępów.

– Co o tym myślisz, Marv? – zapytał Andy.

Marvell wyciągnął swój portfel ze strzykawkami i uklęknął na trawie.

– Wstrzyknę mu w dupsko trochę denaturatu. Potem musi się

przespacerować.

– Jasne. Poczęstuję go jeszcze raz z węża. Mamy to cholerstwo za sobą, tylko trzeba go jeszcze porządnie wyczyścić. Nie chcę sobie ubrudzić rąk tym błockiem.

– Błockiem? No tak, słusznie.

– Żyje? Co z nim? – zawołała Lucy, stając w drzwiach do ogrodu.

– Z Keithem? – zapytał Andy. – Śmieje się.

65. Teraz wydaje mi się to głupie

Kiedy Lucy wróciła do salonu, Giles stał przy drzwiach; robił wrażenie spiętego.

– Mówią, że z Keithem wszystko w porządku.

– Och... To dobrze.

– Co ci jest, Giles?

– Lucy, mój przyjaciel prosił mnie, żebym cię o coś zapytał.

– Jaki przyjaciel?

– Po prostu przyjaciel.

– Rozumiem.

– Przyjaciel – powtórzył Giles.

– Tak, słyszę. Co takiego chciał wiedzieć?

– Mój przyjaciel chciałby wiedzieć, czy mogłabyś... czy mogłabyś wyjść za mąż za kogoś, kto nie ma... gdyby ten ktoś miał...

– Miał co?

– Nie, w tym właśnie rzecz. Jeśliby nie miał... jeśliby miał... jeśli nie ma...

– Czego nie ma?

– Jeśli nie ma... jeśli ma...

– Wyduś to wreszcie, Giles. Chryste.

– No więc, rozumiesz, mój kuzyn chciałby w zasadzie wiedzieć, czy wyszłabyś za mąż za kogoś, kto ma... kto nie ma...

– O Jezus, czego?

– Kto nie ma zębów. Kto ma protezę. Mogłabyś?

– Gdybym go kochała, to oczywiście, że bym mogła!

Giles oparł się o drzwi.

– O rany. Nigdy nie myślałem o tym, że powinienem się ożenić – powiedział, żeby się trochę uspokoić.

Giles nalał kieliszek Hocka i powiedział do Roxeanne:

– Mówią, że z Keithem już wszystko w porządku.

Roxeanne była od początku pewna, że tak się to skończy.

– Dzisiaj na wszystko jest rada.

Celia wstała i z pomocą Diany zaczęła wstawiać naczynia do zmywarki.

– No cóż, jeśli jest już zdrów, będzie sobie musiał poszukać innego domu.

– Racja – poparła ją Diana. – Nie mam czasu dla samobójców. To po prostu zbyt nudne. Moja koleżanka ze szkoły miała wypadek samochodowy i odwiedzałam ją codziennie przez trzy miesiące. Rok później ta dziwka wsadziła głowę do piecyka, bo jej chłopak nie mógł zerwać z pedalstwem. I myślicie, że choć raz odwiedziłam ją potem w szpitalu? Absolutnie nie. I powiedziałam jej dlaczego.

– Zgadza się – rzuciła Celia. – To egoistyczne, głupie i śmiertelnie nudne.

– Cóż – odezwał się Giles. – Nie wiem, czuję po prostu... Ten narkotyk i tak dalej... Czuję wielką ulgę.

A potem Giles Coldstream zrobił coś, czego nie robił przez pięć lat. Odwrócił się do Roxeanne i uśmiechnął się – nie swoją zwykłą, tragikomiczną maską z zaciśniętymi ustami, ale szerokim uśmiechem, szczerym, chłopięcym i promiennym.

Roxeanne wychyliła się gwałtownie do przodu i zmarszczyła brwi.

– Hej, człowieku, co z twoimi zębami? Masz tam same druty i próchno...

Przewróciwszy szklanę, a potem krzesło, Giles zaczął się cofać z zastygłą twarzą, na której malowało się poczucie winy i przerażenie.

– Słuchaj no... – ciągnęła Roxeanne, nacierając na Gilesa, który cofał się i gestykułował jak artysta kabaretowy, który chce uciszyć nadmiernie przedłużające się brawa. – Ile ty masz lat, do kurwy nędzy? Twoje zęby to kompletna ruina.

Powstrzymując łzy, Giles, przerażone dziecko, wypadł z pokoju.

„Wędrowali rypcium-pypcium i śpiewali rypcium-pypcium – śpiewali Quentin i Andy, dwie podpórki dla uwieszonego Keitha. – Nie mieli pieniędzy, ale mieli czas”.

– Hej – przerwał nagle Andy. – To straszna mordęga. Gdzie są, kurwa, ci Amerykańcy? Dlaczego trochę z nim nie pochodzą?

Keith zaczął jęczeć. Przypominało to piskliwe, kocie miauczenie.

– Przynajmniej wiadomo, że żyje – zauważył Quentin. – Nie zmarnowaliśmy czasu.

– Nie – powiedział Keith spuchniętymi wargami, tak że zabrzmiało to jak „mie”.

– Co „mie”, ty mały trupolu? – zapytał Andy.

– Mie – powiedział Keith. – Mie do tudni. Mie wdutajcie mie do tudni. Mie toptie mie.

– Nie wrzucać cię do studni? Quentin, on gada tak, jakbyśmy go co noc wrzucali do studni. Ma o nas cholernie dobre zdanie, ten Keith. Oto wdzięczność.

– „Nie topcie mnie” – powtórzył Quentin. – Ach, coś mi się przypomniało... On w końcu nie wziął tej odtrutki, co?

Keith zaczął płakać rwanym falsetem, żałośnie jak dziecko.

Quentin i Andy spojrzeli na siebie wytrzeszczonymi ze zdumienia oczami.

Giles też płakał. Płakał, przygotowując papier listowy i ołówki. Grube krople łez plamiły list, który pisał.

Drodzy Wszyscy. Bóg mi świadkiem, że od czasu mojego wypadku było mi bardzo ciężko. Mimo to starałem się z całych sił przebrnąć jakoś przez to moje życie. Ale dziś, po tym, co powiedziała Rocks-Ann, naprawdę nie wiem, co mam...

Pociągnął głośno nosem. Wstał. Kiedy szedł do barku, w jego chodzie pojawiła się jakaś zmiana.

– ...rypcium-pypcium... o Jezus. Zaraz mi, kurwa, odpadnie ręka. Hej! Niech no który tu przyjdzie, wy leniwe skurwiele!

Skip i Marvell ukazali się w świetle padającym z garażu; obaj zapinali paski spodni. Wolnym krokiem skierowali się w stronę kuśtykającego tria.

– No i w jakiej jest formie?

Andy wyszarpnął ramię Keitha spod swojego i z całej siły pchnął nagie bezwładne ciało w stronę Marvella i Skipa.

– Gdzieście byli? Sraliście, pieprzyliście się, czy co?

– A co to za różnica? – zapytał Marvell wytwornie.

– Żeby was pojebało – powiedział Andy, ruszając z Quentinem u boku w stronę domu.

Usiedli na stopniach w drzwiach do ogrodu. O piętnaście jardów od nich Skip, Marvell i Keith maszerowali w przyćmionym świetle w kółko, jak nakręcane figurki w jakimś animowanym niemym filmie. Andy wyciągnął swoją maszynkę do skrętów i w pół minuty przygotował dwa skręty.

– Ej, bracie – powiedział refleksyjnie, wręczając jeden Quentinowi i przypalając oba. – Ten cały Keats. Ile miał lat, jak kopnął w kalendarz?

– Dwadzieścia sześć – odparł Quentin.

(W prawo, chłopie, w prawo! – ryknął Skip do połamanego Keitha).

– Naprawdę? – zdziwił się Andy i wzruszył lekceważąco ramionami. – To według mnie wcale nie tak mało. I na czym polegało to całe wielkie... halo?

– Zapewne uważali, że nie zdążył wykorzystać pełnego potencjału twórczego.

Nieprzekonany Andy wysunął dolną wargę i pokiwał głową.

– Potencjału do pieprzenia – powiedział.

– Quentin? – zapytał głos za ich plecami.

Quentin odwrócił się w stronę drzwi, w których zamajaczyła sylwetka Gilesa.

– Ach, to mój przyjaciel, Giles – powiedział.

– Co z Keithem? Przyszedł do siebie?

– Czuje się względnie dobrze. Można powiedzieć, że znacznie lepiej.

– Rozumiem. Więc nie zawieziecie go do szpitala?

– Mamy nadzieję, że oszczędzimy sobie tego kłopotu.

– Och, rozumiem, w zasadzie. – Giles odwrócił się, żeby odejść.

– A czemu pytasz, Giles?

– No bo... bo ja zrobiłem to samo. Ale nie chcę sprawiać wam kłopotu. Zawracać wam głowy. Pójdę po prostu na górę.

– Co znaczy, że zrobiłeś „to samo”?

– Popęłniłem samobójstwo, że tak powiem. Wypiłem dwa litry brandy na raz. No nie, właściwie na dwa razy, bo...

– Giles, mówisz poważnie?

– Aha. Według podręcznika powinienem umrzeć w ciągu dwudziestu pięciu minut. Teraz wydaje mi się to głupie. Ale jeśli wy nie... To znaczy ja nie...

Quentin zerwał się na równe nogi.

– Witamy w naszym klubie, mały – powiedział Andy, pstryknięciem posyłając skręta w powietrze.

66. Koniec zabawy

Dwadzieścia sekund później Quentin dzwonił do Centralnego Szpitala w Hampstead, gdzie pielęgniarka z wyraźnie irlandzkim akcentem zaczęła go zapewniać, że pacjent w opisanym przez niego stanie nie ma szans dojechać do szpitala żywy. Jedyny odpowiednio wyposażony zespół medyczny przygotowany do tego, by zająć się takim przypadkiem, jak powiedziała, to Oddział Intensywnej Terapii w Instytucie Blishnera w Potters Bar. Ona może zadzwonić tam osobiście i poprosić ich o przygotowanie zabiegu płukania żołądka na B4, gdzie powinno się natychmiast umieścić pacjenta z tego rodzaju objawami. W trakcie całej tej rozmowy Giles siedział na sofie z zawstydzonym uśmiechem na twarzy. Lucy siedziała obok niego, głaszcząc go po głowie i starając się jak najmniej mówić.

Quentin rzucił słuchawkę.

– Dobrze. Skip, który samochód jest szybszy – chevrolet czy jaguar?

– Chev – powiedział Skip. – Podszykowałem go specjalnie. Będziemy na miejscu...

– Wyprowadź go i zapuść silnik. Lucy, Roxeanne, zaprowadźcie Gilesa do samochodu. Weźcie też Keitha. Koniec zabawy.

Mieszkańcy Appleseed wysypali się hałaśliwą grupką na podjazd.

– Wrzucie małego Keitha z tyłu – powiedział Marvell. – Wciąż śmierdzi jak zaraza.

– To pogotowie miłosierdzia! – rzekł Andy, chwytając Keitha za włosy i za pasek na plecach i wrzucając go do bagażnika.

– Siadaj z przodu, skarbie – powiedziała Roxeanne do Lucy. – Będziesz pilotować Skipa. Ja zajmę się Gilesem.

Andy usiadł z Roxeanne i Gilesem z tyłu, Lucy obiegła samochód, żeby usiąść z przodu, obok Skipa. Silnik chevroleta pracował już, kiedy od

grupki, która pozostała na werandzie, oderwał się Quentin i podbiegł do samochodu. Wsunął głowę przez okno od strony kierowcy i wręczył Skipowi kopertę.

– Tu masz szczegóły. Znam szefa szpitala i to może przyspieszyć sprawę. Otwórz, kiedy będziecie na miejscu.

Skip wsunął list do kieszeni ortalionowej kurtki i zasunął zamek. Quentin klepnął dwukrotnie w dach samochodu.

– A teraz prujcie jak rakietą!

Siejąc żwirem spod kół, chevrolet zniknął w mroku nocy.

– Ale katuja – powiedział Andy (Skip włączył odtwarzacz). – Niesamowite! Och, po prostu łeb urywa!

Kiedy samochód wyjechał na prostą, Giles osunął się bezwładnie na podłogę. Andy miał już zwrócić na to uwagę Roxeanne, kiedy zobaczył, że jej ręka zaczyna błędzić w okolicach jego krocza. Oczy wyszły mu z orbit.

– Tu skręcamy? – zapytał Skip.

– Pierdol się – rzekł Andy.

– Tak. Tutaj – powiedziała Lucy.

Skip skręcił w dwupasmówkę z szybkością siedemdziesięciu pięciu mil na godzinę. Ciężki wóz przechylił się niebezpiecznie, potem wrócił do normalnej pozycji. Andy spojrzał w dół, na głowę Roxeanne, która podskakiwała rytmicznie nad jego krocem.

– Chryste – powiedział w uniesieniu. – My wszyscy tu zdychamy. Wszyscy!

67. Wiosenne porządki

Quentin pozwolił Celi objąć się na chwilę, po czym zagonił ją z powrotem do domu. Diana i Marvell stali zdenerwowani w hallu.

– No dobrze – powiedział Quentin. – Nie wyobrażam sobie, żeby policja,

przy całej swojej niekompetencji, nie zwróciła uwagi na dwie próby samobójstwa podjęte w tak krótkim odstępie czasu. Czy zatem możemy przystąpić do działania? Marvell, czy mógłbym złożyć na twoje barki odpowiedzialność za prochy? Zbierz wszystko i przyjdź z tym do mnie. Nie zawracaj sobie głowy haszem i nie wiadomo czym – weź tylko twardy towar. Celia, Diana, czy mogłybyście się zabrać do, że się tak wyrażę, wiosennych porządków? Usuńcie w każdym razie najbardziej rzucające się w oczy dowody pijaństwa i rozpusty. Ja zaniosę butelki do garażu i zajmę się ogrodem. I zbierzmy się ponownie w salonie za, powiedzmy, piętnaście minut...

Tymczasem minęło wpół do czwartej. Quentin napełnił dwa kieliszki benedyktynem z jedynej butelki, jaka pozostała w pokoju.

– Wspaniale – powiedział. – Teraz zaczekamy.

Marvell spojrzał na zegarek.

– Powinni już być na miejscu.

Przez chwilę siedzieli wszyscy, pozwalając, by opadało z nich zmęczenie. Potem Diana wstała.

– Idę spać – oświadczyła.

Quentin zerwał się z fotela. Pocałował Dianę zgrabnie w usta.

– Dobranoc, Diana. Dziękuję ci za pomoc. – Spojrzał porozumiewawczo na Marvella i Celię. – Myślę jednak, że my jeszcze zostaniemy i przejrzymy wszystko dokładnie.

– No dobrze. – Diana zawahała się przez sekundę. – Czekajcie... czy coś nie zostało? Czy nie... Czy nie zapomnieliśmy o czymś?

Quentin rozłożył ramiona.

– Nie widzę nic takiego.

Oczy Diany zdradzały, że usiłuje sobie coś przypomnieć.

– Nasz weekend... jest wobec tego zakończony?

– Nie wiem, co jeszcze mogłoby się zdarzyć – powiedział Quentin.

68. Biały pokój

Chevrolet zahamował ze zgrzytem obok ambulansu na dziedzińcu Instytutu Blishnera przed Oddziałem Intensywnej Terapii. Kiedy cała piątka wysypała się ze środka, wysoki młody praktykant z długimi czarnymi włosami przewiązanymi opaską natychmiast wytoczył wózek zza rozsuwanych drzwi.

– To ten? – zapytał i przystąpił do układania Gilesa na białym prześcieradle.

– Tak.

Już mieli ruszyć w stronę budynku, gdy nagle Andy pstryknął palcami.

– O kurwa! – powiedział do Lucy. – Znów zapomnieliśmy o Whiteheadzie.

Podbiegł do samochodu, dokonał ekshumacji małego Keitha z bagażnika i ruszył truchtem z powrotem, z ciałem przewieszonym bezwładnie przez ramię.

– A z tym co? – zapytał lekarz, patrząc w osłupieniu na zakrwawioną twarz Keitha.

– Eee, tego... – powiedział Andy. – Po prostu połknął furę aspiryny.

– To widać, cholera – rzekł lekarz. – Lepiej stąd nie odchodźcie.

Skierował się w stronę kolejnych automatycznych drzwi i poprowadził ich przez pogrążony w półmroku hall, a potem korytarzem do małego białego pokoju.

– Poczekajcie tutaj.

Andy odprowadził go wzrokiem.

– Ten facet szuka guza – powiedział, upuszczając ciało Keitha na ziemię.

– Ja tu nie zostaję – odezwał się Skip. – Gość nie żartuje, a ja jestem naćpany.

– Spokojnie – rzekł Andy. – Mówię ci, on szuka...

– Hej – powiedziała Roxeanne, otwierając drzwi szafki, za którymi ukazały się cztery półki pełne buteleczek i słoiczków. – Spójrzcie na to!

– Chryste. – zawołał Andy. – Popatrzcie. Mandrax! Adrenalina! Azotyn amyli! – Odwrócił się błyskawicznie do Skipa. – Leć do samochodu, zawróć i czekaj. Zaraz tam będziemy. – Zaczął pakować leki do kieszeni, Roxeanne poszła w jego ślady. Skip odsunął nogą Keitha i wybiegł na korytarz.

Leżący na podłodze Keith wyglądał, jakby nie żył od tygodnia. I był tam też Giles, który tonął i konał, konał powoli w białym pokoju. Lucy podeszła do noszy. Ujęła oburącz jego bezwładną dłoń. Jej oczy płonęły pełną niedowierzania odrazą.

– Andy – szepnęła.

Andy, ze słoiczkiem pigułek w dłoni, odwrócił się i spojrzał na nią wybałuszonymi oczami.

– Ta?

– Andy. Co ty robisz? – Głos Lucy drżał. – Wynoś się stąd i zostaw nas samych. Wynoś się.

Andy opuścił ręce.

– Co jest, do cholery, Lucy? O co ci, do jasnej cholery, chodzi?

69. Złe wczorajsze dni

W mniejszym z saloników Appleseed, na różowym szezlongu spoczywał w półleżącej pozycji Quentin; na jego udach leżał egzemplarz *Le Neveu de Rameau* Diderota. Ale Quentin nie czytał. Siedział w medytacyjnej pozycji, z głową odchylną do tyłu, z palcem wskazującym przyciśniętym do nosa.

W większym saloniku Appleseed, nieświadomi obecności Quentina za na pół przymkniętymi drzwiami, siedzieli na sofie Celia i Marvell.

– Tak, owszem – mówił Marvell. – W swoim czasie bywałem już tutaj.

Kiedy odwiedzałem... kiedy wpadałem do domu Quentina.

– Ach tak? A więc bywałeś w Tallbury?

– Nie, w żadnym Tallbury. Jak to się nazywało... Kurewsko wielkie domostwo na wsi. To było...

– Tallbury – powtórzyła Celia. – Więc zdążyłeś ich poznać, zanim zginęli?

– Zginęli? Wszyscy?

– W katastrofie lotniczej – powiedziała Celia beznamiętnie.

– Jakiś czarterowy lot, czy co?

– Prawdopodobnie. Takie loty są bardziej niebezpieczne. Brat przeżył.

– Brat? Ach, tak, ten „brat”. Rozumiem. Fatalna sprawa. Bardzo ich oboje lubiłem. Quentin mi nic nie mówił.

Obok, w mniejszym saloniku, książka ześliznęła się z ud Quentina. Nie wykonał najmniejszego gestu, żeby ją podnieść.

– Lubieś ich? – zdziwiła się Celia. – Quentin nigdy nie był z nimi w zbyt dobrych stosunkach.

– No tak... ale oni go chyba lubili, co, Cele?

– Utrzymywał z nimi kontakty tylko ze względu na pieniądze.

– Aha – powiedział Marvell. – To na tym polegał cały trik.

– Nie było w tym żadnego triku. Pieniądze prawnie mu się należą.

– Powiedzmy.

Siedzący obok Quentin przymknął oczy. W ich kącikach igrało białe światło.

– Kiedy tam byłeś? – zapytała Celia.

– Gdzieś na początku zeszłego roku.

– Zeszłego roku? Przecież rodzice Quentina zginęli cztery lata temu.

– Rodzice? Jego rodzice? Nie, Celia. Ja nie mówię o domu jego rodziców. Z tym domem to był taki przekręt: Quentin ciągnął z tego forszę. No wiesz, jeden z tych luksusowych pensjonatów dla starych pierdzieli. Zbierasz ich w jednym miejscu, wyciskasz z nich szmal, a jeszcze może ci coś zostawia, jak wykorkują.

– Mówisz o domu starców?

– No tak. O ile wiem, Quentin nigdy nie znał swoich rodziców. To był niezły numer. Wyciągaliśmy z tego, w każdym razie ja wyciągałem cztery, może pięć stów na...

– Quentin?

Quentin otworzył oczy. Westchnął i poczuł, jak wielki przygniatający go ciężar unosi się w górę. Potem wszystkie jałowe, złe wczorajsze dni spadły na niego jak świeży śnieg.

– Quentin? – zawołała Celia. – Quentin!

– Tak? – powiedział Johnny.

CZĘŚĆ TRZECIA
NIEDZIELA

LXX Johnny

miał wiele zajęć – w poniedziałki był sprzątaczem w położonej nad rzeką fabryce aborcyjnej Greka Charliego, we wtorki sprzedawał półlegalnym imigrantom próbki szczyn, które szmuglowali do laboratorium, w środy eksmitował wdowy i kaleki z kamienic czynszowych w południowym Londynie, w czwartki zajmował się usypianiem piesków i kotków dla pseudonaukowców przeprowadzających wiwisekcje, w piątki wyrywał pazury facetom z konkurencji, weekendy miał dla siebie – a wtedy zajmował się narkotykami – prowadził cztery wytwórnie kwasu, jeździł co tydzień do Tangeru, targował się z Chińczykami rozprowadzającymi heroinę, kontrolował rynek koki na trzech kontynentach i działał na całego na rynku seksu, a był tak przystojny, że kiedy pojawiał się na ulicy, migdalące się pary aż się śliniły z pożądania i obejmowały się wzajemnie, żeby nie upaść z wrażenia, ciężarówki i minikabriolety z dziewczętami za kierownicą wjeżdżały z wrażenia na chodnik, rozwalając witryny sklepów, ludzie w różnym wieku padali na jego widok na kolana, był mistrzem zakamuflowanych burdeli, pionierem w dziedzinie stręczenia małolatów, po dwieście od frajera, zanim jeszcze skończy, dopóki wszystkie jego pornograficzne fantazje i sny o fortunie nie zaczęły blednąć – i nagle to nie on siedzi w tym pogrążającym się w ciemnościach pokoju, ale ktoś, kto rozświetla błyskami mrok w poszukiwaniu imienia i...

– Quentin?

– Tak – powiedział Johnny.

Celia przestąpiła próg i Johnny jednym ohydny, zwierzęcym skokiem

znalazł się na jej plecach, a potem niczym wielki insekt o giętkich odnóżach przewrócił ją na podłogę. Chwyciwszy żonę za włosy, zaczął walić jej twarzą o kamienną posadzkę, tłuc nią tak, aż zamieniła się w mokrą, słodkawą miazgę. Nie oglądając się za siebie, podskoczył i wyrzuciwszy prawą rękę do tyłu i w górę, zgruchotał kantem dłoni szczękę nadchodzącego Marvella. Potem kopał go tak długo, aż ustały wszelkie drgawki i ciało Amerykanina znieruchomiało.

Diana wyczuła, że na dole dzieje się coś niepokojącego. Była już w szlafroku, kiedy usłyszała stłumiony odgłos kroków na schodach, a potem ciche pukanie do drzwi.

– Kto tam?

– Quentin – rzekł Johnny.

Diana otworzyła drzwi.

– To ty – powiedziała, zamykając je za nim. – Och nie, Johnny, nie zabijaj mnie. Błagam, nie zabijaj mnie, Johnny.

71. Ku pędzącym im naprzeciw światłom

Skip bębnił palcami w kierownicę. Ustawił lusterko tak, żeby widzieć drzwi szpitala. Zaklął szpetnie. Potem przypomniał sobie kopertę, którą dał mu Quentin. Wyciągnął ją z kieszeni. Była zaadresowana, jak dopiero teraz zauważył, do niego osobiście: Skip Marshall, Reg.:8765438, c/o Buzhardt, 20120 South Richmond Avenue, LA, 73565, Calif. Lakowa pieczęć była już złamana, papier pomięty. Skip wyjął list: od razu rozpoznał nerwowe, pochyłe pismo.

Synu. Wyjechałem z Honkville i tak sobie medykuję, czy nie mogliby my jeszcze raz spróbować spełnić wolę Matki, co

umierając w moich ramionach powiedziała, że nam wybacza, tobie i mi. Mam pieniądze na autobus powrotny, powiedziała, żebyś wrócił i był znów moim synkiem, jak najszybciej się da. Twój kochajoncy ojczulek, Philboyd Marshall junior.

PS Zrób to, chłopcze

JOHNNY.

Kartka niebieskiego papieru zatrzepotała i wypadła z palców Skipa; w tej samej chwili z drzwi wypadli Andy i Roxeanne i zbiegli pędem ze schodów.

Roxeanne usiadła obok Skipa, Andy z tyłu.

– Luce została z umarlakami, ale my jedziemy! – zawołał Andy, przykładając zwinięte w trąbkę dłonie do ust. Zawył triumfalnie, a potem zawołał do Roxeanne: – Rox, kopsnij no trochę adrenaliny!

Kiedy chevrolet wyjechał na szosę, Skip docisnął pedał gazu do dechy.

– Zatrzymaj przy najbliższym parkingu, skarbie – powiedziała Roxeanne. – Andy i ja chcemy się pierdolić. Prawda, Andy?

– Jasne – odpowiedział Andy z tylnego siedzenia.

Skip nie odpowiadał. Samochód przekroczył prędkość osiemdziesiąt mil na godzinę.

– Ach, skarbie, nie szalej – rzekła Roxeanne. – Musisz uważać. Prawda, Andy?

– Mam wszystko w dupie – powiedział Andy.

Skip nie reagował. Strzałka prędkościomierza skoczyła do sto czterdzieści pięć kilometrów.

– Hej, wyluzuj! – zawołała Roxeanne. – Skip! Zwolnij!

Skip nie odpowiadał. Utkwił martwe spojrzenie zza szkła w rozwijającej się przed nimi wstędze szosy.

– Super – mruknął Andy. – To trasa szybkiego ruchu. Fantas...

Nagle Roxeanne opadła szczęką. Podniosła z podłogi niebieską kartkę.

– Andy, ty pieprzony pojebie! Ty mu to dałeś?

Samochód pruł z prędkością stu dziesięciu mil na godzinę.

– Co takiego? – Andy wychylił się do przodu. – Nie. Quent mu to dał. To jest...

Roxeanne zaczęła okładać pięściami twarde jak stal ramiona Skipa.

– Kurwa, kurwa, kurwa! – wrzeszczała. – Skip, kochany, zabijesz nas! Andy, zrób coś, każ mu zatrzymać!

– Quentin – rzekł Andy. – To on jest Johnnym.

– Andy Andy Andy!

– Diana... – powiedział Andy i wypuścił powietrze.

– Andy... Andy...

Andy opadł na oparcie.

– Ach, mam wszystko w dupie – powiedział.

Chevrolet pruł z prędkością stu trzydziestu pięciu mil na godzinę, kiedy wpadł na zjazd z autostrady. Skip nie kiwnął nawet palcem, by wejść w trzydziestostopniowy zakręt. Samochód przebił barierę i wystrzelił ku pędzącym im naprzeciw światłom.

72. Smutne powitanie

Keith poprosił kierowcę, żeby łaskawie się zatrzymał. Była siódma i zaczęło świtać; nad jaśniejącymi wzgórzami ukazało się świetliste pasmo. Choć posiniaczony i poobcierany, Whitehead czuł niejasne pragnienie, by przejść pieszo pozostałe pięćset jardów, jakie dzieliło go od domu. Dał kierowcy trzy z czterech dziesięciofuntowych banknotów, które dostał od Lucy. Kierowca robił wrażenie zadowolonego.

– Dziękuję, sir – powiedział.

Mały Keith smakował powietrze, mlaskając opuchłymi wargami i przyzwyczajając się z powrotem do sennej anonimowości wsi. Łzy wzbierały mu w kącikach zapuchniętych oczu. Poruszał się etapami, na swój sposób rozkoszując się bólem, jaki sprawiały mu zmaltretowane nogi, i radując się słodką, a zarazem bolesną integralnością własnego ciała. Lekarz prosił go, wręcz nalegał, żeby Keith został w Instytucie i poddał się leczeniu, ale nie, on chciał wrócić jak najszybciej do niespokojnych o niego przyjaciół. Był jeszcze teraz zakłopotany i jednocześnie poruszony tym, że z tak wielką determinacją i troską ratowali go przed śmiercią, którą on sam z dziecinną lekkomyślnością próbował sobie zadać. Błogosławił też talenty Marvella, odpowiedzialnego jego zdaniem za „niezidentyfikowany narkotyk”, który, jak powiedzieli lekarze, spowodował zbawienną kompresję jego tkanki tłuszczowej i powstrzymał przenikanie zabójczych barbituranów do organizmu. Keith patrzył na długie prostokąty muru z szarej cegły, na niespokojne drzewa (co one szeptały? – *świeżość, świeżość, świeżość*), na śmigające w górze ptaki, na inne niż zazwyczaj niebo. Czy to możliwe, pomyślał, że kiedyś chciałem się stąd wynieść? Czuł się tak, jakby podjął długą podróż i przeżył, aby narodzić się na nowo – urodzić się ponownie dzięki akuszerskim zabiegom tego nagłego weekendu.

Co więcej, Keith czuł się człowiekiem wtajemniczonym, jednym z *cognoscenti*, wyłącznym posiadaczem pewnej informacji, dumnym zwiastunem nowin. Giles umarł. Nie żył. Zanim zdążyli mu zrobić płukanie żołądka, oddech prawie całkiem zanikł, a kiedy podłączono respirator, nie wytrzymało serce. Sprowadzono matkę Gilesa z oddziału znajdującego się piętro wyżej. Pani Coldstream przytuliła małego Keitha, zalewając mu twarz łzami. Lekarz zaproponował jeszcze raz, że zatelefonuje do Appleseed, ale Keith się nie zgodził. Chciał mieć na wyłączność całe to smutne powitanie i rozedrgane współczucie przyjaciół. Keith przepowiadał sobie całe zdania, zastanawiając się, jak najlepiej przedstawić tę melancholijną historię. Widział na własne oczy Gilesa

leżącego na białych noszach, Lucy płaczącą nad jego żałośnie skurczonymi ramionami, jego spokojną twarz, posępną i zarazem dziecinną w chwili śmierci.

Keith kuśtykał niezmordowanie przez most. Przy wejściu na podjazd przystanął na chwilę. Appleseed wychynęło z porannych cieni. Whitehead zmrużył oczy. Czy budynek rzeczywiście tam był? Przez krótką chwilę Keith zastanawiał się wzburzony, czy nie odwrócić się i nie uciec. Ale potem uśmiechnął się, rozbawiony własnymi irracjonalnymi przecuciami. Wszystko już za mną, pomyślał, wkraczając na wilgotny żwir podjazdu.

Kuchnia probostwa Appleseed: walizka, kluczyki od samochodu, torba z narkotykami, zwitek banknotów, lśniąca siekiera. Na ścianie (to zmyłka) nasmarowane kałem G, znak Konceptualistów, akronim ich akcji Gesty. Jest tu Johnny. Niecierpliwie wychylił się z okna. Kiedy patrzył na Keitha idącego podjazdem, jego zielone oczy rozbłyśnęły w bladym świetle brzasku jak dwa oszalałe, konające słońca.

Tytuł oryginału: *Dead Babies*

Copyright © Martin Amis, 1975

All rights reserved

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd.,
Poznań 2011

Informacja o zabezpieczeniach W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Redaktor: Katarzyna Raźniewska

Projekt i opracowanie graficzne okładki oraz fotografia na okładce: Lucyna
Talejko-Kwiatkowska

Wydanie I e-book
(opracowane na podstawie wydania książkowego:
Martwe dzieci, wyd. II, Poznań 2016)

ISBN 978-83-8062-759-8

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40; fax 61-867-37-74
e-mail: rebis@rebis.com.pl

www.rebis.com.pl



Plik mobi przygotowała firma eLib.pl
al. Szucha 8, 00-582 Warszawa
e-mail: kontakt@elib.pl
www.eLib.pl